SENS ZAMIAST SENSACJI | Komu służy IPN ▪ Ludzie Nawrockiego
Boże Ciało takie jak my ▪ Jak oswoić wojnę ▪ Znów podbijamy Księżyc

Kraków 18 – 24 czerwca 2025 nr 25 (3963) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

ŁUKASZ ORBITOWSKI, PISARZ

Gdy twardy facet jest ojcem

NADZIEJA RADYKALNA
EKSTRA STRONY PRZED FESTIWALEM CONRADA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl f0e2fe2db5

REKLAMA

BALTIC OPERA FESTIVAL MECENAS GŁÓWNY ORLEN

BALTIC OPERA FESTIVAL

RICHARD STRAUSS
SALOME

JENNIFER HOLLOWAY
GERHARD SIEGEL
CLAUDIA MAHNKE
OLEKSANDR PUSHNIAK

GAMZOU/JAWORSKI • KONIECZNY • WICZA-POKOJSKI • KUDLIČKA

11, 13 lipca 2025, 21.00 / Opera Leśna w Sopocie

MECENAS GŁÓWNY

Organizatorzy Festiwalu

Opera Bałtycka w Gdańsku

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

KS. ADAM

Boniecki: *Boże Ciało, tajemnica wiary*

Historia tej uroczystości jest prosta. Najpierw była wizja Julianny z Cornillon w 1245 r. i decyzja biskupa Roberta z Liège, by lokalnie wprowadzić święto Bożego Ciała, potem decyzja Urbana IV, by wprowadzić je dla całego Kościoła. Zostaje ono wprowadzone przez Jana XXII w 1317 r. W Polsce obchodzone jest już w 1320 r. przez krakowskiego biskupa Nankera. Sposób jego obchodzenia oczywiście ewoluuje, ale zawsze wiąże się z tym wielka procesja. U nas żywe w pamięci są wielkie procesje na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, prowadzone w czasach PRL przez kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ogromne tłumy, programowe kazanie prymasa, poczucie, że Kościół trwa i jest ważny – to zostawało w uczestnikach. Procesja Bożego Ciała była manifestacją katolickiej tożsamości i sprzeciwu wobec istniejącego w Polsce reżimu.

Manifestacje, także te kościelne, mogą mieć różne znaczenie. Zwłaszcza kiedy innych manifestacji nie ma, a te dopuszczalne są zawłaszczone przez dzierżących władzę. Tak było u nas. A jak jest teraz? Wróćmy do sensu, jaki nadajemy udziałowi w manifestacji Bożego Ciała. W Polsce procesji Bożego Ciała zostaje coraz bardziej przywrócony jej religijny sens. Ci, którzy idą, idą dziś z motywów religijnych. Wyjście poza teren kościelny, wyjątkowe, bo innych takich w ciągu roku nie ma, jest okazją do refleksji nad relacją świat–Kościół. Chrystus idzie ulicami naszego miasta i my idziemy za Nim. Dla wierzących to chwile do poważnego rozważania. Oczywiście często idziemy wiele nie myśląc, ale sam udział w tej procesji przynajmniej jakieś nawet nieposkładane refleksje prowokuje swą nieoczywistością.

GRAŻYNA MAKARA

Procesja Bożego Ciała pozostanie sobą, mimo zmieniających się form manifestowania pobożności. Tłumna czy mniej tłumna, będzie zawsze wyrazem przekonania, że wiara jest czymś, co musi wyjść z budynków kościoła, że wiara chodzi po ulicach, jest w ludziach także wtedy, kiedy nie są w kościele, że jest, choć może na pierwszy rzut oka jej nie widać. Przynajmniej w intencji, przynajmniej czasem, kiedy podejmuje się decyzje życiowe. Bo wiara zamknięta w murach świątyń nie jest tą wiarą, której nauczał Jezus.

Widziałem wielkie procesje i małe. Chodziłem w procesjach Bożego Ciała w Rwandzie i w niewielkim polskim miasteczku, Mogielnicy, w czasach restrykcji wobec Kościoła i w czasach wolności, stąd wiem, że to procesjonalne chodzenie z całym bogactwem obrzędów ma sens i trafia w jakieś istniejące w ludziach potrzeby. Cały wspaniały wkład św. Tomasza i innych świętych w Boże Ciało jest cenny, nie jest jednak istotny dla większości uczestników procesji, którzy go po prostu nie znają. Jest jednak w człowieku przestrzeń na przyjęcie tajemnicy. Eucharystii nikt nie wyjaśnił do końca, bo jeśli jest Bóg, to Jego nie da się wyjaśnić. Ale człowiek jest zdolny do przyjęcia tajemnic wiary. Wysiłki, by je wyjaśnić, są oczywiście cenne, ale – jak w przypadku Eucharystii – daremne. Czym jest obecność Boga w okruchu chleba – przecież tego nikt nam nie wytłumaczył. Mamy co prawda świadectwa tych, którym było dane tego doświadczyć, ale ich świadectwa można przyjąć, można też je odrzucić. Tak jest z naszą wiarą, innej nie ma. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA”

NIE DAJMY ZNISZCZYĆ BUDŻETÓWKI
Marcin Kędzierski: W dobie taniego państwa budżetówka trafiła na celownik polityków, a jej pracowników stygmatyzuje się jako darmozjadów i nierobów.

POD TĘCZOWĄ FLAGĄ
Dawid Gospodarek: Dla tych katolików Marsz Równości to wyrażenie przekonania, że Bóg kocha każdego człowieka.

SPEKTAKULARNA WYSTAWA
Dorota Malina: U Hockneya im później, tym nudniej. Dlaczego więc jest jednym z najdroższych żyjących malarzy?

Wciąż mam przed oczami to zdjęcie. Kiedy kilka tygodni temu robiłem powyborczy wywiad z Jackiem K. Sokołowskim, w ramach przygotowań czytałem jego „Transnaród", na którego okładce widnieje klasyczna już fotografia Jakuba Szymczuka, zrobiona w 2014 r. na warszawskim placu Zbawiciela. „Piękny obrazek, ludzie spędzają czas w mieście w imię realizacji swoich zainteresowań i nikt im nie przeszkadza" – ocenił jeden z użytkowników Twittera, kiedy fotograf zaprezentował na tym portalu kadr, w którym na pierwszym planie młodzi bawią się w kawiarnianym ogródku, ulicą idzie procesja Bożego Ciała, a w tle widać niespaloną jeszcze „Tęczę" – instalację Julii Wójcik.

Zdjęcie Szymczuka mogłoby ilustrować niejeden tekst w tym numerze. Choćby artykuł **MONIKI BIAŁKOWSKIEJ** „Procesja taka, jak my", pokazujący, że każde pokolenie ma swoją pobożność i że także w dzisiejszym świecie pojawiają się – jak pisze autorka – „nowe sposoby odpowiadania Bogu". Albo felieton **WOJCIECHA BONOWICZA**, który podróżując po kraju bardziej słucha, niż mówi, przekonując się, jak bardzo medialny obraz społeczeństwa odbiega od tego, co rzeczywiste. Może nade wszystko jednak esej **OLGI DRENDY**, naszej felietonistki, a zarazem dyrektorki kreatywnej Festiwalu Conrada, zapowiadający tegoroczną edycję imprezy.

Nie pierwszy już raz wraca na te łamy pojęcie „nadziei radykalnej" – przed laty o książce Jonathana Leara i losach plemienia Wron w czasach wodza Wiele Przewag pisał Marek Bieńczyk. W tym roku nadzieja radykalna będzie hasłem przewodnim współorganizowanego przez „TP" festiwalu. „Koniec świata nie musi być spektakularnym krachem, końcem wszystkiego. Może być, i często bywa, rozpadem znanej rzeczywistości oraz przejściem do stanu, w którym trzeba przecież nadal istnieć" – pisze Olga Drenda, przypominając, że po pierwszym wstrząsie następuje ciąg dalszy, w którym trzeba się odnaleźć, szukając indywidualnych strategii i rysując nowe mapy.

Mam wrażenie, że „Tygodnik" robi to nieustannie. W świecie dynamicznym jak plac Zbawiciela na zdjęciu Szymczuka rysuje nowe mapy, wierząc, że ciąg dalszy nastąpi. Dobrej lektury! ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

34 Czy można oswoić wojnę
ROZMOWA Z PAWŁEM PIENIĄŻKIEM
Nauczyłem się, by nie przebywać za długo tam, gdzie jest niebezpiecznie. Gdy czułem, że mój strach się przytępia, wiedziałem, że muszę się wycofać.

58 Cisza i wrzask
BARTEK DOBROCH
30 lat po eksplozji jej kariery Alanis Morissette zagra po raz pierwszy w naszym kraju.

70 Każdy dzień ojca
ROZMOWA Z ŁUKASZEM ORBITOWSKIM
Zorientowałem się, że zaczynam strofować Julka jak mnie mój ojciec. I zrozumiałem, że choć mój ojciec umarł, jego duch mieszka we mnie.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GLEB BUDILOVSKY PHOTOGRAPHY // BRIAN RASIC / GETTY IMAGES // GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Wojna o wszystko
MAREK KĘSKRAWIEC

8-11 Komentarze i informacje

■ ■ KRAJ

18 Wszyscy ludzie prezydenta
PIOTR ŚMIŁOWICZ:
Czeka nas brutalna wojna o władzę. Weźmie w niej udział nowa Kancelaria Karola Nawrockiego

21 Cóż szkodzi dowieźć
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI:
Z PiS-owskim prezydentem na karku koalicja nie spełni wielu obietnic. Jej szansą stają się trudne do wetowania projekty społeczne

24 W liceum piłem jak dorosły
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Młodzież spożywa coraz więcej alkoholu, a dorosłych – w tym władze – niewiele to obchodzi

■ ■ ŚWIAT

28 Trump testuje państwo
MARTA ZDZIEBORSKA:
Prezydent USA w reakcji na protesty w Los Angeles coraz szerzej interpretuje swoje uprawnienia i karze tych, którzy ośmielą mu się przeciwstawić

31 Emocje na buliku
MACIEJ JAKUBOWIAK:
Napięcia między USA i Kanadą odbijają się w trwającym właśnie finale Pucharu Stanleya. Stwierdzenie, że sport sobie, a polityka sobie, to komunał

33 Bułgarski paradoks
PIOTR OLEKSY:
Kraj, który cztery lata nie miał stabilnego rządu, osiągnął wyniki ekonomiczne pozwalające dołączyć do strefy euro

34 Czy można oswoić wojnę
ROZMOWA Z PAWŁEM PIENIĄŻKIEM

■ ■ WIARA

38 Procesja taka, jak my
MONIKA BIAŁKOWSKA:
Boże Ciało pokazuje, że pobożność w Polsce nie umiera. Tyle że każde pokolenie wyraża ją własnym językiem

TEMAT TYGODNIKA

ANATOL CHOMICZ / FORUM

12 Bezkrólewie przy ulicy Kurtyki
MAREK RABIJ
Wybór Karola Nawrockiego na prezydenta stawia pytania o IPN. Kto zastąpi go w roli prezesa? I czy w Instytucie nie czas na gruntowne zmiany?

■ ■ MAGAZYN CONRAD ■ ■
77 – 92
OLGA DRENDA *o nadziei radykalnej*
MICHAŁ SOWIŃSKI *o Emily St. John Mandel*
DOROTA MALINA *o Kamelu Daoudzie*
ROZMOWA Z VINCENZO LATRONICO

■ FELIETONY ■
11 BARTOSZ MINKIEWICZ
27 OLGA DRENDA
56 WOJCIECH BONOWICZ
67 STANISŁAW MANCEWICZ
68 PAWEŁ BRAVO
75 TOMASZ STAWISZYŃSKI

NA OKŁADCE:
ŁUKASZ ORBITOWSKI,
KRAKÓW, 11 CZERWCA 2025 R.
FOT.: GRAŻYNA MAKARA

42 Tajemnica Marii Valtorty
ARTUR SPORNIAK:
Mistyczka, antysemitka o szokujących poglądach na seks, posiadająca niezwykłą wiedzę nie wiadomo skąd. O jej objawieniach wypowiedział się Watykan.

44 Wydmuszka, nie komisja
ANNA GOC:
Prymas nie będzie już odpowiedzialny za tworzenie komisji, która miała zbadać przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele

46 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

48 Renesans staroci
WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
Retrogaming to wyraz nostalgii za czasami, które wydają się prostsze

■ ■ NAUKA

52 Wszyscy na Księżyc
NINA BAŻELA:
Przez najbliższe dwa lata na Srebrnym Globie wyląduje więcej łazików niż od początku XXI w. O lunarny rynek powalczą także polskie firmy

■ ■ KULTURA

58 Cisza i wrzask
BARTEK DOBROCH

62 Duch naszych czasów
JAKUB MAJMUREK:
Skąd sukces filmu „Mountainhead”

64 Słodka przekąska
ANITA PIOTROWSKA *o „Fenickim układzie” Wesa Andersona*

65 Historia widziana z kina
LEKTOR *o „Skazanym na kino” – rozmowie Ewy Ziembli z Krzysztofem Gieratem*

66 Polecamy

■ ■ ZMYSŁY

70 Każdy dzień ojca
ROZMOWA Z ŁUKASZEM ORBITOWSKIM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK” JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – SPRAWDŹ NAJNOWSZĄ OFERTĘ NA STRONIE 76

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

MAJID KHAHI / ISNA / AFP / EAST NEWS

OBRAZ TYGODNIA

WOJNA O WSZYSTKO

Izrael liczy, że skutkiem starcia z Iranem będzie także upadek reżimu ajatollahów. Jeśli nawet to nastąpi, wcześniej świat może czekać głęboki kryzys, który dotknie również Europę i Polskę.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ PO LEWEJ: Ranni Irańczycy po izraelskim ataku na bulwar Keshavarz w centrum Teheranu, 15 czerwca 2025 r.

PO PRAWEJ: Ewakuacja ludności cywilnej po uderzeniu irańskiej rakiety w izraelskie miasto Petah Tikva na wschód od Tel Awiwu, 16 czerwca 2025 r.

TRUDNO WSPIERAĆ KRAJ, KTÓREGO parlamentarzyści od lat skandują hasło „Śmierć Izraelowi", i który jako pierwszy podał rękę Putinowi w Ukrainie, śląc mu na pomoc tysiące dronów. Ale nie jest też łatwo stać murem za państwem, które w odwecie za przerażający atak Hamasu z 7 października 2023 r. postanowiło zamienić całą Strefę Gazy w martwą zonę. Patrzymy dziś na jeden z najbardziej skomplikowanych konfliktów współczesnego świata.

OBA NARODY przyjaźniły się jeszcze w czasach antycznych, gdy król perski Cyrus zakończył niewolę babilońską i pozwolił Żydom na powrót do ojczyzny i odbudowę Świątyni Jerozolimskiej. Były nimi też w latach 70. XX w., gdy Mohammad Reza Pahlawi po cichu wspierał Izrael przeciw Arabom. Wszystko to legło w gruzach w 1979 r., gdy obalono ostatniego szacha, unowocześniającego Iran dyktatorskimi metodami, a z rewolucyjnego chaosu wyłonił się reżim Chomeiniego. Zdławił on świecką opozycję, a potem wcielił się w rolę obrońcy Palestyńczyków i Libańczyków w ich walce z Żydami, finansując Hezbollah, a potem też Hamas. Jednak, mimo to, pozostawiając w Iranie otwarte synagogi, co jest niemożliwe choćby w Arabii Saudyjskiej.

Obecne starcie jest jednak czymś wyjątkowym. Dwie największe potęgi Bliskiego Wschodu zwarły się bezpośrednio, choć na dystans samolotów i rakiet, a przebieg konfliktu pokazuje wielką przewagę technologiczną i wywiadowczą Izraela. Udało mu się zniszczyć lub uszkodzić wiele irańskich wyrzutni pocisków balistycznych, systemy obrony przeciwlotniczej, zakłady zbrojeniowe, a przede wszystkim – uśmiercić dużą część dowództwa Korpusu Strażników Rewolucji, armii i wywiadu, a także co najmniej kilku znaczących naukowców związanych z programem atomowym. To zaskakująca klęska Teheranu.

IRAN NIE UMIE na razie skutecznie odpowiedzieć na te ataki. Jego rakiety w większości są przechwytywane przez Żelazną Kopułę i inne izraelskie systemy; jego sojusznicy z Hamasu zostali niemal unicestwieni, a ci z Hezbollahu mają wybite zęby. Także ostrzeżenia z państw islamskich, choćby z nuklearnego Pakistanu („staniemy po stronie Iranu w każdy możliwy sposób (...) Irańczycy są naszymi braćmi"), nie wyjdą raczej poza słowa. Zapewne Tel Awiw nie

JACK GUEZ / AFP / EAST NEWS

mógłby czuć się aż tak pewnie, gdyby nie obecność Trumpa w Białym Domu, który jeśli nawet niechętnie, to pozwoli Izraelowi na więcej niż każdy inny prezydent USA.

Krytyczne osłabienie Iranu może prowadzić do jakiejś formy kapitulacji Teheranu i zgody na anihilację jego programu atomowego. Może też jednak sprawić, że walczący o życie sojusz ajatollahów i armii, wciąż mający duże poparcie poza wielkimi miastami, posunie się do czynów desperackich. Przez cieśninę Ormuz u wybrzeży Iranu płynie 20 proc. całego światowego eksportu ropy, którego nie da się przekierować na inne trasy.

Pierwszy zatopiony tam tankowiec oznaczałby katastrofę ekologiczną w regionie i czasowy koniec morskiej przeprawy. Nikt rozsądny nie popłynąłby tamtędy, nawet jeśli USA z sojusznikami starałyby się zapewnić tam porządek. Nie wiemy, jak skutecznie Iran jest przygotowany na długotrwały konflikt, w tym na działania asymetryczne. W tym czasie świat może stanąć na krawędzi głębokiego kryzysu ekonomicznego.

OFICJALNĄ PRZYCZYNĄ nalotów dywanowych Izraela na obiekty wojskowe, ministerstwa i ośrodki nuklearne Iranu jest głoszony przez premiera Beniamina Netanjahu pogląd, wedle którego Teheran może już niedługo wyprodukować dziewięć bomb atomowych. Warto jednak pamiętać, że izraelskie alarmy o nuklearnym przełomie Teheranu są mało wiarygodne – słychać je cyklicznie od ponad 20 lat. Fakt, inspektorzy Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej ostrzegli ostatnio, że irańskie zapasy wzbogaconego do 60 proc. uranu nigdy nie były tak wielkie. Ale jeśli Teheran podjąłby polityczną decyzję o dalszym użyciu wirówek i budowie bomby jądrowej, to i tak zdaniem wielu ekspertów na efekt tych działań trzeba czekać jeszcze długo.

Co by się stało potem? Raczej nie doszłoby do ataku atomowego Iranu na Izrael. Przywódcy Iranu są w części fanatykami, ale nie są idiotami ani samobójcami. Prowadzą od lat cyniczną politykę, w której osiągali dotąd spodziewane efekty rzadziej przy użyciu terroru niż przy pomocy gróźb pozostających tylko deklaracjami. I jeśli nawet zdecydowaliby się na konstrukcję bomby atomowej, to raczej jako gwarancję własnego bezpieczeństwa niż środek do ataku. Wątpliwości budzi też zresztą sam Izrael, który zbudował własne bomby atomowe wbrew sojusznikowi z USA oraz układowi o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

NETANJAHU LICZY, że skuteczne ataki na infrastrukturę energetyczną, dowództwo armii i centra polityczne oraz religijne (zamachu na samego Najwyższego Przywódcę Alego Chameneiego zakazali mu ponoć Amerykanie) stworzą masę krytyczną w Iranie. Kraju, w którym żyją miliony wykształconych mężczyzn i kobiet (to ewenement w regionie), a który co kilka lat buntuje się przeciw islamskiej teokracji. Jednak premier Izraela wzywający Irańczyków do powstania nie jest osobą wiarygodną na ulicach Teheranu, Szirazu i Tebrizu, a zwłaszcza konserwatywnego Maszhadu czy Kom.

Dla irańskich aktywistów, tych marzących o świeckim Iranie, których poznałem podczas Zielonej Rewolucji w 2009 r. oraz w latach późniejszych, a którzy codziennie ryzykują wtrącenie do mrocznego więzienia Evin, premier Netanjahu to kolejny przykład uwikłanego w przestępstwa korupcyjne prawicowego fanatyka z wrogiego kraju, którego rząd trzyma się na sojuszu z żydowskimi religijnymi radykałami, otwarcie gardzącymi „gojami". To nie jest dla nich wzór, zwłaszcza gdy widzą skutki bombardowań w Teheranie, także w dzielnicach mieszkalnych. Inna sprawa, że jeśli Irańczycy zorientują się, iż władze islamskiej republiki nie panują nad sytuacją, istotnie może dojść do gwałtownej wojny domowej. Może zresztą także o to chodzi Izraelowi.

NA RAZIE JEDNAK to tylko teoria, dużo szybsze korzyści polityczne z gwałtownej eskalacji między Izraelem i Iranem może osiągnąć Rosja, licząca na dalszy wzrost cen ropy. Oraz na to, że coraz mocniej zaangażowany na Bliskim Wschodzie Trump wycofa się ostatecznie z pomocy Ukrainie.

Taki zaś scenariusz oznaczałby kolejne kłopoty dla Europy i Polski. ©℗

Łabędzi śpiew „frakcji Schrödera”

WOJCIECH PIĘCIAK

Swój list otwarty, zatytułowany buńczucznie „Manifest”, nieprzypadkowo opublikowali na kilkanaście dni przed szczytem NATO, który ma podjąć decyzje w sprawie rozbudowy sił zbrojnych w krajach Europy, w tym Bundeswehry, i przed zjazdem niemieckiej socjaldemokracji, który współrządząca SPD organizuje także na koniec czerwca.

CHRISTOPH SOEDER / DPA / PAP

Trudno powiedzieć, czy sygnatariusze listu – stu polityków lewego skrzydła SPD – szczerze wierzą, iż swoim wystąpieniem doprowadzą do radykalnej zmiany niemieckiej polityki zagranicznej i obronnej. W „Manifeście”, nad którym unosi się duch ekskanclerza Gerharda Schrödera (na zdjęciu), dziś lobbysty na liście płac Putina, domagają się, by Niemcy wróciły do współpracy z Rosją i zrezygnowały ze zwiększania wydatków na obronność (co ma teraz miejsce; celem jest odbudowa armii, zaniedbanej w ostatnich dekadach). Chcą też, by Niemcy wycofały się z umowy z USA o stacjonowaniu nowych amerykańskich rakiet (decyzję taką podjął po 2022 r. rząd Scholza).

Możliwe, że intencją sygnatariuszy było wywołanie fermentu w SPD i osłabienie jej obecnego kierownictwa, którego linia – opisana w umowie koalicyjnej i realizowana przez rząd CDU/CSU-SPD kanclerza Merza – nie jest w smak ludziom z tej nieformalnej „frakcji Schrödera” (jego podpisu tu nie ma; także w Niemczech jest on postrzegany jako postać skompromitowana).

Bardziej interesujące niż tekst „Manifestu”, o którym ktoś trafnie napisał, że „nie jest to fascynujący wkład do debaty, lecz płaczliwy melanż dogmatyzmu, fałszywych interpretacji historii i intelektualnego zamętu” – są reakcje, jakie wywołał. A te – w opinii publicznej i wśród polityków koalicji, także z SPD – są miażdżąco krytyczne.

Nie znaczy to, że w Niemczech nie ma podglebia dla postaw prorosyjskich. Jednak te skupiają się głównie w prawicowo-lewicowych skrajnościach (AfD, BSW, część Lewicy). Sondaże zaś pokazują, że większość Niemców popiera wyższe wydatki na obronność. A im szybciej odbudowana będzie Bundeswehra, tym bezpieczniejsza będzie także Polska. ©℗

NA PUNKTY

PRZELICZYLI SIĘ
Donald Tusk, sądząc po nieprzekonującym *exposé*, nie ma ostatnio najlepszego czasu, ale rywalizujące ze sobą prawicowe telewizje zdołały ocieplić jego wizerunek: ujawniając treść podsłuchanej w 2019 r. za pośrednictwem Pegasusa rozmowy Romana Giertycha z obecnym premierem, przedstawiły tego ostatniego jako człowieka inteligentnego i z poczuciem humoru. „Boże, ja Niemiec muszę cię uczyć” – ironizuje w pewnym momencie Tusk, prostując błąd językowy Giertycha.

POLICZY SIĘ
Giertych twierdzi, że zarówno nagrywanie rozmów adwokata z klientami, jak brak zniszczenia zapisu, wyniesienie z CBA kopii, przekazanie ich mediom, a następnie publikacja to poważne przestępstwa. Mówi również, że taśmy wyciekły z zemsty, bo walczy o ponowne przeliczenie głosów w wyborach prezydenckich.

POLICZONE
W tej ostatniej kwestii mecenas jest równie skuteczny jak prawicowe media: zwycięstwa Karola Nawrockiego nie sposób podważyć, a Sąd Najwyższy zlecił ponownie przeliczenie głosów jedynie w 13 komisjach. ©℗

Szkoła nie załatwi problemu

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wiceministra edukacji Katarzyna Lubnauer zapowiedziała w Wirtualnej Polsce skierowanie do Sejmu projektu ustawy zakazującej używania smartfonów w szkole. Ściślej – ustawa ma dać dyrektorom, w sposób jaśniejszy niż do tej pory, narzędzia do wprowadzania ograniczeń. I dobrze: centralistyczne zapędy, kojarzące się raczej z niechlubnymi rządami w oświacie Przemysława Czarnka, niewiele dają. Poza protestami środowiska nauczycielskiego, jak było np. w reakcji na nieprzemyślane ograniczenia w zadawaniu prac domowych już za rządów w MEN Barbary Nowackiej.

W sprawie smartfonów co innego niż szkolne przepisy jest istotą. Owszem, telefony w rękach najmłodszych bywają wielkim problemem. Tak, zakazanych do 13. roku życia mediów społecznościowych i komunikatorów – dewastujących choćby zdolność koncentracji – używają na potęgę dzieci młodsze. I rzeczywiście: większość europejskich krajów wprowadziła ograniczenia w użytkowaniu smartfonów na terenie szkół. Ale jak pokazują badania, np. zaprezentowany w marcu przez Instytut Cyfrowego Obywatelstwa raport „Internet dzieci”, to nie czas przebywania w szkolnych ławach niesie największe zagrożenia. Np. wykres pokazujący użytkowanie smartfonów w skali dnia przez dzieci w wieku 7-12 lat przypomina „leżącego wielbłąda” – zdecydowany „garb” widoczny jest w godzinach 6.00-8.00, później zaś od wczesnych godzin popołudniowych już do wieczora.

„TikTok i YouTube budzą nasze dzieci i układają je do snu”. Tego zdania, wypowiedzianego miesiąc temu w Sejmie (w czasie konferencji zorganizowanej przez Szymona Hołownię) przez Magdalenę Bigaj, prezeskę ICO, rodzice powinni się nauczyć na pamięć jak szkolnego wiersza. Zwłaszcza u progu wakacji, gdy przestaje obowiązywać ów kilkugodzinny ekranowy odpoczynek, a „leżący wielbłąd” wstaje (i przestaje być wielbłądem), warto sobie to przyswoić. Ekranowe nawyki dzieci kształtujemy sami – szkoła nas w tym nie wyręczy. ©℗

Święta wojna

EDWARD AUGUSTYN

Proboszcz bazyliki mariackiej w Krakowie, ks. Dariusz Raś, nie zgadza się z zarzutami abp. Marka Jędraszewskiego i zapowiada odwołanie do Najwyższego Trybunału Sygnatury Apostolskiej – ostatniej kościelnej instancji. Nie wstrzymuje to decyzji metropolity – ks. Raś musi opuścić parafię – ale wiąże mu ręce: arcybiskup nie może mianować nowego proboszcza i przez kolejne miesiące parafią zarządzać będzie administrator, który nie ma uprawnień do podejmowania żadnych ważnych, w tym finansowych, decyzji.

Trybunał prawdopodobnie utrzyma w mocy decyzję Jędraszewskiego (i Dykasterii ds. Duchowieństwa, która przyznała mu rację). Watykan zwykle staje po stronie biskupów, więc niewielu księży decyduje się na walkę do samego końca, bo to zwykle zamyka im drogę do objęcia jakichkolwiek stanowisk w diecezji. Ks. Raś traktuje ją jednak jako walkę o dobre imię, nadszarpnięte przez arcybiskupa.

Półtora roku temu (tyle trwają już próby odwołania proboszcza) abp Jędraszewski zarzucił ks. Rasiowi nadużycia finansowe (nierzetelne prowadzenie dokumentacji, przyjmowanie darowizn i dotacji bez zgody kurii, nieprawidłowości w zatrudnianiu pracowników). Metropolita najwyraźniej przekonał dykasterię, że wyrządziły one Kościołowi „wielką szkodę", bo tylko w takim przypadku można odwołać proboszcza.

Zwolennicy ks. Rasia uważają, że podobne zarzuty dałoby się postawić niemal każdemu proboszczowi, i że chodzi o „skok na kasę".

Parafia mariacka ma ogromny majątek w nieruchomościach (kamienice w centrum Krakowa) i prowadzi dochodową działalność hotelarską.

We wspomnianym liście padł też zarzut „nadużyć w prezencji" ks. Rasia. Dotyczył używania przez proboszcza infuły (mitry). Tytuł infułata pozwala mu na noszenie tego stroju tylko na terenie własnej parafii, a ks. Raś chętnie pokazywał się w nim na uroczystościach zewnętrznych. Ta uzurpacja musiała szczególnie irytować metropolitę, znanego ze słabości do nadobnych szat.

Śmieszne, ale i smutne. Bo bez względu na to, kto ma w tym sporze rację, wciąż jeszcze pieniądze, władza, ambicje i personalne urazy okazują się ważniejsze od dobra Kościoła (zarówno wiernych, jak i instytucji), na które obie strony chętnie się powołują. ©℗

Wysoka cena wotum

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Donald Tusk lubi porównania sportowe, więc gdyby chciało się je zastosować, to jego ubiegłotygodniowe *exposé* i uzyskane wotum zaufania można porównać do meczu z dużo słabszym przeciwnikiem. Który wprawdzie się wygrało, ale który obnażył wszystkie słabości. Przede wszystkim zaś to, że drużyna jest zupełnie bez formy. Oczywiście, mecze trzeba grać zgodnie z odgórnie wyznaczonym kalendarzem i jest oczywiste, że nie zawsze trafi się z formą. Podobnie jest w polityce. Czasem trzeba podejmować nagłe decyzje bez przygotowania. Licząc, że straty będą mniejsze niż zyski.

W *exposé* premier pozornie powiedział to, co powinien – wymieniał obszary, w których rząd może pochwalić się sukcesami, jak wzrost gospodarczy, spadek inflacji. Samokrytycznie przyznał, że błędem był brak polityki informacyjnej. Zabrakło jednak diagnozy innych błędów. A to nie daje gwarancji, że nie będą one ponawiane. Nie było też konkretów w sprawie nowych punktów programowych, w tym tych postulowanych przez koalicjantów – o sprawach mieszkaniowych czy o odpartyjnieniu spółek Tusk mówił dosyć ogólnie.

Nie było również propozycji dotyczących najbardziej drażliwych politycznie sfer, takich jak wymiar sprawiedliwości, media publiczne czy polityka zagraniczna, z obsadą stanowisk ambasadorów. Dziwne było to, że premier zaledwie zapowiedział nową strukturę rządu i zmiany w jego składzie: naturalne byłoby przecież, gdyby o wotum zaufania zwracał się w momencie, gdy zmiany zostaną już dokonane, a nowy program będzie precyzyjnie określony.

Akcja z wotum zaufania była więc przede wszystkim politycznym rytuałem. Być może potrzebnym po szoku, którym dla obozu rządowego okazała się porażka Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich. Ale niezmieniającym sytuacji politycznej i nierozwiązującym żadnego problemu „koalicji 15 X".

Co jednak najważniejsze: uzyskując wotum zaufania w Sejmie, Tusk postawił pod znakiem zapytania zaufanie wyborców, którzy przy okazji zobaczyli, że król jest jeśli nie nagi, to bardzo skąpo ubrany. Jeśli więc w ciągu najbliższych tygodni rząd nie zrobi czegoś, co pozwoli to nadwyrężone zaufanie odzyskać – nie przedstawi spójnego programu, nie przeprowadzi bez przedłużających się wewnątrzkoalicyjnych awantur nowego składu Rady Ministrów – polityczna cena do zapłacenia może okazać się bardzo wysoka. Dużo wyższa niż wątpliwości co do spoistości obozu władzy, czym premier tłumaczył wystąpienie właśnie w tym momencie o wotum zaufania. ©℗

Donald Tusk w debacie nad wotum zaufania. Warszawa, 11 czerwca 2025 r.

ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Budowa mieszkań deweloperskich w Łodzi. Kwiecień 2025 r.

Gra o 400 miliardów

KREDYTY ▪ Co zagraża polskim bankom? Głównie klienci – taką diagnozę przynosi najnowsza edycja raportu o stabilności polskiego systemu finansowego, przygotowana przez NBP. Analitycy banku centralnego podsumowali w nim kolejny rok batalii branży z frankowiczami, zaznaczając, że rezerwy utworzone przez banki na ugody i ewentualne przegrane z posiadaczami kredytów frankowych są nadal o ok. 40 mld zł mniejsze od wartości portfela zaskarżonych już umów. A na horyzoncie majaczy ryzyko znacznie kosztowniejszego sporu z posiadaczami hipotek złotowych, oprocentowanych w oparciu o wskaźnik WIBOR.

Podczas konferencji towarzyszącej prezentacji raportu przedstawiciele NBP, zgodnie z dotychczasową linią banku centralnego, przekonywali, że ryzyko jest na razie hipotetyczne. „Wszystkie znaki na niebie i ziemi pokazują, że nie ma powodu, aby WIBOR mógł być podważany" – uspokajała dyrektor Departamentu Stabilności Finansowej NBP Olga Szczepańska.

Optymizm dyrektor Szczepańskiej opiera się jednak o pobożne życzenia albo ma wręcz przekierować uwagę opinii publicznej na kwestie drugorzędne. W sporze, który narasta między polskimi kredytobiorcami a branżą, nie chodzi bynajmniej o podważenie WIBOR-u. Klienci, którzy kierują pozwy przeciw bankom, coraz częściej podnoszą w nich zarzut niedotrzymania obowiązków informacyjnych – a bankowcy rozumieją, że tak zarysowana linia sporu stawia ich w znacznie gorszym położeniu.

W grudniu ub. roku Trybunał Sprawiedliwości UE wydał bowiem wyrok w sprawie hiszpańskiego kuzyna WIBOR-u, czyli wskaźnika IRPH. Sędziowie TSUE stwierdzili w uzasadnieniu, że prezentowanie jedynie wartości wskaźnika może być podstawą do uznania warunków umowy kredytu za nieuczciwe. Banki muszą bowiem również informować klientów o sposobie jego obliczania, udostępniać historyczne wartości i jasno opisać skutki jego zastosowania w porównaniu z innymi metodami naliczania oprocentowania. W przypadku, gdy usunięcie wskaźnika wpływa na ważność całej umowy, sąd może zastosować odpowiednie przepisy krajowe, ale nie wolno mu dowolnie modyfikować umowy na korzyść banku. Jeśli w podobnym tonie TSUE wypowie się na temat WIBOR-u, polskie banki czeka niemal na pewno fala pozwów od kredytobiorców złotówkowych. W grę wchodzi więc batalia o odsetki od około 400 mld zł.

Polskie sądy, przed którymi toczy się obecnie około 1700 spraw o umowy z WIBOR-em, skierowały już do TSUE zapytania, jak traktować ten wskaźnik. Odpowiedzi Trybunał udzieli zapewne na początku przyszłego roku.

©℗ MAREK RABIJ

Mózg, komputer i mowa: technologiczny przełom

MEDYCYNA ▪ Klasyczne interfejsy mózg–komputer (BCI) opierają się na świadomie generowanych wyobrażeniach (np. ruchu ręką) lub koncentracji uwagi (np. liczenie mignięć), które komputer tłumaczy na ustalone z góry komendy lub komunikaty, co umożliwia pacjentom komunikację. Aktywność mózgowa niosąca ślady tych wyobrażeń jest odczytywana z powierzchni głowy (klasyczne EEG) lub z elektrod implantowanych w jej wnętrzu w celu zamiany na tekst lub polecenia. To drugie podejście daje stabilniejsze i szybsze działanie – od 2006 r. naukowcy wszczepili takie elektrody kilkudziesięciu pacjentom.

W 2023 r. nowe podejście, oparte na dekodowaniu aktywności neuronów zaangażowanych w wypowiadanie konkretnych słów, dało rekordową (odnotowaną w Księdze Guinnessa) szybkość 78 słów na minutę. Z pomocą uczenia maszynowego identyfikowano wzorce aktywności neuronów, przygotowujące aparat mięśniowy do wypowiadania konkretnych słów z wybranego zestawu.

W bieżącym roku naukowcy z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Davis poszli jeszcze inną drogą. Pacjent, który skutkiem stwardnienia zanikowego bocznego (ALS) utracił zdolność zrozumiałego mówienia, próbował wypowiadać – wyobrażając sobie też różne intonacje – wyświetlane na ekranie zdania, a komputer dopasowywał rejestrowane przez elektrody wzorce aktywności neuronalnej do sztucznie wygenerowanego brzmienia tych samych zdań. W ten sposób stworzono system, który zamienia aktywność neuronalną tego pacjenta na dźwięki – włącznie z intonacją, i to niemal natychmiast. W poprzednich podejściach znaczenie konkretnego słowa mogło być dekodowane dopiero po zarejestrowaniu odpowiadającej mu aktywności mózgu, czyli z opóźnieniem rzędu sekund. W tym przypadku aktywność neuronów była przetwarzana na dźwięki 100 razy na sekundę, tak że odtwarzane przez głośnik dźwięki składały się w zrozumiałe dla słuchaczy wypowiedzi. W dekodowaniu ponownie wykorzystano uczenie maszynowe, tym razem włącznie z modelem uwagi obecnym w transformerach (ostatnia litera w nazwie Chat GPT odnosi się właśnie do tej architektury).

To wciąż badania podstawowe, ale ich liczba wskazuje, że po okresie szumu medialnego wokół kopiowania świadomości, podglądania myśli i podobnych fantazji, badania nad BCI powracają przynajmniej w części do kwestii komunikacji z pacjentami w stanach zamknięcia.

© PIOTR DURKA

Polska piłka bez głowy

SPORT ▪ Michał Probierz po kilkudziesięciu godzinach wahań zmienił zdanie i zrezygnował ze stanowiska selekcjonera piłkarskiej reprezentacji Polski. Mimo że we wtorkowy wieczór 10 czerwca w Helsinkach, bezpośrednio po przegranym meczu z Finami, mówił, że nie zamierza podawać się do dymisji, mimo że dzień później po rozmowie z nim prezes PZPN Cezary Kulesza deklarował, że do zmiany trenera nie dojdzie, w czwartek 12 czerwca trener doszedł do wniosku, że „w obecnej sytuacji najlepszą decyzją dla dobra drużyny narodowej" będzie jego rezygnacja.

Niemiłosiernie nadużywana fraza „dobro drużyny" zdążyła się wprawdzie w ciągu ostatnich dni skompromitować, ale tym razem jej użycie ma sens. Z pomeczowego wywiadu Jana Bednarka, tyleż zdumiewającego (tymczasowy kapitan drużyny toczył heroiczny bój z językiem polskim, próbując losy reprezentacji spleść z losami spolaryzowanej ojczyzny), co mimo wszystko imponującego (był jedynym piłkarzem, który odważył się na konfrontację z dziennikarzami), zostało mi w głowie słowo „reset". I poczucie, że resetem tym nie może być rozjechanie się na wakacje i próba przeczekania kolejnego z długiej listy kryzysów, naznaczających nie tylko dwuletnią pracę Probierza z kadrą, lecz zwłaszcza czteroletnią kadencję Kuleszy na stanowisku prezesa związku.

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Trener reprezentacji Michał Probierz i Robert Lewandowski podczas meczu towarzyskiego z Łotwą. Warszawa, 21 listopada 2023 r.

Nie chodziło bowiem o samą porażkę z Finlandią – w sporcie nie takie rzeczy się zdarzają. Chodziło o to, że pozbawiając przed tym meczem Roberta Lewandowskiego kapitańskiej opaski, Probierz zagrał va banque. Zapewne jego intencją było zintegrowanie drużyny i zbudowanie wokół niej murów oblężonej twierdzy. Ale komunikacyjnie przeprowadził całą sprawę tak, że do ostatnich godzin przed spotkaniem spekulowano, kiedy i co właściwie powiedzieli do siebie trener i najlepszy polski piłkarz, kadrowicze buntowali się przeciwko medialnym przekazom, PZPN wydawał oświadczenie za oświadczeniem – i tylko na rozmowę o taktyce zabrakło czasu, kibice zaś, którzy pojechali do Helsinek, zamiast wspierać drużynę, w dość nieparlamentarny sposób dawali do zrozumienia, po czyjej stronie stoją.

Znalazłyby się oczywiście także czysto piłkarskie powody do tej dymisji – choć Probierz zdołał z reprezentacją awansować na Euro, potem było tylko gorzej i gorzej; w meczu ze słabymi Finami jedynym wkładem myśli szkoleniowej były dalekie wyrzuty z autu Matty'ego Casha. Kłopot w tym, że od selekcjonera wymaga się dziś nie tylko kompetencji taktycznych, ale i zdolności komunikacyjnych, umiejętności współpracy z ludźmi, dyplomacji, wręcz: bycia ambasadorem swojego kraju. I choć owszem, przed rokiem na Euro światowe media zachwycały się garniturami Michała Probierza, to dziś piszą o tym, że wywołał wojnę z jednym z najlepszych europejskich piłkarzy, a potem nie potrafił zapanować nad efektami swojego konfrontacyjnego zarządzania. Dymisja była tu logiczną konsekwencją. Michał Probierz może uwielbiać zapach napalmu o poranku równie mocno, jak Cezary Kulesza aromat whisky wieczorem, ale przyznajmy: są to jednak dość osobnicze preferencje.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ

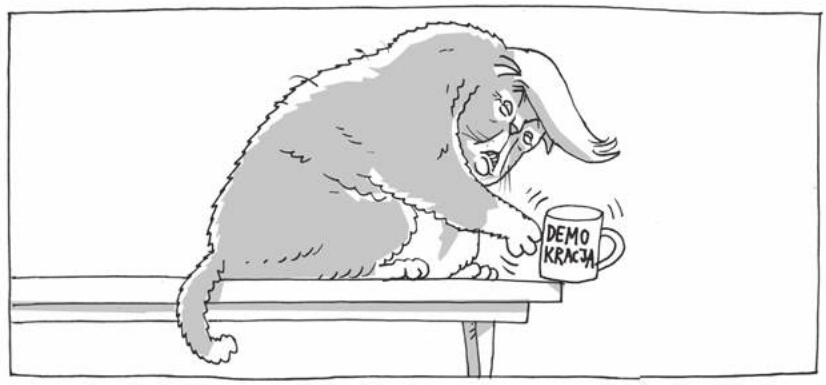

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

BEZKRÓLEWIE PRZY ULICY KURTYKI

Wybór Karola Nawrockiego na prezydenta zmienia sytuację w IPN. Kto będzie nowym prezesem? I czy w Instytucie – po ćwierćwieczu działalności i czterech latach rządów Nawrockiego – nie czas na gruntowne zmiany?

MAREK RABIJ

Grudzień 2000 r. Przy ulicy Mikołajskiej w Krakowie 40-letni Janusz Kurtyka – mediewista z PAN, właśnie wybrany na szefa tutejszego Oddziału IPN – zaprasza na rozmowę grono pierwszych współpracowników. Jest wśród nich Marek Lasota, który za 7 lat zostanie szefem placówki. – Utkwił mi ten moment w pamięci – wspomina Lasota. – Kurtyka popatrzył na nas i z powagą zapytał: „Panowie, zdajecie sobie sprawę, że to robota góra na 15 lat? Uporządkujemy akta, skatalogujemy i do widzenia".

IPN, powołany przez Sejm ustawą z 1998 r., rozpoczął działalność dwa lata później. W pierwotnym kształcie miał się zająć zwłaszcza archiwami komunistycznego aparatu represji, które 10 lat po zmianie ustroju były nadal tajne – choć np. w Niemczech archiwum Stasi otwarto już w 1992 r. IPN miał przejąć te dokumenty od służb III RP, opracować, udostępnić ofiarom, historykom i mediom.

Do jego zadań należało także wpieranie lustracji, czyli badania przeszłości polityków i urzędników. Miał również ścigać sprawców zbrodni z okresu po 1939 r. i prowadzić badania historyczne. Również regionalne: obok centrali w Warszawie, mieszczącej się dziś przy ul. Janusza Kurtyki, powołano kilkanaście oddziałów. W 2016 r. do ich zadań doszło upamiętnienie ofiar II wojny i komunizmu oraz poszukiwanie ofiar pochowanych w anonimowych grobach.

W lustrze sporów

Blisko 25 lat po spotkaniu przy Mikołajskiej większość jego uczestników jest poza Instytutem. Kurtyka, który w 2005 r. stanął na czele IPN – jako następca pierwszego prezesa Leona Kieresa – zginął w katastrofie smoleńskiej.

Karol Nawrocki, piąty w kolejności prezes – po Łukaszu Kamińskim i Jarosławie Szarku – wygrał wybory prezydenckie po kampanii, której przebieg w pewnym sensie potwierdził intuicję Kurtyki: w Polsce roku 2025 archiwa SB nie mają już ciężaru politycznego. Po części za sprawą upływu czasu, a po części dlatego, że linie podziałów w sporach historycznych biegną gdzie indziej niż 25 lat temu.

Kurtyka mylił się za to w jednym: w życiu publicznym i nauce IPN wciąż odgrywa na tyle ważną rolę – jako lustro, w którym odbijają się spory o przeszłość, a czasem jako ich uczestnik – żeby po ćwierćwieczu zapytać, czym powinien być w przyszłości. Niektóre jego funkcje, jak lustracja i ściganie przestępstw, się wyczerpują. Za prezesury Szarka, a zwłaszcza Nawrockiego, IPN zaczął być w dodatku postrzegany jako „Wydział Historyczny PiS". Wielu pracowników niezgadzających się z linią prezesa wolało odejść lub zostało zwolnionych.

– Od kilku lat nie jestem związany z IPN, ale nadal piszę, bywam na konferencjach, śledzę publikacje – mówi Marek Lasota. – I przy całym szacunku dla jego pracowników muszę ze smutkiem stwierdzić, że Instytut buksuje w miejscu.

Zajrzeć PRL-owi do kuchni

Jeden z pierwszych pracowników Oddziału IPN we Wrocławiu, w późniejszych latach należący do kierownictwa IPN, dziś o Instytucie woli rozmawiać anonimowo. Bilans jego działalności ocenia jednak wysoko.

– Dlaczego się zgłosiłem? A dokąd w 2000 r. mógł pójść absolwent historii, który nie chciał iść do szkoły? – odpowiada.

Instytut zapewniał, jak mówi, stabilizację. – Poza tym kusiły nas teczki. Dla części kolegów otwarcie archiwów SB było aktem sprawiedliwości, okazją do odegrania się na komuchach, którzy suchą stopą przeszli przez transformację. Nie ukrywam – dodaje – że i mną częściowo kierowały podobne emocje, choć bardziej napędzała mnie naukowa ciekawość. Jak wielu, którzy doświadczyli PRL-u, chciałem zajrzeć władzy ludowej do kuchni.

ANATOL CHOMICZ / FORUM

Kampania billboardowa Oddziału IPN w Białymstoku z okazji Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych. 28 lutego 2025 r.

Lasota: – Gdy dziś siadam w pustawej czytelni akt IPN, wracają do mnie obrazki z początku XXI w.: wszystkie miejsca zajęte, ludzie czekający w kolejce po teczki.

W 2001 r. rząd Buzka, który stworzył IPN i otworzył archiwa, przegrywa wybory. Władzę obejmuje SLD. Postkomuniści, na czele z prezydentem Kwaśniewskim, tolerują istnienie IPN-u, lecz nie ułatwiają mu pracy. Promują hasło „Wybierzmy przyszłość" – bez rozliczeń. Obóz postsolidarnościowy – poza Lechem Wałęsą i częścią Unii Wolności – skłania się ku lustracji. Kwestia interpretacji tzw. teczek dzieli jednak opinię publiczną.

– Lektura polemik z tamtych lat uświadamia, że duopolu w polskiej polityce nie wymyślili Tusk z Kaczyńskim – kiwa głową wrocławski historyk. – My w tej dynamice funkcjonujemy nieprzerwanie od roku 1989, inne są tylko linie podziału. Przecież jeszcze w 2005 r. PO, która w fotelu prezesa IPN widziała Andrzeja Rzeplińskiego, ostatecznie poparła kandydaturę Kurtyki.

IPN również nie był ideowym monolitem. Jak mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Antoni Dudek, były pracownik IPN-u i autor jego monografii, w Instytucie szybko czytelne stały się sympatie polityczne pracowników. – Jedną skrajnością był Oddział IPN w Krakowie. Kurtyka otoczył się tam młodymi historykami o bliskim mu światopoglądzie, który zdefiniowałbym jako narodowo-konserwatywny. Ludzi, którzy się przewinęli przez krakowski IPN, faktycznie można było potem znaleźć wysoko w strukturach PiS-u. To np. Ryszard Terlecki czy Marek Lasota, którego w 2014 r. PiS wystawił do wyborów prezydenta Krakowa.

– Mieliśmy jednak również oddział lubelski, gdzie w analogiczny sposób jego szef skupił wokół siebie ludzi o poglądach dalekich od konserwatywnych – zaznacza Dudek. – Z kolei w centralnym Biurze Edukacji Publicznej IPN pracowałem wtedy z Janem Żarynem, z którym dziś pewnie nikt by mnie nie zestawiał w jednym światopoglądowym szeregu.

Wrocławski historyk wspomina to inaczej: – Mieliśmy oczywiście różne sympatie polityczne, ale wydaje mi się, że potrafiliśmy nie przynosić ich do pracy. Kurtyka był krewkim facetem, potrafił rzucać kurwami pod adresem pracowników, ale rugał za błędy warsztatowe, a nie za poglądy. No i mieliśmy też różne zainteresowania naukowe. Np. wielu kolegów, którzy byli wychowankami prof. Tomasza Strzembosza, ciągnęło w stronę badań ↦

nad podziemiem niepodległościowym po 1945 r. Niektórzy dziś tego żałują.

Historyczne nowalijki

Sobota, 10 kwietnia 2010 r. Serwisy informacyjne podają listę ofiar katastrofy w Smoleńsku. Ten dzień wpłynie też na funkcjonowanie IPN-u, który od dłuższego czasu jest krytykowany z dwóch stron.

Krytycy lustracji twierdzą, że uprawia „żonglerkę" teczkami. Inni – że za wolno udostępnia archiwa. Aby wymusić przyspieszenie, w 2005 r. były opozycjonista Bronisław Wildstein wynosi z archiwum i udostępnia w sieci katalog. Nazwany „listą Wildsteina", zawiera 160 tys. nazwisk, z których tylko część to współpracownicy SB – są tu też osoby typowane przez SB do współpracy, które jej nie podjęły.

W 2008 r. IPN wydaje z kolei książkę, której autorzy stawiają Lechowi Wałęsie zarzut współpracy z SB w latach 1970-76 (jego trafność potwierdzą potem akta odnalezione w domu b. szefa MSW Czesława Kiszczaka). Wałęsa zaprzecza, a wielu widzi w tej publikacji dowód na upolitycznienie Instytutu i jego związki z PiS, który w latach 2005-07 tworzy rząd. Już wcześniej, gdy w 2006 r. rząd PiS nowelizuje ustawę o IPN, argumentując, że ma to ułatwić lustrację i dostęp do archiwów, opozycja widzi w tym wciąganie Instytutu w politykę. Zgody, która pozwoliła wspólnie wybrać Kurtykę, już nie ma. Rozwija się konflikt PiS-PO.

– IPN robił kolejne przecieki – mówi dziś w rozmowie z „Tygodnikiem" b. prezydent Bronisław Komorowski – ale bracia Kaczyńscy stali na stanowisku, że bilans jego działań jest korzystny. Ja należałem do tych, których niepokoiło jego upolitycznienie. Uważałem, że IPN jest jednak Polsce potrzebny, tak jak lustracja i dalsze badania nad PRL. Dlatego byłem za bliższym związaniem Instytutu ze środowiskiem naukowym.

Śmierć Lecha Kaczyńskiego otwiera furtkę do takich zmian. Po wyborze na prezydenta Komorowski podpisuje nowelizację ustawy o IPN, która w miejsce wybieranego przez polityków Kolegium IPN powołuje Radę, obsadzaną przez przedstawicieli wydziałów historycznych z prawem do nadawania habilitacji. W 2011 r. następcą Kurtyki zostaje Łukasz Kamiński, wcześniej szef Biura Edukacji Publicznej.

> Były prezydent Bronisław Komorowski: Popełniliśmy błąd, zakładając, że temat teczek będzie stopniowo znikać z życia publicznego, a więc i historia z frontu bieżącej polityki wróci do gabinetów historyków.

– Z mojego punktu widzenia to najciekawszy okres działania IPN-u – wspomina jeden z pracowników pionu naukowego. – Instytut, który metodologicznie zawsze był dość konserwatywny, zaczął się otwierać na perspektywy badawcze inne niż klasyczna, oparta na analizie archiwów. Wydał np. ciekawą książkę o roli kobiet w oporze społecznym. Mieliśmy też próby spojrzenia na relację między ZSRR a PRL przez pryzmat narracji postkolonialnej.

– Ale w 2015 r. wybory wygrał PiS – dodaje historyk. – Rok później prezesem został Jarosław Szarek i, jak powiedział mi jeden z uszczęśliwionych tym kolegów, skończył się sezon na metodologiczne nowalijki.

– Z dzisiejszej perspektywy mogę powiedzieć, że popełniliśmy jeszcze jeden błąd – ocenia Komorowski. – Rząd i ja założyliśmy, że temat teczek będzie stopniowo znikać z życia publicznego, a więc i historia z frontu bieżącej polityki wróci do gabinetów historyków. Nie docenilismy PiS-u, który wysłał IPN na odcinek budowy nowej polskiej tożsamości narodowej.

Przeproście, to pogadamy

W czerwcu 2018 r. Sejm, w którym PiS ma większość, wykreśla z – uchwalonej pół roku wcześniej tą samą większością – nowelizacji ustawy o IPN zapis o karze więzienia za przypisywanie polskiemu narodowi lub państwu odpowiedzialności m.in. za zbrodnie III Rzeszy. Zmianę wymusza gwałtowna reakcja USA i Izraela. Protestują też niektórzy polscy historycy, argumentując, że zapis uniemożliwi np. rzetelne badania skali szmalcownictwa.

Pracownik warszawskiego IPN: – Instytut Kieresa, Kurtyki i Kamińskiego stał na straży pamięci takiego narodu, o jakim mówi konstytucja, czyli wszystkich obywateli. IPN Szarka i Nawrockiego dbał o pamięć o etnicznych Polakach. Często nawet kosztem tych nieetnicznych.

Część badaczy ma do dziś kaca po decyzji Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni w Rzeszowie, która w 2023 r. umorzyła śledztwo w sprawie Akcji „Wisła", uzasadniając, że „ewakuacja osób o narodowości ukraińskiej, łemkowskiej i polskiej miała charakter prewencyjny i ochronny, a nie represyjny". To teza sprzeczna z ustaleniami większości historyków, badających wydarzenia z 1947 r.

Rozmówca z IPN-u uważa, że to samo widać w badaniach nad Holokaustem. Od czasów Szarka władze Instytutu stoją w kontrze do wszystkiego, co podważa wyobrażenie o Polakach jako jedynie ofiarach II wojny światowej.

– Jeszcze przed publikacją kontrowersyjnej książki „Dalej jest noc" pod redakcją Barbary Engelking i Jana Grabowskiego do naszego oddziału przyszedł mail, jeśli dobrze pamiętam, z kancelarii premiera Morawieckiego – wspomina historyk. – Treść była króciutka: wychodzi taka a taka rzecz, rząd uważa ją za szkodliwą dla Polski, dlatego zaleca podjęcie polemiki z autorami. Poczułem niesmak. Nie dlatego, że rząd coś zleca Instytutowi, ale dlatego, że z góry zastrzega, jaki ma być efekt. Przypomniało mi się, z jaką klasą w 2002 r. IPN punktował błędy w „Sąsiadach" Grossa.

– Założenie, że ofiary nie mogą być także sprawcami, a poznanie bolesnych faktów z własnej przeszłości jest równoznaczne z utratą tożsamości, zredukowało badania IPN nad Zagładą do karykatury – uważa prof. Dudek. – Instytut sam się pozbawił wiarygodnego głosu w debacie z badaczami, którzy popełniają podobny błąd po drugiej stronie i demonizują stosunek Polaków do Żydów. Wszystko sprowadza się teraz do prostej wyliczanki: tylu sprawiedliwych za tylu a tylu szmalcowników.

– Trudno o wymianę poglądów w sytuacji, gdy historia najnowsza uprawiana przez IPN musi się mieścić w założeniu, że Polskę trzeba najpierw przeprosić lub pochwalić – rozkłada ręce pracownica

pionu badawczego. – Jakiś czas temu, rejestrując się na zagranicznej konferencji naukowej, zostałam poproszona przez organizatorów, by afiliować się nazwą drugiego instytutu, w którym pracuję, bo nazwa IPN nie zapowiada merytorycznego wystąpienia.

„Dary Pomorza"

W październiku 2024 r. – miesiąc przed ogłoszeniem Karola Nawrockiego kandydatem PiS-u na prezydenta – IPN uruchamia ogólnopolski program edukacyjny „Silni Polską". Ma być realizowany we wszystkich powiatach i rozbudzić zainteresowanie historią, zwłaszcza wśród młodzieży.

– Zaskoczyło mnie, jak bardzo Nawrocki się w tę akcję angażuje, bo to nie typ szefa, który wszystkiego dogląda osobiście. U nas w oddziale był może dwa razy – mówi pracownik IPN. – Tymczasem na imprezach tego cyklu zjawiał się regularnie. Skleiło mu się to z kampanią wyborczą tak idealnie, że niektórzy w Instytucie podejrzewali, że to nie może być zbieg okoliczności. Pojawiły się pogłoski, że pieniądze na projekt „Silni Polską" IPN dostał jeszcze w budżecie na rok 2023, który uchwalił rząd PiS. To oczywiście nie musi oznaczać, że już wtedy Nawrockiego przymierzano na prezydenta. Możliwe, że Instytutowi wyznaczono jedynie rolę do odegrania w kampanii – snuje domysły pracownik IPN.

Polityczne ambicje Nawrockiego od dawna były wśród podwładnych tajemnicą poliszynela.

– O ile za Szarka można było liczyć na to, że pewne decyzje rozejdą się po kościach, bo prezes był osobą dość spontaniczną w planowaniu i działaniu, o tyle za Nawrockiego szybko zrobiło się poważnie – to opinia innego pracownika. – Zaczął prowadzić Instytut żelazną ręką. Otoczył się zaufanymi ludźmi z Gdańska, których szybko nazwano „Darami Pomorza". Byli wśród nich ludzie, którzy nawet nie studiowali historii, ale to dla prezesa nie stanowiło problemu. Pion naukowy, który już za Szarka tracił na znaczeniu na rzecz edukacji, za Nawrockiego został całkowicie zmarginalizowany.

– Zaczęły się problemy z pracą w kilku miejscach jednocześnie – wspomina historyczka. – Średnią pensję w IPN-ie windują zarobki prokuratorów z działu śledczego. Aby godnie żyć, musimy łączyć tę posadę np. z etatem na uczelni lub w szkole. Nawrocki zaczął cofać zgody na to niewygodnym podwładnym, trafnie zakładając, że prędzej rzucą lepiej płatną pracę w IPN, której nie można łączyć z inną, niż zrezygnują z drugiej niższej pensji, do której będą jednak mogli dorobić gdzie indziej.

IPN i rząd dusz

Prof. Grzegorz Motyka, członek Kolegium IPN: – Kadencje Nawrockiego i Szarka oceniam krytycznie. Akcent położono na działalność edukacyjną, która nierzadko jest instrumentalizowana politycznie na rzecz wizji historii bliskiej PiS. Oczywiście wiele tych kosztownych kampanii jest też obiektywnie wartościowa.

– Mam żal, że bardzo zaniedbano pion naukowy – ciągnie Motyka. – Mniej uwagi poświęca się rozliczeniom zbrodni z przeszłości, czego najlepszym dowodem umorzenie śledztwa w sprawie Akcji „Wisła". IPN nie zrobił też nic, by odblokować rozmowy z Ukraińcami w sprawie ekshumacji na Wołyniu.

Czy taki IPN może jeszcze mieć rząd dusz? Antoni Dudek uważa, że miliony złotych wkładane co roku przez IPN w działania mające zaszczepić opinii publicznej wizję tożsamą z PiS-owską wykładnią historii nie przynoszą efektów adekwatnych do nakładów.

– Powiedziałbym, że IPN nie jest nawet liderem opinii, bo jego narracja pozostaje w cieniu innych – uważa Dudek. – Szkoda, że w kampanii rywale nie pytali prezesa Nawrockiego, jaką widownię gromadzą produkcje Instytutu na YouTubie. Albo jak się sprzedają ich patriotyczne komiksy i gry historyczne. Ludzie z IPN-u odpowiedzieliby zapewne, że to efekt braku szerokiego zainteresowania tematyką historyczną. Ale na podstawie własnych doświadczeń mogę stwierdzić, że to bzdura.

Doświadczenia, do których nawiązuje historyk, to jego autorski kanał „Dudek o historii", na którym w 2,5 roku opublikował 106 filmów. Subskrybuje go 161 tys. osób, a liczba wyświetleń przekroczyła 18,7 mln. ↦

Ćwierć wieku z Instytutem

1998 – Sejm powołuje do życia IPN

2002 – pion prokuratorski IPN przedstawia raport, w którym potwierdza aktywny udział Polaków w spaleniu ok. tysiąca Żydów w stodole w Jedwabnem w 1941 r.

2005 – afera z tzw. listą Wildsteina, czyli wewnętrzną bazą IPN danych współpracowników SB oraz kandydatów na TW, do której skopiowania oraz udostępnienia znajomym dziennikarzom przyznał się ówczesny publicysta „Rzeczpospolitej".

2005 – prezes IPN Leon Kieres ujawnia, że pracujący z polskimi pielgrzymami w Rzymie dominikanin Konrad Hejmo był współpracownikiem SB.

2008 – Instytut wydaje książkę „SB a Lech Wałęsa", autorstwa Sławomira Cenckiewicza i Piotra Gontarczyka. Na podstawie niekompletnych dokumentów historycy stawiają tezę, że Wałęsa w pierwszej połowie lat 70. kolaborował z SB, jako prezydent zaś niszczył dokumenty potwierdzające jego współpracę.

2010 – prezes IPN Janusz Kurtyka ginie w katastrofie smoleńskiej.

2012 – na tzw. Łączce na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach ruszają ekshumacje żołnierzy podziemia niepodległościowego, zamordowanych i skrycie tam pochowanych na przełomie lat 40. i 50.

2016 – Maria Kiszczak, żona niedawno zmarłego b. szefa MSW, składa prezesowi Instytutu propozycję zakupu teczek operacyjnych SB. Przeszukanie w domu Kiszczaków skutkuje odnalezieniem teczki TW Bolka. Dokumenty potwierdzają fakt współpracy Wałęsy w latach 1970-76, ale wykazują też, że później Wałęsa ją zerwał.

2018 – Sejm nowelizuje ustawę o IPN, wprowadzając m.in. karę za propagowanie poglądu, że Polacy byli współodpowiedzialni za Holokaust. Pod naciskiem USA i Izraela rząd PiS cofa nowelizację.

2023 – prezes IPN Karol Nawrocki atakuje prof. Barbarę Engelking za jej wypowiedź w TVN24, że mordowani w czasie II wojny światowej Żydzi często nie mogli liczyć na pomoc Polaków.

2024 – sąd uchyla decyzję rzeszowskiego oddziału IPN, który rok wcześniej umorzył śledztwo w sprawie akcji „Wisła" jako zbrodni komunistycznej.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ

Oficjalny kanał IPN.TV ma już 13 lat, a subskrybuje go 33 tys. osób. Łączna liczba wyświetleń wszystkich 3824 opublikowanych materiałów to 89,5 mln. Jedno nagranie Dudka – przygotowywane, jak mówi autor, z pomocą jednego współpracownika – ma więc średnio 176,5 tys. wyświetleń, gdy na kanale IPN średnia to 23 tys. wyświetleń.

Instytut publikuje oczywiście nie tylko w sieci. Jego wydawnictwo w tracie ponad 20 lat wydało przeszło 4 tys. książek. Portfolio ma bogate i choć dominuje historia polityczna, zakrapiana miłym PiS-owi patriotyzmem w duchu narodowo-katolickim, nie brak też publikacji wolnych od takiej optyki. IPN publikuje też wartościowe rzeczy o charakterze niszowym, np. opracowanie o losach Słowaków walczących w powstaniu warszawskim.

Dyrektor biura prasowego IPN dr Rafał Leśkiewicz w odpowiedzi na pytanie o średni drukowany nakład publikacji uściśla, że oscyluje on zwykle wokół 700 egzemplarzy w przypadku książek i tysiąca, gdy mowa o albumach i komiksach.

Były pracownik IPN: – Uważam, że na polu wydawniczym Instytut robi dobrą, ale rzadko docenianą robotę. Nie można czynić mu zarzutu, że w swych publikacjach trzyma się blisko dokumentów ze swoich archiwów, bo do tego został powołany. Dziesiątki badaczy bazują potem na fragmentarycznych ustaleniach historyków IPN-u i budują z nich większe opowieści, ale to nie znaczy, że ta praca u archiwalnych podstaw nie ma wartości.

Historycy spoza IPN nie do końca się z tą oceną zgadzają. Badaczka dziejów najnowszych z UJ początkowo wyraża zgodę na rozmowę, ale po konsultacji z przełożonymi prosi o usunięcie swojego nazwiska. – Instytut unika dużych i nowych pytań – mówi. – Nie inicjuje ważnych badań i debat o tym, jakim transformacjom podlegało państwo i społeczeństwo w XX w., nawet w tak wydawałoby się oczywistych kwestiach, jak badania nad oporem społecznym. Co roku publikuje dziesiątki prac, w większości metodologicznie poprawnych, ale w moim przekonaniu niewnoszących wiele do dyskusji o najnowszej historii. W tym sensie pieniądze inwestowane w jego działalność badawczą trudno uznać za wydane w sensowny sposób.

> Instytut unika dużych i nowych pytań. Co roku publikuje dziesiątki prac, metodologicznie poprawnych, ale niewnoszących wiele do dyskusji o najnowszej historii Polski.

Oddać IPN narodowi

Były historyk IPN z Wrocławia: – Nie mam gotowej recepty, jak zreformować Instytut, by przywrócić go społeczeństwu. Z sensem na pewno mija się utrzymywanie tak rozbudowanego pionu śledczego, za który robotę załatwia, bądźmy szczerzy, upływ czasu. Część budżetu przesunąłbym do działu naukowego, ale z założeniem, że próbujemy syntetyzować zebraną wiedzę, zamiast tłuc opracowania losów kolejnego oddziału partyzanckiego.

– Największy problem mam z działem edukacji – dodaje. – Z jednej strony robią dużo dobrej roboty, z drugiej nie stronią od propagitki. Odsłaniają gdzieś pomnik, nawet nie udając, że nie robią tego w ramach kampanii wyborczej miejscowego posła czy wójta. Tylko że kilka lat później nikt już nie pamięta, kto przeciął wstęgę, za to zostaje pomnik i pamięć o kimś, wokół kogo mieszkańcy mogą zbudować lokalną wspólnotę.

Do reformy, która odebrałaby IPN jego zasoby archiwalne, nie palą się nawet historycy spoza Instytutu. – Ustawa o IPN zapewnia nam dostęp do materiałów, do których nie mielibyśmy tak łatwego wglądu, gdyby należały do Archiwum Państwowego, które zwykle udostępniają dokumenty po 70 latach od ich wystawienia – mówi badaczka z UJ. – Takiej przeprowadzki nie da się też zrobić bez przeniesienia wraz z aktami archiwistów, którzy je znają.

Spójnego pomysłu na IPN nie mają wreszcie politycy koalicji rządzącej. W kampanii niektórzy posłowie KO sygnalizowali gotowość poparcia idei likwidacji Instytutu, formułowanej przez lewicę. Ale dziś, gdy prezydentem został Nawrocki, wiadomo, że głębsze zmiany w ustawie o IPN nie są możliwe.

Problemy może napotkać już próba wyboru nowego prezesa. Kandydatów wyłania Kolegium IPN (przywrócone w miejsce Rady przez PiS), w którym dominują sympatycy PiS-u. Jest więc mało prawdopodobne, by zaproponowało kogoś, kto uzyska głosy większości Sejmu.

Dlatego scenariusz najbardziej realny to interregnum: urzędowanie Karola Polejowskiego w roli p.o. szefa IPN-u. To wiceprezes, którego namaścił udający się na kampanijny urlop Nawrocki. Inny wariant to „kandydat środka", akceptowalny dla obu stron. W tej roli część komentatorów widzi drugiego wiceprezesa IPN-u Mateusza Szpytmę, kiedyś bliskiego współpracownika Kurtyki. Łączą go dobre relacje nie tylko z PiS, ale też z PSL (zajmował się badaniem ruchu ludowego).

Historia IPN na pewno nie zatrzyma się więc na roku 2025. Trudniej przewidzieć jego przyszłość. Oba skłócone obozy polskiej polityki zgadzają się tylko co do jednego: Instytut jest prawicowy. Dla jednych to źle. Dla drugich – wprost przeciwnie.

©℗ MAREK RABIJ

Współpraca: PIOTR ŚMIŁOWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny: PIOTR MUCHARSKI
Zastępcy red. naczelnego:
EWELINA BURDA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI
Redakcja:
www.tygodnikpowszechny.pl/redakcja
Wydawca:
Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji:
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl

promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów:
www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

suplement diety

BALLAMIN® B COMPLEX

B1

B6

B12

NOWOŚĆ!

Neutropowe witaminy z grupy B na wsparcie układu nerwowego i uzupełnienie niedoborów w diecie.[1]

Ballamin® B Complex to suplement diety zawierający witaminy z grupy B.

Synergia witamin z grupy B dla wsparcia procesów zachodzących w układzie nerwowym – łączne podawanie witaminy B1, B6 i B12 to jedno z najkorzystniejszych połączeń.

Ballamin®Forte to suplement diety zawierający witaminę B12 w dawce 500 mcg.

REKLAMA

1. EFSA, Unijny Rejestr oświadczeń żywieniowych i zdrowotnych. Oświadczenia dla witamin: B1, B6, B12, https://ec.europa.eu/food/food-feed-portal/screen/health-claims/eu-register (2025.02.24)

Podmiot odpowiedzialny : M.C.M Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o. Producent: Curtis Health Caps S.A. Bal.2025.05.06

SUPLEMENT DIETY

Suplementy diety nie może być stosowany jako substytut (zamiennik) zróżnicowanej diety.

WSZYSCY LUDZIE PREZYDENTA

W nadchodzących miesiącach czeka nas brutalna wojna o władzę i pogłębianie rowów między milionami wyborców zwaśnionych stron. To fatalna prognoza dla Polski, zwłaszcza w kontekście trudnej sytuacji międzynarodowej.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Nominacje personalne w otoczeniu Karola Nawrockiego sugerują, że będzie to prezydentura nastawiona na obalenie rządu Donalda Tuska. Podobne opinie, z sugestiami kolejnych nazwisk, słyszymy w PiS. Potwierdza to pośrednio Przemysław Czarnek, typowany na szefa Kancelarii Prezydenta.

– Prezydent ma inicjatywę ustawodawczą, ma radę gabinetową, ma prawo weta. Będzie z tych kompetencji korzystał bardzo ofensywnie – zapowiada w rozmowie z „Tygodnikiem".

Jednak podczas ubiegłotygodniowej uroczystości wręczenia zaświadczenia o wyborze prezydent-elekt Karol Nawrocki wypowiadał się pojednawczo. Zapowiedział, że chce być prezydentem także tej połowy Polski, która na niego nie głosowała. Czy prawdą jest ta deklaracja, czy raczej liczne wojownicze słowa wypowiadane w kampanii?

Lśniąca gwiazda Szefernakera

Na dziś sposób sprawowania urzędu prezydenta przez Nawrockiego pozostaje zagadką. To pierwsza głowa państwa, o której wiadomo tak niewiele. Wszyscy jego poprzednicy mieli większe lub mniejsze doświadczenie w życiu politycznym, a o prezydenturze dotychczasowego prezesa IPN można tylko spekulować na podstawie rozproszonych sygnałów.

W niedawnym wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" Nawrocki z jednej strony deklarował wolę współpracy z rządem i mówił o „linii demarkacyjnej" w kwestiach bezpieczeństwa i obronności, ale z drugiej – zapowiedział twarde stanowisko w sprawie planowanych przez koalicję zmian w sądownictwie, Trybunale Konstytucyjnym oraz w kwestii nominacji na ambasadorów takich osób jak Bogdan Klich czy Ryszard Schnepf.

Co do zaplecza, nieoficjalnie wiadomo, że początkowo prezydent-elekt miał bardziej autorski pomysł, ale został przymuszony przez PiS do akceptacji niektórych nominacji.

Wyborem samego Nawrockiego jest na pewno przyszły szef gabinetu Paweł Szefernaker, który kierował w kampanii jego sztabem wyborczym – panowie ponoć bardzo dobrze się dogadywali. Szefernaker, jak można usłyszeć w samym PiS, jest uważany za człowieka środka, unikającego skrajności, merytorycznego, którego trudno wyprowadzić z równowagi, więc zawsze można wysłać go do mediów. Ma też opinię człowieka stroniącego od alkoholu podczas partyjnych popijaw.

Chwalą go zresztą także przeciwnicy polityczni. – Gdy był wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji, to zawsze, gdy się do niego zwracałam w jakiejś merytorycznej sprawie, potrafił szybko ją podjąć – mówi posłanka KO, prosząc o anonimowość.

Nowy szef gabinetu prezydenta jest wychowankiem wpływowego w PiS Joachima Brudzińskiego; początkowo był jego asystentem, a potem mocno promowanym działaczem młodego pokolenia. Zarazem sam wykazał się wieloma talentami, wygrywając dla PiS okręg koszaliński (na niechętnym partii Pomorzu Zachodnim), skąd od 2015 r. skutecznie kandyduje do Sejmu.

Wiceministrem MSWiA był od 2018 r., a za jego największe osiągnięcie uważa się sprawne zorganizowanie pomocy dla uchodźców z Ukrainy po wybuchu wojny w lutym 2022 r. Ukoronowaniem pracy Szefernakera w tym resorcie było powierzenie mu stanowiska ministra spraw wewnętrznych i administracji przez Mateusza Morawieckiego w jego dwutygodniowym rządzie.

Czarnek dokończy dzieła

Nieoficjalnie można usłyszeć, że początkowo Szefernaker chciał być szefem całej kancelarii, ale pod naciskiem kierownictwa PiS pojawiła się inna idea: by na jej czele postawić Przemysława Czarnka.

Były minister edukacji to przeciwieństwo Szefernakera, więc pomysł nominowania go na szefa całego prezydenckiego zaplecza jest powszechnie komentowany jako zapowiedź totalnej wojny z rządem i prognoza prezydentury upartyjnionej. Od czego zresztą sam Czarnek się nie odżegnuje.

W rozmowie z „Tygodnikiem" – zastrzegając, że żadne decyzje personalne nie zapadły, choć on jest do dyspozycji prezydenta – Czarnek przyznaje, że prezydentura Nawrockiego będzie oznaczać „ofensywę polityczną i legislacyjną". Głowa państwa będzie więc do maksimum wykorzystywała stosunkowo niewielkie uprawnienia konstytucyjne, na czele z wetem.

– Karol Nawrocki wielokrotnie mówił, że głosowanie w wyborach prezydenckich to nie jest tylko wybór, kto będzie głową państwa, ale to także głosowanie za albo przeciw Tuskowi. Polacy zagłosowali przeciwko premierowi, a teraz trzeba dokończyć dzieła – mówi.

Czarnek podkreśla też inny aspekt: do maksimum mają być wykorzystane dobre relacje Nawrockiego z prezydentem USA Donaldem Trumpem (być może również do nacisków na rząd). Zresztą także Paweł Szefernaker przyznaje w rozmowie z „Tygodnikiem", że formuła kohabitacji Nawrockiego z koalicją 15 października będzie się różnić od modelu praktykowanego w czasach Andrzeja Dudy. Zwłaszcza że był to okres końcówki jego misji, a Nawrocki jest nowym prezydentem, wyposażonym w silny mandat społeczny. – To będzie niezwykle dynamiczna, aktywna prezydentura. To, co mówił Karol Nawrocki w kampanii, będzie realizowane – przekonuje nas Szefernaker.

O polityczną ofensywę ma dbać głównie Czarnek, który nie raz dał się poznać jako fighter. Zresztą jesienią ubiegłego roku był rozważany jako potencjalny kandydat PiS i przegrał z Nawrockim na ostatniej prostej. Potem został włączony w kampanię, ale to właśnie on wyświadczył kandydatowi niedźwiedzią przysługę, kategorycznie przekonując na jednej z konferencji prasowych, że Nawrocki podpisał z Jerzym Ż. akt notarialny w sprawie sprzedaży słynnej kawalerki i mu zapłacił. Potem okazało się to nieprawdą.

W PiS można usłyszeć, że nominacja dla Czarnka to nie tylko kwestia nadania prezydenturze Nawrockiego wyraźnego, wojowniczego i PiS-owskiego oblicza, ale ma też tło rozgrywek wewnątrzpartyjnych. W ostatnich miesiącach Czarnek miał rzekomo zawrzeć nieformalny sojusz z frakcją Mateusza Morawieckiego i podczas zaplanowanego na koniec czerwca kongresu PiS przypuścić atak na pozycję Jarosława Kaczyńskiego. Było to jednak zaplanowane na sytuację, w której Nawrocki przegrywa wybory, a prezes jest uznany za współodpowiedzialnego za porażkę. ↦

Przemysław Czarnek, Paweł Szefernaker i Karol Nawrocki. Warszawa, 18 marca 2025 r.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Czy Kancelarię pożre konflikt

Plan nie wypalił, bo Nawrocki niespodziewanie zwyciężył. W tej sytuacji Kaczyński miał rozbić domniemany sojusz Morawieckiego z Czarnkiem poprzez wysłanie tego ostatniego do Pałacu. Z kolei ludzie Morawieckiego, jak można usłyszeć u wpływowych polityków PiS, nie znajdą się w otoczeniu prezydenta, bo byłemu premierowi zarzuca się, iż słabo angażował się w kampanię „kandydata obywatelskiego".

Jeden z posłów PiS tłumaczy, że nominacja Czarnka ma służyć osłabieniu spodziewanego konfliktu między prezydentem a jego zapleczem politycznym. Dziś wiadomo, że więzi między dotychczasowym prezesem IPN a PiS nie są zbyt silnie, a prezydent-elekt zdaje się równie chętnie spoglądać w kierunku Konfederacji. – Konflikt między prezydentem a jego zapleczem jest w pewnych sprawach nieunikniony. Możliwy jest nawet wtedy, gdy kończy się kohabitacja i zaplecze ma już swojego premiera. Tak było w przypadku Aleksandra Kwaśniewskiego i Leszka Millera, Donalda Tuska i Bronisława Komorowskiego, a także ostatnio Andrzeja Dudy i premierów z PiS – mówi nasz rozmówca.

Na razie PiS wciąż nie rządzi, ale niektórzy politycy tej partii i tak przyznają, że współpraca Nawrockiego z Czarnkiem nie musi układać się harmonijnie. Obaj są bowiem „samcami alfa". Niektórzy przywołują analogię z prezydenturą Lecha Wałęsy, u którego pierwszym szefem kancelarii był Jarosław Kaczyński. To także był model bardziej politycznego niż urzędniczego szefa kancelarii, który jednak się nie sprawdził. Kaczyński zajęty był głównie budową swojego zaplecza, czyli Porozumienia Centrum, i po niecałym roku śmiertelnie skłócił się z Wałęsą – wrogami są zresztą do dziś. W późniejszych latach już o wiele rzadziej praktykowano model kancelarii z silnym politykiem na jej czele.

Przemysław Czarnek ma podobno obiecane, że niezależnie od wszystkiego w 2027 r. znajdzie się na listach wyborczych PiS. To o tyle ważne, że teraz (po ewentualnym objęciu nowej funkcji u Nawrockiego) będzie się musiał zrzec mandatu poselskiego, podobnie jak Szefernaker.

Poza nimi dwoma do zaplecza Nawrockiego mają trafić również inni politycy PiS. Na stanowisko sekretarza stanu ds. międzynarodowych szykuje się Marcin Przydacz, który pracował już w kancelarii prezydenta Dudy. Z kolei doradcą (także ds. międzynarodowych) ma się stać były europoseł PiS Jacek Saryusz-Wolski, który do 2010 r. był wiceprzewodniczącym PO, a dziś jest jej zapiekłym wrogiem.

PAWEŁ SZEFERNAKER:

To będzie niezwykle dynamiczna, aktywna prezydentura. To, co mówił Karol Nawrocki w kampanii, będzie realizowane.

PRZEMYSŁAW CZARNEK:

Polacy zagłosowali przeciwko premierowi Tuskowi. Teraz trzeba dokończyć dzieła.

Desant z Gdańska

Nie wiadomo, co stanie się z innymi członkami sztabu wyborczego Nawrockiego, w którego składzie było wielu polityków PiS – poza wymienionymi wyżej m.in. Zbigniew Bogucki, Anna Gembicka, Marcin Horała, Jan Kanthak, Andrzej Śliwka, Adam Andruszkiewicz czy Sebastian Kaleta. Większość z nich nie trafi do kancelarii, choć bardzo prawdopodobne jest zatrudnienie Andruszkiewicza.

– Karol Nawrocki przez sześć miesięcy kampanii miał szansę przyjrzeć się ludziom, którzy z nim współpracowali. Bywali z nim w różnych sytuacjach, więc patrzył na nich także pod kątem wykorzystania po ewentualnym zwycięstwie – uważa poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk.

Wiadomo, że Nawrocki raczej nie skorzysta z zaplecza prezydenta Dudy, choć nie można wykluczyć, że przez jakiś czas w Pałacu pozostanie (na innym stanowisku) dotychczasowa szefowa kancelarii, prawniczka Małgorzata Paprocka. W 2027 r. mogłaby kandydować do parlamentu z list PiS, gdyż udało jej się zdobyć sporą rozpoznawalność.

Dużą część kancelarii Karol Nawrocki ma natomiast budować, opierając się na swoich dotychczasowych współpracownikach z IPN oraz Muzeum II Wojny Światowej. I tak jak w przypadku Dudy nastąpił „desant z Krakowa", tak tym razem oczekiwany jest „desant z Gdańska". Większość bliskich współpracowników prezydenta-elekta wywodzi się bowiem z jego rodzinnego miasta.

Zastępcą szefa gabinetu ma być Jarosław Dębowski, dowodzący gabinetem Nawrockiego, gdy ten był prezesem IPN. Rzecznikiem prasowym prezydenta zostanie dotychczasowy rzecznik IPN, Rafał Leśkiewicz. O tym ostatnim można usłyszeć, że jest merytoryczny i potrafi dogadać się z każdą ekipą. Wśród pracowników IPN krąży żart, że Leśkiewicz powinien być wpisany do ustawy o Instytucie. W ciągu ostatnich 25 lat piastował w nim bowiem różne odpowiedzialne funkcje, niezależnie od tego, kto był prezesem. W roku 2021, gdy Nawrocki po kilkuletniej przerwie wrócił do IPN jako prezes, Leśkiewicz był jego przewodnikiem po personalnych i kadrowych meandrach tej instytucji.

Największe szanse na kierowanie Biurem Bezpieczeństwa Narodowego ma raczej nie prof. Sławomir Cenckiewicz, który, jak zapowiedział sam Nawrocki, tak czy inaczej będzie jego współpracownikiem, ale prof. Grzegorz Berendt, od lat blisko związany z Nawrockim. Był on m.in. promotorem pracy doktorskiej prezydenta-elekta, obaj współpracowali też w gdańskim IPN, w 2021 r. zaś Berendt zastąpił Nawrockiego na stanowisku dyrektora Muzeum II Wojny Światowej. Zarówno Berendta, jak i Cenckiewicza oraz byłego prezesa Urzędu ds. Kombatantów Jana Józefa Kasprzyka wymienił w kontekście pionu bezpieczeństwa sam Nawrocki.

Na giełdzie można też usłyszeć nazwisko innego gdańskiego historyka Daniela Wicentego, który jest kojarzony z obecnym doradcą Andrzeja Dudy, prof. Andrzejem Zybertowiczem. Ten ostatni najprawdopodobniej pozostanie doradcą także u Nawrockiego. Nadal aktualny

jest też angaż gdańskiego polityka Karola Rabendy, byłego wiceministra aktywów państwowych.

Idą Konfederaci

Nie wiadomo, czy Nawrocki skorzysta z polityków Konfederacji. Takie sugestie padają, jednak wicemarszałek Sejmu Krzysztof Bosak mówi, iż nie słyszał, by elekt rozmawiał z kimkolwiek z Konfederacji o współpracy. Bosak przyznaje jednak, że spodziewa się, iż realizowany przez Nawrockiego model prezydentury będzie „ostry, ale nie PiS-owski". – Rząd Tuska na pewno zatęskni za Andrzejem Dudą – ocenia.

Pytani przez nas politolodzy uważają, że dziś trudno powiedzieć coś naprawdę pewnego o modelu zbliżającej się prezydentury. Prof. Wawrzyniec Konarski, rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula, zwraca uwagę, że Nawrocki zaczął kampanię od twierdzenia, że jego intencją jest zasypywanie podziałów, a potem konsekwentnie powtarzał, że jego celem będzie obalenie rządu Tuska i doprowadzenie do jak najszybszych wyborów. – Ta prezydentura będzie się wikłać w sprzecznościach. Nawrocki teraz mówi, że chce być prezydentem wszystkich Polaków, ale to nie wytrzymuje krytyki, bo w działaniu jest politykiem nastawionym raczej na dzielenie – ocenia Konarski. – Trochę mi przypomina Mariana Krzaklewskiego, który mówiąc o jedności, walił pięścią w stół. Tyle że Krzaklewski był postacią trochę groteskową, natomiast Nawrocki wzbudza realne obawy – dodaje.

Prof. Anna Wojciuk z Uniwersytetu Warszawskiego uważa, że PiS obstawia Nawrockiego doświadczonymi politykami, żeby go kontrolować i „przywiązać do masztu" PiS, by za bardzo nie skręcał w kierunku Konfederacji. – Jest taka wypowiedź Rafała Ziemkiewicza, który w kontekście Nawrockiego przypomniał słowa ludzi, którzy wynaleźli AI, sami do końca nie wiedząc, jak ona działa. Moim zdaniem z politykami PiS jest podobnie – są nieco zaskoczeni sukcesem i nie wiedzą, jakim Nawrocki będzie prezydentem. Obstawiając go, chcą zagwarantować, że to nie będzie zupełny odlot. Ale jak będzie, dziś nie wie nikt – ocenia politolożka.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Cóż szkodzi dowieźć

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

SPOŁECZEŃSTWO | Z PiS-owskim prezydentem na karku koalicja nie spełni wielu obietnic, na czele ze związkami partnerskimi i liberalizacją aborcji. Jej szansą stają się projekty społeczne: trudne do wetowania, ale i trudne do przełknięcia dla rządowych księgowych.

Ani się obejrzeliśmy, a z będących na czołówkach wszystkich portali „100 dni rządu Tuska" zrobiło się (mniej więcej na przełomie kwietnia i maja) – dni pięćset. W dodatku przypieczętowanych przegranymi wyborami i ucieczką premiera do przodu, czyli skierowaną do parlamentu prośbą o wotum zaufania.

Odpowiedź na pytanie o bilans tego półtorarocza w kwestiach społecznych jest znacznie bardziej skomplikowana, niż chciałby Donald Tusk, przypisujący swojemu gabinetowi w trwającym niemal godzinę exposé nadzwyczajną wrażliwość na wykluczone grupy. Jest też ona mniej więcej tak samo pogmatwana, jak słynna lista „stu konkretów" Koalicji Obywatelskiej. Lista na bieżąco aktualizowana, tzn. oznaczana na zielono w punktach, które sami autorzy obietnic uznali arbitralnie za „dowiezione".

Sto niekonkretów

Faktycznie, są tam zapowiedzi ważne i spełnione z korzyścią dla obywateli, jak państwowe finansowanie *in vitro*, program „Aktywny rodzic" z tzw. babciowym, renta wdowia czy 30-procentowe podwyżki dla nauczycieli (na razie bez obiecanego mechanizmu stałej waloryzacji). Są tu rzeczy „dowiezione", ale różnie oceniane, jak krytykowane przez oświatowych ekspertów zadekretowanie ulgi od szkolnych zadań domowych. Mamy też na liście obietnice spełnione tylko w wyobrażeniu autorów (na jakiej podstawie zazieleniono uwolnienie „naszych dzieci od ciężkich plecaków", pozostanie ich słodką tajemnicą), a także wielki pakiet obietnic niespełnionych – choćby tych zdrowotnych i gospodarczych – oraz kilka wypełnionych, ale marginalnych. Są również wśród „stu konkretów" postulaty doskonale sprzeczne, jak kaskada zapowiedzi zniesienia albo obniżenia niektórych składek i podatków, której towarzyszą obietnice poprawy stanu usług publicznych.

Te pięćset dni z hakiem stało pod znakiem tymczasowości – Tusk i jego ekipa czekali na prezydenta Rafała Trzaskowskiego, dzięki któremu po czerwcu 2025 r. miało się stać możliwe „dowiezienie" rzeczy, które z Andrzejem Dudą były nierealne. Ale Karol Nawrocki w Pałacu Prezydenckim to – by przywołać sformułowanie premiera z sejmowego exposé – człowiek „co najmniej równie niechętny" wobec najbardziej kontrowersyjnych planów koalicji. Tych obyczajowych, jak liberalizacja prawa antyaborcyjnego i ustawa o związkach partnerskich, a także tych związanych z wymiarem sprawiedliwości.

W tej trudnej sytuacji szansą dla rządu na nową agendę – pozwalającą mieć nadzieję na utrzymanie władzy i zapisanie się w dobrej pamięci Polaków – stają się ważne projekty społeczne. Bardziej lub mniej medialne, ale z pewnością, przynajmniej niektóre, kosztochłonne. Zarazem ciężkie do zawetowania, bo obyczajowo neutralne i ważne dla bardzo wielu ludzi.

Zbyt dostatnia bieda

W medialnej ciszy i – niestety – w dostojnie powolnym tempie toczą się od miesięcy prace nad założeniami prowadzącymi do zmiany polskiego systemu pomocy społecznej. Mają one iść dwutorowo. Pierwszy to radykalna korekta zasad, na jakich wypłacane będą zasiłki dla najuboższych. Dotychczasowe reguły doprowadziły – jeszcze za kadencji PiS ↦

– do spektakularnej kompromitacji systemu pomocy społecznej. Jak bowiem inaczej nazwać sytuację, w której ludzie znajdujący się poniżej minimum egzystencji (a więc w położeniu zagrażającym życiu i zdrowiu) mają równocześnie dochody... zbyt wysokie, by otrzymać zasiłek? Spośród ok. 2,5 mln Polaków znajdujących się w 2023 r. w skrajnym ubóstwie nawet połowa mogła nie kwalifikować się do zasiłków – ten cokolwiek szeroki margines polskiej nędzy powinien spędzać sen z powiek każdemu politykowi odpowiedzialnemu za wielki kraj na ekonomicznym dorobku.

– Doprowadziliśmy do tej sytuacji, gdyż poprzednia weryfikacja dochodowych progów, które zgodnie z obecnymi przepisami zmieniają się co trzy lata, nastąpiła tuż przed początkiem fali wysokiej inflacji. W efekcie progi pozostawały przez trzy lata niezmienne, podczas gdy koszty życia drastycznie wzrosły – tłumaczy prof. Ryszard Szarfenberg, badacz zjawiska biedy, zasiadający w eksperckim zespole rekomendującym zmiany Ministerstwu Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. – Niestety nowy rząd nie wyciągnął z tego wniosków, gdyż w 2024 r., a więc ustawowe trzy lata po poprzedniej weryfikacji, zadekretował nową zmianę, ale na podstawie propozycji uwzględniających warunki z 2022 r., a nie z kolejnego roku wysokiej inflacji. W konsekwencji podwyżka była nie tylko spóźniona, ale też zbyt niska.

Co chce teraz zrobić ministerstwo, kierowane przez Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk z Nowej Lewicy? Zamierza wprowadzić coroczny obowiązkowy mechanizm weryfikacji kryteriów dochodowych, by polskie państwo przestało wreszcie – jak było przez lata – reakcję na biedę jedynie pozorować. Katarzyna Nowakowska, podsekretarz stanu w resorcie rodziny, zapewnia w rozmowie z „Tygodnikiem", że zmiany są gotowe i czekają tylko na wpisanie do wykazu prac rządu. – Wniosek o ten wpis wysłaliśmy już w styczniu. Obecna sytuacja jest niedopuszczalna. Bez tej zmiany trudno mówić o skutecznym działaniu systemu pomocy społecznej – przyznaje Nowakowska.

Pytana o drugą część reformy pomocy społecznej, odpowiada: – Chcemy przekierować system wsparcia z opartego na całodobowych placówkach w stronę bardziej zróżnicowanego i bazującego też na wsparciu w miejscu zamieszkania osoby z niepełnosprawnością czy seniora. Zmienimy wkrótce przepisy dotyczące mieszkań wspomaganych [to forma usługi społecznej zakładająca wsparcie w lokalnym środowisku beneficjenta – red.], które odtąd będą przysługiwały także osobom wymagającym całodobowego wsparcia, a nie, jak było do tej pory, tylko kilkugodzinnego. Efektem powinno być to, że więcej osób zamiast skierowania do DPS otrzyma możliwość zamieszkania w lokalu wspomaganym.

Wyprowadzka z placówki

Domy pomocy również czekają zmiany: resort rodziny zapowiedział na przyszły rok audyty w każdym spośród ponad ośmiuset polskich DPS-ów. Finansowany ze środków unijnych projekt jest odpowiedzią na ujawniane w mediach skandale, jak choćby ten w małopolskim Jordanowie, gdzie prowadzące ośrodek zakonnice miały się znęcać nad młodymi mieszkańcami.

– Poza skuteczniejszym wychwytywaniem przypadków łamania praw człowieka kontrole mają odpowiedzieć na pytanie, jaki odsetek mieszkańców całodobowych placówek nie musiałby tam przebywać, tzn. mógłby otrzymywać konieczną opiekę w miejscu zamieszkania – mówi prof. Szarfenberg.

Zmiany w pomocy społecznej to nie wszystko, co planuje resort rodziny. Na swój wielki projekt czeka od lat środowisko osób z niepełnosprawnościami. Ustawa o asystencji osobistej (zapewniająca ludziom wymagającym największego wsparcia bezpłatną pomoc asystenta w prowadzeniu niezależnej egzystencji) żyje co prawda medialnie od kilku lat, ale nadal pozostaje tylko w sferze rządowych planów.

– Jesteśmy blisko realizacji tej ustawy i bardzo o nią zabiegamy – zapewnia ministra Nowakowska, jednak nie podaje konkretnej daty, od której osoby z niepełnosprawnościami mogłyby liczyć na wsparcie. Tymczasem również ta zmiana pozwoliłaby tysiącom ludzi odroczyć albo nawet odwrócić będący niestety polską normą „wyrok": starość w domu pomocy społecznej. W Polsce jest nawet kilka milionów osób z niepełnosprawnościami, a na opłacaną przez państwo asystencję czeka ok. stu tysięcy tych najbardziej zależnych od wsparcia innych.

Swoje chwile miało też w zeszłym tygodniu środowisko wspierania rodzinnej pieczy zastępczej – garstka działaczy walczących o los 75 tys. dzieci żyjących poza rodzinami biologicznymi usłyszała w Sejmie zapowiedzi, które wyglądają na przełomowe, choć są dopiero w fazie prekonsultacji zmian ustawowych. Kwoty mają być wyraźnie wyższe niż uwłaczające do tej pory ludzkiej godności pieniądze dla rodziców zastępczych; w planach są też bezterminowe umowy, a także gwarancje pierwszeństwa pomocy lekarskiej dla – zwykle straumatyzowanych i zaniedba-

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

MAGDALENA PASIEWICZ / EAST NEWS

Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej we Wrocławiu, 1 sierpnia 2024 r.

nych – dzieci. „Pierwszy raz spotykam się oficjalnie w ministerstwie rodziny, słucham propozycji zmian i nie czuję, że szlag mnie trafia" – napisała na Facebooku matka zastępcza i znana działaczka na rzecz dzieci Anna Krawczak. Inna aktywistka i matka, Beata Potocka, komentowała na początku czerwca w rozmowie z „Tygodnikiem": „Sama miałam w czasie ministerialnego spotkania łzy w oczach – takich reform domagamy się od dekad".

Czas i pieniądz

I tak można by ciągnąć listę szlachetnych zamierzeń rządu w sprawach społecznych, dodając do niej choćby plany w dziedzinie zdrowia czy budownictwa społecznego, o którym premier mówił w swoim exposé, puszczając oko do podnoszących tę kwestię od miesięcy współkoalicjantów z Nowej Lewicy i Polski 2050. Przy każdym jednak punkcie uczciwość nakazywałaby dodanie rytualnej gwiazdki z przypisem: „jeśli zgodzi się ministerstwo finansów".

– Resort ten blokuje w zasadzie każdą mniej lub bardziej kosztowną reformę społeczną, o ile nie została uzgodniona politycznie – mówi prof. Szarfenberg. – Z jednej strony to zrozumiałe, bo jesteśmy w procedurze nadmiernego deficytu, no i przed nami coraz większe wydatki na obronność. Z drugiej strony, trudno zaakceptować blokowanie czegoś, co ma poprawić nieco sytuację najbiedniejszym i nie jest zbyt kosztowne.

Spośród ok. 2,5 mln Polaków w skrajnym ubóstwie **nawet połowa może nie kwalifikować się do zasiłków** – ten szeroki margines nędzy powinien spędzać sen z powiek każdemu politykowi.

Prof. Szarfenberg zwraca uwagę, że 11 czerwca w Sejmie Donald Tusk odwoływał się do solidarności społecznej. Padło nawet zdanie: „Pamiętaliśmy dobrze, kto jest najbardziej poszkodowany", a także przytoczono wyliczenia wskazujące na wielokrotnie większe wydatki obecnego rządu na Program 800 plus niż koszty obowiązywania 500 plus w epoce PiS. – Ale z nowych ważnych rzeczy, jeśli chodzi o reformy społeczne, można wymienić jedynie rentę wdowią – mówi prof. Szarfenberg. – Przypomnę, że decyzja o podwyżce 500 plus została przegłosowana przez poprzedni parlament. Zabrakło też w exposé konkretów w omawianych przez nas obszarach na lata 2026 i 2027. Nie spodziewam się więc zwrotu społecznego w 2026 r., za to przewiduję dalsze ciche lub otwarte cięcia socjalne.

Wśród nich prof. Szarfenberg wymienia zapowiadane przez polityków KO ograniczenia w 800 plus dla cudzoziemców. Plan, który w kampanii prezydenckiej miał wyglądać na (popieraną jakoby przez większość społeczeństwa) inicjatywę Rafała Trzaskowskiego, był od początku inicjatywą rządu, i wkrótce ma zostać wprowadzony w życie. Na szkodę nie tylko naciągaczy, o których w oficjalnych uzasadnieniach mówią politycy, ale też być może samotnych, bezrobotnych matek z Ukrainy (choć ponad 70 proc. z nich pracuje i wzbogaca polskie PKB, te wychowujące najmniejsze dzieci nie mają często możliwości zarobkowania).

Nie będzie cicho

Jeśli ta oszczędnościowo-populistyczna opcja wygra, a w dodatku najbardziej kosztowne plany – jak asystencja osobista – zostaną zablokowane w rządzie, gabinet Tuska będzie miał problem. Flagowy program na rzecz osób z niepełnosprawnościami ma politycznych adwokatów i w koalicji, i opozycji – o asystencji osobistej mówią coraz głośniej Szymon Hołownia i Adrian Zandberg. Po cichu tego projektu uśmiercić się nie da.

Jeśli i on, i inne społeczne ustawy wylądują w koszu, nadana sobie samemu przez premiera etykieta „społecznej wrażliwości" straci uzasadnienie. A jego ekipa utraci jedną z być może ostatnich szans na nadanie reszcie swoich rządów głębszego sensu. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

W liceum piłem jak dorosły

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

UZALEŻNIENIA | W mediach panuje moda na artykuły sugerujące, że pokolenie Z wzięło rozbrat z alkoholem. To nieprawda. Młodzi piją coraz więcej, a starszych – w tym władze państwa – niewiele to obchodzi.

Wypadki samochodowe, utonięcia, bójki, gwałty, próby samobójcze – alkohol jest przyczyną wielu traumatycznych doświadczeń w życiu tysięcy nastolatków. Wszyscy o tym wiemy, ale traktujemy podobne zdania jak komunały, za którymi nic więcej nie idzie. Pewnie dlatego ubiegłoroczne badanie ankietowe ESPAD, powtarzane co cztery lata od 1996 r. na losowych próbach uczniów klas I i II szkół średnich (15-16, 17-18 lat), przyniosło kolejny wyraźny regres.

Średnia wieku inicjacji alkoholowej w Polsce waha się dziś w granicach 12-16 lat, ale coraz więcej dzieci sięga po ten najpopularniejszy i akceptowany społecznie środek odurzający jeszcze przed 10. rokiem życia. W niektórych klasach doświadczenie z alkoholem ma już ponad 90 proc. uczniów, a w porównaniu z poprzednim badaniem odnotowano też dwukrotnie więcej (5,1 proc.) tych, którzy w ciągu miesiąca upili się więcej niż 10 razy. Symptomatyczne jest zarazem to, że tyle samo, bo 39 proc. dziewczyn i chłopców, sięgnęło po alkohol w ciągu ostatnich 30 dni przed badaniem. Ankiety w poprzednich latach wykazywały, że znacznie częściej robili to chłopcy.

– Kiedyś dziewczynkom nie wypadało robić wielu rzeczy, w ostatnich latach dominuje jednak tendencja, by nie dzielić czynności na dziewczęce i chłopięce, co ma swoje pozytywne i negatywne skutki. Z jednej strony dziewczyny są wychowywane w przekonaniu, że mogą robić to samo, co chłopcy, być np. tak samo dobre z matematyki, ale z drugiej strony tak jak oni zaczynają testować własne granice w stosowaniu używek. Alkohol traktują jak narzędzie do regulacji emocji, ale nie mają świadomości, jakie spustoszenie powoduje w ich organizmach – opisuje Kaja Romanowicz, psycholog kliniczny i psychoterapeutka, która współpracuje z Fundacją „Nie widać po mnie", zajmującą się m.in. profilaktyką antyalkoholową dzieci i młodzieży.

Romanowicz podkreśla, że rozregulowanie emocjonalne spowodowane odurzaniem się prowadzi u dzieci do utraty kontroli nad własnymi działaniami, rodząc poważne konsekwencje, także prawne. Alkohol uszkadza również układ nerwowy, co szybko widać – pogorszają się wyniki w nauce.

Zero procent prawdy

„Pierwszy raz spróbowałem alkoholu mając 8 lat – zanurzyłem palce w kieliszku z nalewką wiśniową i oblizałem. Spodobało mi się i powtarzałem to kilka razy. Później, jakoś po rodzinnej imprezie, mój kuzyn i ja przelewaliśmy alkohol (wino, wódkę, koniak) z ich niedopitych kieliszków do jednego kubka, a potem piliśmy z niego na zmianę. Ciekawiło nas – co dorośli piją i dobrze się bawią po tym, ale nam, dzieciom, nie wolno tego robić. Miałem wtedy 10 lat. Trochę później w podstawówce zaprzyjaźniłem się z towarzystwem »odważnych« chłopaków, którzy regularnie bawili się przy piwie i winie. Była to dla mnie niesamowita frajda. A od 15. roku życia piłem już jak dorosły, każdego wieczoru" (historia Marcina, spisana podczas leczenia w ośrodku terapeutycznym).

Z raportu OECD opublikowanego w lutym 2025 r. wynika, że Polacy wypijają co roku średnio 11 litrów czystego etanolu na osobę. Nic dziwnego, alkohol jest w naszym kraju tani i wyjątkowo łatwo dostępny – jeden punkt sprzedaży przypada na 299 mieszkańców, choć według WHO wystarczyłby jeden na 1000 osób.

Interesujące dane pochodzą z 2020 r. Wynika z nich, że przychody do budżetu z podatku akcyzowego wyniosły wówczas 13,4 mld zł, jednak społeczno-ekonomiczne koszty picia oszacowano na 93,3 mld zł. Wśród informacji jest m.in. bardzo niepokojący fakt: ponad jedna trzecia pacjentów trafiających na szpitalne SOR-y to ludzie „pod wpływem".

Dane te nie robią od lat wrażenia na żadnej władzy. W samej Warszawie jest dziś więcej punktów oferujących alkohol niż w całej Szwecji, na dodatek napoje wysokoprocentowe można kupić u nas przez całą dobę. Jesteśmy pod tym względem światowym wzorem „liberalizmu".

– Sejm, Senat i prezydent RP oddali zupełnie pole koncernom alkoholowym. To marketingowcy z tej branży kreują narrację dotyczącą picia alkoholu i zawłaszczają przestrzeń publiczną oraz reklamową, państwo zaś nie wykreowało żadnej strategii, która mogłaby się przeciwstawić wszechobecnej kulturze picia – mówi Alan Wysocki, dyrektor PR i komunikacji Fundacji GrowSPACE.

Wysocki ma za sobą doświadczenie nałogu, a dziś jest koordynatorem kampanii „Zero procent prawdy", która uświadamia nie tylko szkodliwość picia, ale też nieskuteczność przepisów dotyczących zasad nabywania trunków. Z sondażu wykonanego na zlecenie GrowSPACE wynika, że aż 44,7 proc. Polek i Polaków w wieku 18-26 lat przyznało, że w przeszłości bez trudu zdobyli alkohol mimo niepełnoletniości.

Tresowani do picia

„Byłam wzorową uczennicą i nikt by w szkole nie pomyślał, że każdy tydzień kończę alkoholowym zgonem. W sobotę doprowadzałam się do ładu, w niedzielę uczyłam się, bo moi rodzice nie kochali Ani, tylko jej stopnie i świadectwa z czerwonym paskiem. Pierwszy alkohol? Mogłam mieć 13 lat, to było na szkolnej wycieczce. Poczułam się lekka, ładna i zabawna. To było piwo. Miało gorzki smak. W liceum piłam bardzo regularnie. Tato był lekarzem, dostawał od pacjentów mnóstwo koniaków i dobrych wódek. Rodzice nie zauważali, że regularnie podbieram butelki z barku. Na terapię trafiłam, kiedy dobijałam do trzydziestki, wtedy każdy dzień zaczynałam od »małpki«, a kończyłam na butelce wina. Wszystko straciłam. Mąż odszedł

JAKUB WOSIK / REPORTER

z dziećmi. Wylali mnie z pracy. Przepiłam mieszkanie, które dostałam po babci. Wylądowałam na ulicy" (historia Anny spisana w trakcie leczenia).

Działania w ramach kampanii „Zero procent prawdy" mają na celu doprowadzenie do całkowitego zakazu reklamy alkoholu. Obecna ustawa o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi nie jest wystarczająca. Zakazuje ona reklamy i promocji napojów alkoholowych, ale wyjątkiem jest piwo. Co prawda promowanie jego zakupu nie powinno być kojarzone z dobrą zabawą, rekreacją czy przygodą, ale w praktyce niemal wszystkie spoty reklamowe i bilbordy zachęcające do zakupu piwa sugerują, że dzięki niemu osiągniemy relaks, zyskamy znajomych, a nawet spełnimy marzenia. Ważne są też reklamy piwa bezalkoholowego, świetnie gaszącego pragnienie, wielosmakowego – symbolicznie „otwierają drzwi" w umyśle i oswajają go z kolejnym etapem wtajemniczenia – już procentowym.

– Musi w końcu nastąpić kulturowa zmiana w podejściu do alkoholu, przecież palenie i picie jest jedną z głównych przyczyn zgonów wśród mężczyzn. W Polsce obserwujemy jednak implozję państwa w tym zakresie. Jako strona społeczna rozmawialiśmy nieraz z politykami i postulowaliśmy zmiany: zakaz reklamy piwa, zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych, wprowadzenie ograniczeń w obrocie nim nocą. Żadnego z naszych postulatów nie udało się wprowadzić – przyznaje Jan Śpiewak, socjolog, działacz społeczny i publicysta, który wytoczył wojnę celebrytom reklamującym wino i wódkę w mediach społecznościowych. – Przez reklamy, łatwą dostępność i niską cenę jesteśmy wprost tresowani do picia. Tymczasem wystarczy spojrzeć na Litwę, która była typowym rozpitym krajem bloku wschodniego, by uwierzyć, że zmiany są możliwe. Po wprowadzeniu licznych obostrzeń spożycie alkoholu spadło tam w ciągu kilku lat o 30 procent.

Co zrobiły władze w Wilnie? Podwyższyły wiek uprawniający do kupna alkoholu do 20 lat, usunęły go ze stacji benzynowych, ograniczyły sprzedaż w sklepach do godz. 20. Alkoholu nie można spożywać publicznie, reklamować go pod żadną postacią ani sprzedawać w promocji.

Choroba demokratyczna

„Do bycia alkoholikiem przyznałem się przed sobą podczas pobytu na terapii. Od czasu liceum (w wieku 16 lat) lubiłem pić piwo i towarzyszyło mi ono przez kolejnych 27 lat. Piłem na imprezach, gdy fetowałem sukcesy, gdy przeżywałem porażki, gdy chciałem pobudzić się do działania, zneutralizować napięcie, i coraz częściej by snuć wizje wspaniałej przyszłości. W ciągu kilku ostatnich lat piłem już tak dużo, że zacząłem kupować piwo skrzynkami" (historia Kuby spisana podczas terapii).

Maria Migdał prowadzi w Krakowie prywatny ośrodek leczenia uzależnień Tu i Teraz, gdzie leczy się Kuba. Choć trafiają tam osoby, które ukończyły już osiemnasty rok życia, to pierwszy kontakt z alkoholem miały najczęściej pod koniec szkoły podstawowej albo w gimnazjum.

– Alkoholizm „staje się coraz młodszy". W naszej placówce spotykaliśmy pacjentów, którzy pierwszy kieliszek wypili w wieku 10 lat, a potem pili do osiągnięcia pełnoletniości. W tak młodym wieku uzależnienie rozwija się błyskawicznie – tłumaczy Maria Migdał.

Zanim zaczęła pomagać innym, Maria musiała uporać się z własnym uzależnieniem, gdyż alkohol zawładnął dużą częścią jej życia i wystawił na próbę relacje rodzinne. Choć nie przynosiła wstydu, bo piła sama w zaciszu domowym, w pewnym momencie usłyszała od męża: „Albo coś z tym zrobimy, albo już tego nie wytrzymam".

Maria jest trzeźwa od 17 lat. Do dziś dziękuje bliskim, że odebrali jej komfort picia i postawili jasne granice. Na początku terapii unikała nawet tankowania samochodu, bo nie chciała patrzeć na alkohol tuż za plecami sprzedawcy, gdy płaciła za benzynę. Ten obrazek ukazuje, na jak wiele bodźców mogących obudzić nałóg natykają się osoby, które wychodzą z uzależnienia. W spożywczym regały z alkoholem są niemal zawsze niedaleko kasy, kusząc ludzi stojących w kolejce. Łatwo więc chwycić ofertę specjalną w formie „czteropaka" albo niewinną z pozoru „małpkę". One są idealne przy maskowaniu nałogu, można je schować do małej torebki, wypić niepostrzeżenie w toalecie, a nawet przy biurku. ↦

↦ – W mojej rodzinie jestem pierwszą osobą, która zmaga się z tą chorobą. Mama piła sporadycznie, tato wiedział, kiedy przestać, nigdy nie było w domu awantur. Jednak dobre wzorce to nie wszystko. Alkoholizm jest chorobą bardzo „demokratyczną", on nie wybiera, z jakiej rodziny pochodzisz: zamożnej czy biednej. Nie interesuje go, jakie masz wykształcenie ani czy w ogóle je masz. Nie obchodzą go twoje wartości moralne i zasady – podsumowuje Maria Migdał.

Piwo to nie alkohol?

Najczęściej wybieranym trunkiem w Polsce jest piwo. 78 proc. nastolatków badanych w ramach ESPAD wskazało, że od niego rozpoczęła się ich inicjacja alkoholowa. Aż 77 proc. zauważyło liczne reklamy piwa przed osiągnięciem pełnoletniości. One nie tylko promowały produkt, ale też kreowały w młodych umysłach pozytywne emocje związane ze stylem życia i atrakcyjnymi doświadczeniami, zbieranymi zazwyczaj w licznym, dobrym towarzystwie. Piwo zaś było głównym spoiwem tego przyjemnego obrazu. Jest tańsze od czekolady, uważa się je za mało szkodliwe, choćby w porównaniu do wódki. Z ankiet zebranych w ubiegłorocznym badaniu ESPAD wynika, że niejedna ekspedientka, która sprawdziłaby dowód przy prośbie o sprzedaż mocnego trunku, w przypadku piwa traci czujność.

– Specjaliści od marketingu wykreowali obraz piwa jako napoju, który wspiera relaks i dobrą zabawę. Podczas sondy ulicznej przeprowadzanej na zlecenie naszej fundacji niektórzy badani nie uznawali go nawet za alkohol. Odpowiadali na przykład: „Ja nie używam alkoholu, ale piwo po pracy wypiję"– mówi Alan Wysocki.

> W samej Warszawie jest więcej punktów oferujących alkohol niż w całej Szwecji. Jesteśmy pod tym względem **światowym wzorem „liberalizmu".**

Według danych KRRiT za rok 2022, w różnych stacjach telewizyjnych wyemitowano łącznie 2972 godziny reklam piwa. Gdyby wszystkie miał nadać jeden kanał, robiłby to nieprzerwanie przez cztery miesiące, dokładnie 124 dni. Ale to nie koniec. Koncerny piwowarskie dbające o ciągłą obecność w głowach konsumentów sponsorują też wydarzenia sportowe, muzyczne i filmowe. Starają się też przywiązać do marki osoby, które wybierają zdrowy styl życia, wypuszczają więc na rynek piwa „zero", których butelki czy puszki w niczym nie różnią się od odpowiedników z procentami.

Kryzys rodziny

Przygotowany pod patronatem resortu zdrowia raport „Uzależnienia w Polsce" z 2023 r. podaje, że mężczyźni piją średnio 106 dni w roku – kobiety zaś 37. Postępowanie dorosłych odbija się oczywiście na wyborach dzieci – ośmiu na dziesięciu nastolatków w wieku 15-16 lat spróbowało wódki, wina lub piwa (co koresponduje z danymi ESPAD). Tymczasem prawdopodobieństwo uzależnienia w dorosłym życiu maleje o 14 proc. z każdym rokiem opóźnienia wieku inicjacji alkoholowej.

– Współczesny model wychowywania dzieci nie zaspakaja ich potrzeb rozwojowych, i to w jakimś sensie tłumaczy zaburzenia osobowości oraz rozwój depresji, w których pojawia się chęć sięgania po ratunek w postaci środków uzależniających. Nie są temu winne dzieci, ale rodzice, bo albo są skupieni na samorealizacji i nie zajmują się swoim potomstwem, albo zajmują się dziećmi za bardzo i nie wychowują ich, tylko projektują przyszłą karierę. Zamiast spędzać z nimi czas, zawożą je i odwożą na zajęcia pozalekcyjne. Katują nauką języków, grą na kliku instrumentach, jazdą konną, nie po to jednak, by zaszczepić jakieś zainteresowania, ale po to, by „wyhodować" pracownika najbardziej pożądanego na rynku pracy. Dziecko nie ma więc czasu na dzieciństwo, obserwowanie rodziców i uczenie się tego, jak radzić sobie z rozwiązywaniem konfliktów i przeżywaniem emocji – wyjaśnia prof. Marek Krzystanek, kierownik Kliniki Rehabilitacji Psychiatrycznej Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach, autor m.in. „Kosmetologii psychiatrycznej w praktyce".

Profesor Krzystanek podkreśla, że problem jest bardziej złożony, bo łączy się ze zmianami społecznymi, jakie zaszły w ostatnich 30 latach w Polsce. Wielopokoleniowe rodziny żyjące blisko siebie i związane siecią głębokich relacji odeszły w przeszłość. Dzieci nie tylko straciły kontakt z dziadkami, ale też z grupą rówieśniczą, bo przestały uczestniczyć w zabawach na podwórku. To odebrało im częściowo szansę na nabywanie ważnych kompetencji społecznych.

– Komunikowanie się poprzez media społecznościowe, bez obcowania z żywym człowiekiem, ma swoje konsekwencje i prowadzi do zaburzenia regulacji emocji, z czego bierze się agresja albo ucieczka. „Rynek ucieczki" zaś, tak jak inne sfery życia, został świetnie zagospodarowany i zmonetyzowany. Oferuje nam cały wachlarz środków, które nie tyle pozwalają mierzyć się z negatywnymi emocjami, co ich unikać. Tymczasem zarówno pozytywne, jak i negatywne emocje są nam bardzo potrzebne, bez nich nie ma dojrzałości w dorosłym życiu. © ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Gdzie szukać pomocy?

- **800 199 990** | **OGÓLNOPOLSKI TELEFON ZAUFANIA UZALEŻNIENIA** oferuje wsparcie psychologa oraz informacje na temat leczenia i innych form pomocy dla rodzin i osób bezpośrednio zainteresowanych problemem.
- **801 140 068** | **POMARAŃCZOWA LINIA** umożliwia konsultacje dla rodziców dzieci pijących alkohol i zażywających narkotyki.
- **116 111** | **TELEFON ZAUFANIA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY** pozwala w przyjaznej atmosferze opowiedzieć o problemie, zapewnia pomoc psychologa.

OLGA

Drenda:
Życie wśród rozproszeń

Natrafiłam na badanie, według którego w 2012 r. przeciętny człowiek był w stanie patrzeć w ekran bez rozpraszania się przez 75 sekund, 10 lat później zaś przez 47. Nie miałam odwagi sprawdzić, jak sprawy miewają się u mnie, widocznie w pesymistycznym przeczuciu, że nie najlepiej. Nie muszę zresztą pewnie nawet mierzyć, bo widzę, co się dzieje. To, że wzmaga się wciąż nawałnica rozproszeń, które sabotują ludzką pracę i odpoczynek, to banalna konstatacja, mówią o tym wszyscy, którzy mają cokolwiek wspólnego z obcowaniem z informacją. Wyjątkowo przykrym zjawiskiem, które temu towarzyszy, jest oddalenie się od rzeczy, które się naprawdę lubi.

I tracenie czasu miewa swoją gradację; przez wiele lat, gdy miałam ochotę pomigać się od obowiązków, wybierałam rzeczy ciekawe i pożyteczne, powiedzmy: czytanie starych artykułów albo choćby wsiąkanie w „królicze nory" Wikipedii. Dzisiaj coraz częściej orientuję się ze smutkiem, że szkoda mi czasu na takie twórcze i przydatne tracenie czasu, gdyż zajmują mnie rzeczy tak wysokiej rangi, jak czekanie na wiadomość, obawianie się, czy przypadkiem nie przyszła wiadomość lub sprawdzanie po raz kolejny, czy nie przyszła, a w międzyczasie co najwyżej sprawdzanie nagromadzonych powiadomień, których unikam w czasie pracy. Obijanie się straciło czar wagarów dla dorosłych, a stało się doświadczeniem przypominającym permanentne czekanie na autobus czy w poczekalni u lekarza.

Beton – materiał do budowy silnej woli

OLGA DRENDA

Dzisiejszy świat ograbia z otwierających głowę doświadczeń, premiując te beztreściowe. Trwanie w głupim napięciu z obawy, że zajmując się czymś interesującym, przegapimy moment, gdy niebo spada nam na głowę, odbiera potencjalną satysfakcję z poczytania książki, obejrzenia filmu. Konieczność wyrażenia gotowej opinii wyprzedza przyjemność zastanawiania się. Impuls nazwania kogoś idiotą jest szybszy niż dopuszczenie do siebie poczucia miłej niespodzianki płynącej z poszerzenia sobie horyzontów.

Oczywiście jest to w znacznym stopniu wina posiadacza głowy, gdy zaniedba swoją silną wolę – choć trzeba przyznać, że w obecnych warunkach wola ta powinna stać się chyba wręcz żelbetowa. To jednak tyle demontaż odporności psychicznej, ile wciągnięcie się w szantaż przez efektywność (dużo i szybko – tak; dobrze – po co?).

Przypominałam ostatnio niezależnie różnym znajomym, jak odświeżająca i krzepiąca jest lektura książek Antoniego Kępińskiego. Przede wszystkim dlatego, że w przeciwieństwie do wielu publikacji z dziedziny współczesnej popularnej humanistyki są pisane własnymi słowami, a nie przy pomocy pokracznych kalk z akademickiej angielszczyzny i w stylu równie pozbawionym właściwości, co wyroby z generatorów tekstu. Kiedyś zapisałam sobie gdzieś ku pamięci, że przyczyną najgorszego zmęczenia są „nuda i pośpiech", zdumiona, jak słuszne pozostaje to twierdzenie, choć minęło ponad pół wieku. Teraz przypomniały mi się dla odmiany słowa, że „przyjemność życia w dużej mierze wiąże się z wysiłkiem, jakiego życie stale wymaga". Lubię ten cytat, bo podkreśla zależność tych dwóch zjawisk od siebie, a nie czyni bezsensownego idola z czystego mozołu, co zdarza się dziś ludziom licytującym się z zapałem godnym lepszej sprawy na liczbę przepracowanych godzin. Żeby chciało się starać, trzeba poczuć, że warto, z kolei sam wysiłek bez przyjemności wynikającej z tego, że coś się nam udało, jest głupio-purytańską sztuką dla sztuki.

Aby jednak dotrzeć do tego punktu, trzeba być może przekroczyć trudną barierę: zmierzyć się z wątpliwościami, że coś nie jest efektywne, pożyteczne, „jakościowe". Ostatnio np. wybrałam, dokładnie z tej przyczyny, lekturę znalezionych przypadkiem sporów krytyków literackich sprzed lat, poświęconych tematom całkowicie nieaktualnym, książkom, które mnie mało obchodzą, i przydatnych mi z dzisiejszej perspektywy absolutnie po nic. Autorzy ci konstruowali piętrowe, zawikłane zdania, jakie zawsze lubiłam i które trzeba na wszelki wypadek czytać trzy razy, a do tego nie kładli kawy na ławę, zakładając, że bystry czytelnik najwyżej sobie doczyta. To było doświadczenie przyjemności życia jak u Kępińskiego i chyba wiem, dlaczego: to radość wiedzieć, że ktoś od nas wymaga dlatego, że szanuje nasze kompetencje. ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

TRUMP TESTUJE PAŃSTWO

Reakcja prezydenta USA na protesty w Los Angeles, które rozlały się na inne miasta, pokazuje jego *modus operandi*. Trump coraz szerzej interpretuje swoje uprawnienia i karze tych, którzy ośmielą mu się przeciwstawić.

MARTA ZDZIEBORSKA

Protesty w Los Angeles rozpoczęły się w piątek 6 czerwca po serii nalotów służb imigracyjnych (ICE), w wyniku których aresztowano ponad 100 nielegalnych imigrantów.

Gwałtownie było zwłaszcza w centrum miasta pod hurtownią odzieży Ambiance Apparel, gdzie grupa aktywistów otoczyła wozy funkcjonariuszy, próbując utrudnić im odjazd. Aby ich rozpędzić, służby użyły granatów hukowych. Gdy kilka godzin później demonstranci zebrali się pod ośrodkiem, gdzie przebywali zatrzymani, w ich stronę poleciały gumowe kule i gaz łzawiący. Niektórzy rzucali w stronę funkcjonariuszy krzesłami i innymi przedmiotami.

Jak donosi radio publiczne NPR, wielu aresztowanych tego dnia pracowników Ambiance Apparel pochodzi z indiańskiego miasteczka w stanie Veracruz w Meksyku. Imigranci przybywali do Los Angeles falami, gdy słyszeli od znajomych, że w hurtowni jest akurat wakat. Jednym z zatrzymanych jest Jacob Vasquez, który przyjechał do Stanów za namową przyjaciela z dzieciństwa. Obaj trafili do ośrodka detencyjnego służby imigracyjnej.

Protesty pod flagą Meksyku

Wydarzenia te nakręciły spiralę gniewu wśród Latynosów, którzy stanowią niemal połowę mieszkańców hrabstwa Los Angeles.

Do kolejnych starć z agentami ICE doszło następnego dnia w pobliżu Home Depot, sklepu budowlanego w Paramount, mieście zamieszkanym głównie przez latynoską klasę pracującą. Demonstranci skrzyknęli się, gdy usłyszeli, że rano w pobliżu marketu kręciły się służby imigracyjne. To wznieciło domysły, że może dojść do kolejnego nalotu.

ABED RAHIM KHATIB / GETTY IMAGES

Protesty w Los Angeles, 8 czerwca 2025 r.

Dlaczego Home Depot? Pod marketami tej sieci w całym kraju co rano zbierają się tzw. *day laborers* – pracownicy fizyczni, także nielegalni imigranci, zatrudniani na dniówkę do remontów domów. Wystarczy podjechać na parking i dogadać stawkę.

„ICE, wracajcie do domu", „Bez sprawiedliwości nie ma pokoju" – skandował tłum w trakcie protestów w Paramount, trwających długie godziny. Niektórzy demonstranci nieśli meksykańskie flagi, które już od dekad są symbolem oporu wobec polityki antyimigracyjnej.

Flagi Meksyku powiewały na ulicach Los Angeles także w 1994 r., gdy Latynosi protestowali przeciw ówczesnej reformie blokującej nielegalnym imigrantom dostęp do opieki zdrowotnej i szkół publicznych. Przepisy te, uznane przez sąd za niekonstytucyjne, ostatecznie nigdy nie weszły w życie.

Jednostronna decyzja

W odpowiedzi na starcia w Los Angeles Trump skierował tam 4 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej i 700 żołnierzy piechoty morskiej, co według władz stanu Kalifornia tylko zaostrzyło sytuację. Gdy w niedzielę 8 czerwca na ulice wyszły tysiące ludzi, prezydent USA dolewał oliwy do ognia, pisząc na platformie Truth Social, że protestujący to „tłum rebeliantów", a Los Angeles opanowane jest przez „nielegalnych imigrantów i przestępców".

W następnych dniach prezydent nazwał to miasto „kupą śmieci" i sugerował, że gubernator Kalifornii za swoją odpowiedź na demonstracje, jego zdaniem nieudolną, powinien trafić do aresztu.

Reakcja Trumpa na protesty w Los Angeles pokazuje jego *modus operandi* w pierwszych miesiącach urzędowania. Oddziały stanowej Gwardii Narodowej wysłał bez zgody gubernatora Kalifornii. Ostatni raz coś takiego zdarzyło się w 1965 r., gdy prezydent Lyndon B. Johnson skierował żołnierzy do ochraniania protestów w Alabamie.

Podejmując jednostronną decyzję, Trump odgrzebał przepisy zezwalające prezydentowi na wysłanie stanowej Gwardii Narodowej na ulice, jeśli doszło do rebelii przeciw władzy rządu federalnego (co według wielu ekspertów w tym przypadku jest mocno naciągane). W swoim memorandum z 7 czerwca Trump stwierdził też, że mandat do działań daje mu władza prezydencka, którą interpretuje on szeroko – co pokazał szereg jego dekretów.

To, jak kreatywnie Trump interpretuje prawo, uwidoczniła już wcześniej jego marcowa decyzja, by deportować do Salwadoru mężczyzn podejrzanych o członkostwo w groźnym gangu Tren de Aragua. Sięgnął tu po ustawę Alien Enemies Act z 1798 r., umożliwiającą przyspieszenie deportacji w sytuacji wojny lub inwazji na USA.

Trump kontra Kalifornia

Wysyłając do Los Angeles gwardzistów, prezydent spotkał się z ostrą krytyką ze strony kalifornijskich władz, które nazwały decyzję Trumpa „bezprawną" i zaskarżyły ją w sądzie. Ten przyznał im rację i nakazał przywrócenie władzom stanowym kontroli nad Gwardią Narodową. Jednak sąd apelacyjny tymczasowo wstrzymał werdykt – i na razie piłka jest po stronie Trumpa. ↦

↦ We wtorek, piątego dnia protestów, gubernator Kalifornii Gavin Newsom wygłosił telewizyjne przemówienie, podczas którego mówił, że prezydent ciągnie naród w stronę autorytaryzmu: „Kalifornia może być pierwsza, ale na pewno na tym się nie skończy. Inne stany będą następne, podobnie jak amerykańska demokracja".

Newsom postrzegany jako jeden z faworytów do nominacji Demokratów w wyścigu prezydenckim w 2028 r. Był on na krótkiej liście, kiedy w lipcu 2024 r. rozważano, kto może zastąpić Bidena w walce o Biały Dom. „Newsom właśnie zaczął swoją kampanię prezydencką" – stwierdził na antenie CNN Scott Jennings, były doradca republikańskiego prezydenta George'a W. Busha.

Choć na takie prognozy jest zbyt wcześnie, Newsom z pewnością wykorzystuje swoje pięć minut, by budować rozpoznawalność poza Kalifornią i kreować się na lidera stawiającego opór Trumpowi. Jego przemówienie, pod wymownym tytułem „Demokracja na rozdrożu", transmitowała ogólnokrajowa telewizja CNN.

Tarć między Newsomem a prezydentem USA zapewne będzie więcej. Media donoszą, że administracja Trumpa rozważa cięcie funduszy federalnych dla Kalifornii, m.in. dla szkół publicznych. Już pod koniec maja Trump groził, że wstrzyma pieniądze, jeśli Kalifornia będzie dalej zezwalać na start transseksualnych sportowców w zawodach dla kobiet.

Dociskanie „azylów"

Zamieszki w Los Angeles to dla Trumpa okazja na zwarcie z Kalifornią, którą amerykańska prawica przedstawia jako siedlisko zepsucia i progresywnych reform. A także na próbę sił z miastami rządzonymi przez Demokratów. Te tzw. miasta-azyle odmawiają współpracy z federalnymi służbami odpowiedzialnymi za deportacje, za co administracja Trumpa pozwała władze stanów Nowy Jork i Illinois.

W nowej odsłonie walki z „azylami" pod koniec maja Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego opublikował listę pięciuset miast, hrabstw i stanów oskarżanych o utrudnianie pracy służbom imigracyjnym. Po krytyce listę zdjęto z sieci.

Trump szuka winnych, ale masowe deportacje imigrantów, które zapowiadał podczas kampanii prezydenckiej, trudno realizować także z innych powodów – braku funduszy, personelu oraz miejsc w ośrodkach detencyjnych. Są one przepełnione: pod koniec maja przebywało w nich ponad 53 tys. osób, o prawie jedną trzecią więcej, niż przewiduje norma.

> Gubernator Kalifornii Gavin Newsom uważa, że Trump **ciągnie naród w stronę autorytaryzmu.**

Większość za prezydentem

Mimo to administracja nie zwalnia. Po serii pokazowych ruchów, jak deportacje nielegalnych imigrantów do Salwadoru czy do bazy w Guantanamo na Kubie, wydano instrukcje, by podkręcić tempo i aresztować do 3 tys. imigrantów dziennie.

Dziennik „New York Times" donosi, że aby wypełnić tę normę, grafik agentów ICE rozpisywany jest na siedem dni w tygodniu. Naloty mają miejsce w zakładach pracy, na budowach i farmach, w szkołach, a nawet w sądach imigracyjnych. W piątym dniu protestów w Los Angeles agenci ICE gonili po polach za pracownikami gospodarstwa rolnego w hrabstwie Ventura, na północny zachód od miasta.

Tymczasem gniew przeciw nasilającym się nalotom służb imigracyjnych rozlewa się poza Los Angeles. W ostatnich dniach demonstranci wyszli na ulice m.in. Nowego Jorku, San Francisco, Seattle, Bostonu, a także niektórych miast w republikańskim Teksasie, jak Dallas i Austin.

Jednak jeśli wierzyć sondażom, nastroje te nie współgrają z poglądami większości Amerykanów: z badania YouGov na zlecenie stacji CBS News, prowadzonego jeszcze przed eskalacją zamieszek w Kalifornii, wynika, że 54 proc. ankietowanych popiera politykę deportacyjną Białego Domu.

„Nie będę czekał"

Zamieszki w Los Angeles to dla Trumpa nie tylko okazja na dociśnięcie miast-azylów, ale też do sprawdzenia, jak daleko może posunąć się w wykorzystaniu żołnierzy wewnątrz kraju.

Już w czasie pierwszej kadencji Trump rozważał użycie wojska wobec antyrasistowskich protestów i zamieszek, jakie wybuchły w całym kraju po zabiciu czarnoskórego George'a Floyda przez białego policjanta z Minneapolis. Ostatecznie za namową doradców porzucił ten pomysł i poprosił gubernatorów 15 stanów, by pomogli mu, wysyłając do Waszyngtonu swoich gwardzistów. Odmówić miały wtedy cztery stany.

W kolejnych latach Trump powracał do idei użycia wojsk przy tłumieniu protestów. W sierpniu 2022 r., jeszcze przed ogłoszeniem ponownego startu w wyborach, przekonywał, że przywódca USA może użyć wszelkich środków, by przywrócić porządek w miastach, takich jak kontrolowane przez Demokratów Chicago.

Kilka miesięcy później, na wiecu w stanie Iowa, Trump wypalił, że nie czekałby na zgodę lokalnych władz, tylko od razu wysyłałby oddziały do ogarniętych przemocą miast.

„No kings!"

Tak właśnie stało się teraz, podczas zamieszek w Mieście Aniołów. W rozmowie z reporterami w Gabinecie Owalnym Trump rzucił, że wysłanie gwardzistów do Los Angeles ma być przestrogą dla innych miast, by nie utrudniały nalotów służbom imigracyjnym. Z kolei przed planowaną na sobotę 14 czerwca paradą wojskową w Waszyngtonie z okazji 250. rocznicy powstania armii USA straszył, że jakiekolwiek protesty spotkają się z użyciem siły (tekst ukończono przed tą paradą).

Jego słowa prostowała potem rzeczniczka Białego Domu, tłumacząc, że Trump nie ma nic przeciwko pokojowym demonstracjom. Prezydent USA mógł być pewien, że w dniu tej parady, przypadającym także na jego 79. urodziny, będzie na ustach Amerykanów. Planowane były bowiem także ogólnokrajowe antytrumpowskie protesty pod hasłem „No kings!". W wolnym tłumaczeniu: „Żadnych monarchów w Ameryce!". Trump zaś chyba bardzo chciałby nim być i robi, co może, by poszerzać swą władzę.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Tekst ukończono w piątek 13 czerwca.

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

STEPH CHAMBERS / GETTY IMAGES

Florida Panthers i Edmonton Oilers, drugi mecz w finale Pucharu Stanleya. Edmonton, Kanada, 6 czerwca 2025 r.

Emocje na buliku

MACIEJ JAKUBOWIAK

SPORT | Napięcia między USA i Kanadą odbijają się nieoczekiwanie w hokeju na lodzie – w trwającym właśnie finale Pucharu Stanleya. Znów okazuje się, że stwierdzenie, iż sport sobie, a polityka sobie, to komunał.

Gdy zaczynałem pisać ten artykuł, kanadyjska drużyna hokejowa Edmonton Oilers wygrywała piąty mecz finału Konferencji Zachodniej – jednej z dwóch konferencji w National Hockey League (NHL; obejmuje drużyny z USA i Kanady) – w starciu z zespołem Dallas Stars i awansowała do finału Pucharu Stanleya, głównego trofeum NHL. Czekał ją tu mecz z Florida Panthers. To hokejowe *déjà vu*, Dzień Świstaka na lodzie.

Rok temu finał wyglądał niby tak samo, choć inaczej. Najpierw Edmonton Oilers zaliczyli kiepski początek sezonu i zmienili trenera, wreszcie dotarli do finału przeciwko Florida Panthers. Tam przegrali trzy pierwsze mecze (rozgrywki *play-off* w NHL rozgrywa się do czterech wygranych), widowiskowo odrobili stratę i wreszcie polegli w meczu siódmym. Kapitan drużyny, Connor McDavid, nawet nie wyjechał wtedy na lód, by odebrać należne mu wyróżnienie dla najlepszego zawodnika fazy pucharowej.

W tym roku Connor McDavid będzie miał okazję się odegrać. Florida Panthers awansują do finału Pucharu Stanleya trzeci raz z rzędu. Dwa lata temu byli sensacją play-offów, choć ostatecznie polegli. Rok później zaczęli sezon jako faworyci, do finałów przebili się bez mrugnięcia okiem, a w finale pokonali Edmonton.

Tym razem szanse są wyrównane i trudno byłoby coś obstawiać u bukmacherów. Zresztą odradzałbym odwiedzanie takich przybytków. Hokej to najbardziej nieprzewidywalna z dyscyplin, losy meczu mogą odmienić się w 30 sekund.

Furia i zemsta

Oczywiście w tym wszystkim chodzi też o Donalda Trumpa. Starcie między drużyną z Edmonton, miasta żyjącego hokejem, a klubem z Sunrise na Florydzie nakłada się na spór rozpętany przez nowego prezydenta. Ten chciałby, by Kanada stała się kolejnym stanem USA. Zresztą Sunrise mniej kojarzy się ze sportami zimowymi, a bardziej z posiadłością Trumpa Mar-a-Lago, od której jest oddalona o niespełna godzinę jazdy samochodem.

W Kanadyjczykach zakusy Trumpa wywołały zrozumiałą furię. Oberwało się nawet kanadyjskiej legendzie hokeja, Wayne'owi Gretzky'emu. Ten posiadacz (do niedawna) najważniejszych rekordów uważany jest za najwybitniejszego hokeistę w historii. Gretzky, tak się złożyło, jest przyjacielem Trumpa, zjawił się na jego inauguracji i według relacji Trumpa żartował, iż mógłby zostać gubernatorem stanu Kanada. Spadła za to na niego fala krytyki; powstały nawet petycje, by odebrać mu kilka kanadyjskich honorów.

Amerykańsko-kanadyjskie napięcia miały kulminację podczas turnieju 4 Nations Face-Off, który w tym roku zajął miejsce rozgrywek All-Stars. W turnieju wzięły udział cztery reprezentacje narodowe: Stanów, Kanady, Szwecji i Finlandii, choć złożone tylko z zawodników NHL. Podczas pierwszego meczu między Stanami i Kanadą, w Montrealu, kanadyjska publiczność wybuczała nie tylko „Star Spangled Banner", hymn USA, ale całą grę Amerykanów. Ci zemścili się wygraną 3:1. Losy tej rywalizacji odwróciły się jednak w finale turnieju, gdzie Kanada pokonała USA.

Najważniejsze trofeum

Amerykanie odegrali się natomiast podczas niedawnych Mistrzostw Świata w hokeju, w tym roku organizowanych w Szwecji i Danii. W ćwierćfinałach reprezentacja Kanady, złożona z gwiazd na czele z Sydneyem Crosbym, niespodziewanie przegrała z Danią. Za to Stany wygrały w finale ze Szwecją i zdobyły pierwsze mistrzostwo od 1960 roku.

Ostatnia odsłona północnoamerykańskiego konfliktu to właśnie trwający finał Pucharu Stanleya. Kapitanem drużyny z Florydy jest charakterny i piekielnie utalentowany Matthew Tkachuk, który na turnieju 4 Nations Face-Off występował jako kapitan teamu USA i dla Kanadyjczyków stał się niemal hokejowym ucieleśnieniem Trumpa.

↦

↦ Tkachuk spotyka się twarzą w twarz z McDavidem, uznawanym przez wielu za najwybitniejszego obecnie hokeistę na świecie. W Edmonton McDavid ma status herosa, jeśli nie półboga: na wypełnionych trybunach można czasem dostrzec obraz, na którym hokeista przypomina Jezusa, tyle że udrapowanego w szaty w kolorach Oilers. Zdobył on już wszelkie hokejowe trofea, niektóre po kilka razy. Poza jednym i najważniejszym: Pucharem Stanleya.

Gdyby Edmonton wygrało w tym roku, zakończyłoby swoją kiepską passę trwającą od 1990 r., kiedy klub ostatni raz sięgnął po Puchar Stanleya. Przerwałoby też historycznego pecha całego kraju, w którym hokej jest sportem narodowym, ale ostatni kanadyjski klub, Montreal Canadiens, sięgnął po Puchar Stanleya w 1993 r.

W objęciach z Putinem

Nie są to jedyne zawirowania na styku sportu i polityki w ostatnim sezonie w NHL. Jednym z najgłośniejszych była próba pobicia rekordu w liczbie strzelonych goli, podjęta przez Rosjanina Aleksandra Owieczkina. Rekord wynosi 894 gole i należy do Gretzky'ego.

Owieczkin to obywatel Rosji i członek jej reprezentacji, który na co dzień gra w drużynie Washington Capitals. W tym roku cała strategia jego zespołu była podporządkowana sprawie tego rekordu, a Owieczkin w każdym meczu wyczekiwał podań na stałym miejscu przy lewym buliku (dla niewtajemniczonych: bulik to miejsce na lodowisku, gdzie wznawia się grę po przerwie). I stało się: 7 kwietnia, podczas (przegranego) meczu z New York Islanders, strzelił 895. gola w karierze.

NHL wykreowała tę pogoń Owieczkina za rekordem na najważniejszą historię sezonu. Władze ligi milczały przy tym na temat jego wątpliwych uwikłań, choć Owieczkin w ogóle się z nimi nie kryje: na jego zdjęciu profilowym na Instagramie hokeista obejmuje Władimira Putina. Po inwazji Rosji na Ukrainę Owieczkin powtarzał komunały, jakie często można usłyszeć w takich momentach – że sport nie ma nic wspólnego z polityką, a on jest za pokojem – ale zdjęcia nie zmienił.

Życie wewnętrzne NHL

Poza tym w lidze NHL było raczej spokojnie, o czym świadczy fakt, że nie tylko skład finału się powtarza, ale też półfinały (czyli właśnie finały konferencji) w przypadku trzech drużyn na cztery wyglądały identycznie jak przed rokiem. Tyle że miejsce New York Ranges zajęli Carolina Hurricanes. Władze tego pierwszego klubu podejmowały w tym sezonie nerwowe działania, które miały mu zapewnić szansę na dotarcie do finału (w połowie sezonu sprzedano kapitana, słynącego z agresywnej gry Jacoba Troubę; co ciekawe, poza lodowiskiem zajmuje się on malarstwem). Poskutkowało to tym, że nie wszedł on nawet do fazy pucharowej.

Napięcie kumulowało na turnieju 4 Nations Face-Off w Montrealu: **kibice wybuczeli hymn USA i grę Amerykanów.**

Podobny los spotkał Boston Bruins, którzy dwa sezony temu pobili historyczny rekord liczby punktów zdobytych w sezonie regularnym. Bruins też pozbyli się kapitana, Brada Marchanda, który szykował się na osiągnięcie wieku emerytalnego w Bostonie, ale musiał szybko odnaleźć się w drużynie z Florydy.

Kolejny sezon z rzędu w ogonie ligi ciągnęła się natomiast drużyna Chicago Blackhawks. Ta jednak od ubiegłego sezonu konsekwentnie dokonuje przebudowy wokół świeżego nabytku, Connora Bedarda, uznawanego za następcę McDavida, Crosby'ego i Gretzky'ego. Taki jest los najlepszych młodziaków, którzy zgodnie z regułami ligi trafiają do jednej z najsłabszych drużyn, co ma służyć tworzeniu wieloletniego balansu między klubami.

Idzie nowe

W kończącym się sezonie doszło do jeszcze jednego hokejowego przełomu. Po raz pierwszy w historii NHL stanowisko asystenta trenera objęła kobieta. Jessica Campbell, była kanadyjska hokeistka, została asystentką nowego trenera Seattle Kraken (najnowszej drużyny w całej lidze, jeśli nie liczyć nowej-starej drużyny z Utah, i – nie będę ukrywał – mojej ulubionej). Pojawienie się Campbell za ławką odnotowały wszystkie media sportowe. To faktycznie przełom w krajobrazie, który składa się z samych mężczyzn.

Sukces Jessiki Campbell zbiegł się w czasie (chyba nieprzypadkowo) z rozwojem nowej odsłony zawodowej ligi hokeja kobiet. Professional Women Hockey League (PWHL) wystartowała w styczniu 2024 r. z udziałem sześciu klubów ze Stanów i Kanady. Od razu pobiła rekordy oglądalności, choć wcześniejsze odsłony ligowych rozgrywek hokeja kobiet upadały właśnie ze względu na niewielkie zainteresowanie.

Tym razem wszystko gra. Liga PWHL zakończyła właśnie drugi sezon, a Puchar Waltera zdobyły po raz drugi Minnesota Frost, zwyciężając stosunkiem meczów 3:1 z Ottawa Charge. Liga ogłosiła też plany rozwoju: jesienią do rozgrywek dołączą drużyny z Seattle i Vancouver. Dla polskich kibicek i kibiców dobra wiadomość jest taka, że wszystkie mecze PWHL można bezpłatnie oglądać na YouTubie.

Polak z Niemiec w Ameryce

Z polskiego rynku znika natomiast platforma Viaplay, na której można było śledzić rozgrywki NHL. W tej chwili nie wiadomo, czy jakaś inna platforma przejmie prawa szwedzkiej spółki do transmisji amerykańskiej ligi hokeja. Tymczasem kibice z Polski będą mieli w przyszłym sezonie dodatkowy powód, by śledzić te rozgrywki, bo są szanse, że pierwszy raz od wielu lat – kiedy to w NHL grali Mariusz Czerkawski i Krzysztof Oliwa – w lidze tej zagra Polak. Nawet jeśli to reprezentant Niemiec.

Druga z amerykańskich drużyn z siedzibą na Florydzie, Tampa Bay Lightning, podpisała właśnie wstępny kontrakt z Wojciechem Stachowiakiem. Urodził się on w Gdańsku i tam stawiał pierwsze kroki na lodzie, ale od jedenastego roku życia mieszka w Niemczech, a na tegorocznych Mistrzostwach Świata grał w ich drużynie.

W ubiegłym sezonie najbliżej szansy na kontrakt z drużyną NHL był pochodzący z Nowego Targu Krzysztof Maciaś, ale żaden z klubów nie wybrał go w draftcie i po dwóch sezonach spędzonych w Kanadzie zawodnik przeniósł się do klubu w Czechach.

Tymczasem kiedy ten tekst idzie do druku, stan rywalizacji między Edmonton Oilers a Florida Panthers wynosi 1:2 dla Florydy – i wszystko jeszcze może się zdarzyć. © MACIEJ JAKUBOWIAK

Tekst ukończono 10 czerwca.

BORISLAV TROSHEV / EPA / PAP

Protest przeciw wprowadzeniu euro. Sofia, 31 maja 2025 r.

Bułgarski paradoks

PIOTR OLEKSY

EUROPA | Kraj, który cztery lata nie miał stabilnego rządu, osiągnął wyniki ekonomiczne pozwalające dołączyć do unijnej waluty. Jak to możliwe? I dlaczego przynależność do strefy euro postrzegana jest tu w kategoriach narodowej godności?

Bułgarzy dołączą do niej 1 stycznia 2026 r. Ogłaszając decyzję Brukseli o przyjęciu tego czarnomorskiego państwa do unii walutowej, wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Valdis Dombrovskis stwierdził, że jest to „najlepsza inwestycja, jaką Bułgaria może zrobić dla swojej przyszłości".

Dombrovskis odniósł się przy tym do doświadczeń swojej ojczystej Łotwy, która przyjęła europejską walutę w 2014 r.: „Biorąc pod uwagę sytuację geopolityczną w regionie i wojnę Rosji przeciw Ukrainie, euro działa jak tarcza. Nasze oszczędności są bezpieczne, waluta jest stabilna".

EKONOMICZNA STABILNOŚĆ | Jednak już słowa jego zastępcy, Massimo Suardiego, miały bardziej gorzki wydźwięk. „Bułgaria wciąż musi poradzić sobie z wieloma wyzwaniami politycznymi... Są one związane z walką z korupcją, niezależnością sądów, efektywnością administracji publicznej i prokuratury" – mówił urzędnik.

Na pierwszym miejscu w tej wyliczance mogłaby znaleźć się również niestabilność polityczna: w latach 2021-24 r. Bułgarzy aż siedmiokrotnie wybierali parlament. Natomiast kolejny problem polityczny, którym jest rosnące poparcie dla ugrupowań antyunijnych i prorosyjskich, nie mógł być przedmiotem oficjalnej troski Dombrovskisa i Suardiego, gdyż przyglądali się oni przede wszystkim wskaźnikom ekonomicznym.

Tymczasem, co ciekawe w przypadku najbiedniejszego kraju członkowskiego Unii, który w ostatnich latach kierowany był głównie przez rządy tymczasowe, wykazują one zaskakującą stabilność. Średnia inflacja z ostatnich dwunastu miesięcy wynosiła 2,7 proc., a dług publiczny stanowi zaledwie 24,1 proc. PKB (dla porównania: prognozuje się, że w Polsce w 2025 r. inflacja będzie wynosić 4,9 proc., a dług publiczny stanowi obecnie 55,3 proc. polskiego PKB).

WARUNKI SPECJALNE | Bułgaria zadeklarowała chęć przystąpienia do strefy euro zaraz po akcesji do Unii w 2007 r. Jednak wtedy nikt nie traktował tego poważnie, gdyż państwo to dołączyło do wspólnoty na specjalnych warunkach. Problemy z korupcją i przestępczością zorganizowaną, a także zawłaszczenie wymiaru sprawiedliwości przez oligarchów spowodowały, że Bułgaria i Rumunia zostały objęte przez Komisję Europejską mechanizmem kontrolnym.

W efekcie oba te państwa dopiero w tym roku przystąpiły do strefy Schengen. Przez długi czas Bułgaria była również daleka od wypełniania tzw. kryteriów konwergencji, dotyczących stabilności inflacji i kursu waluty, a także przejrzystości systemu prawno-ekonomicznego.

W POLITYCZNYM KRYZYSIE | Przyjęciu do strefy euro nie przeszkodził głęboki kryzys polityczny, w jakim Bułgaria zaczęła się pogrążać latem 2020 roku.

Zaczęło się od masowych protestów przeciw zawłaszczaniu państwa przez elitę. Wymierzone były one przede wszystkim w partię GERB i premiera Bojko Borisowa, rządzących prawie nieprzerwanie od 2009 r., a także w bliskich im oligarchów. Na fali protestów pojawiło się kilka nowych ugrupowań. Część z nich miała charakter obywatelski i demokratyczny, część wybitnie populistyczny – jak partia Jest Taki Naród, którą ↦

↦ założył popularny muzyk i showman Sławi Trifonow.

Potem kolejne wybory przynosiły zmieniające się relacje między partiami tradycyjnymi a nowymi siłami politycznymi, jednak po żadnych nie udało się stworzyć stabilnej większości rządowej. Kryzys parlamentarny zaowocował też umocnieniem się sił nacjonalistycznych, często o otwarcie prorosyjskim charakterze.

ZASKAKUJĄCA KOALICJA | Wreszcie po ostatnich wyborach, które odbyły się w październiku 2024 r., powstała zaskakująca koalicja.

W jej skład weszły partie tradycyjne i odwiecznie rywalizujące, a przy tym mające rozbieżne kursy w polityce zagranicznej: prozachodnia GERB i prorosyjska Partia Socjalistyczna. Wsparły je mniejsze ugrupowania: wspomniane Jest Taki Naród oraz partia Demokracja, Prawa i Wolność. Ta ostatnia reprezentuje mniejszość turecką, a kieruje nią Ahmed Dogan – oligarcha, którego działania były iskrą zapalną dla protestów z 2020 roku.

Jest to więc historia wiele mówiącego paradoksu: państwo, które przez prawie cztery lata funkcjonowało bez stabilnego rządu, osiągnęło wyniki ekonomiczne pozwalające dołączyć do strefy euro.

KWESTIA GODNOŚCI | W oczywisty sposób pojawia się tu pytanie, czy rezultat ten osiągnięto pomimo, czy może dzięki tej sytuacji – bo rządy tymczasowe zajmowały się administrowaniem, współpracując przy tym z Komisją Europejską. A co Bułgaria zyskuje, wchodząc do strefy euro? Przede wszystkim – ciągłość i odporność nie tylko na szoki zewnętrzne, ale również na zapędy lokalnej klasy politycznej.

Dla wielu Bułgarów to również kwestia prestiżu. Fakt, że państwo to przez długi czas było członkiem „drugiej kategorii" w Unii, był dla nich bolesny. Choć w kraju silne są nastroje prorosyjskie, to kwestia przynależności do obu stref – Schengen i euro – jest postrzegana wręcz w kategoriach narodowej godności.

© PIOTR OLEKSY

Czy można oswoić wojnę

PAWEŁ PIENIĄŻEK, REPORTER:

WOJNA I LUDZIE | Nauczyłem się nie przebywać za długo tam, gdzie jest niebezpiecznie. Gdy czułem, że mój strach się przytępia, że przestaję się bać, wiedziałem, że przekraczam barierę i muszę się wycofać, zregenerować.

ANNA GOC: „Wielkie katastrofy są słabo widoczne dla ludzi, którzy są blisko" – to zdanie z Miłosza otwiera Twoją książkę „Wojna w moim domu. Kiedy konflikt staje się codziennością", która właśnie się ukazała. Czego się nie widzi z bliska?

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Na początku jest chaos. W 2014 r., gdy kończył się kijowski Majdan, a zaczynała okupacja Krymu i wojna w Donbasie, myślałem, że jadę tam, aby pisać o protestach. Nie sądziłem, że będą to moje pierwsze relacje z wojny.

W kwietniu 2014 r. w Słowiańsku zjawili się ludzie w mundurach bez oznaczeń. Jeden, przedstawiając się, powiedział mi: „Jesteśmy pospolitym ruszeniem Krymu". Po czym zawahał się i poprawił: „To znaczy Donbasu". Merem ogłosił się przedsiębiorca handlujący wcześniej mydłem, o którym nikt nie umiał nic powiedzieć. Usłyszeliśmy o Rosjaninie Igorze Girkinie, który dowodził. Dopiero potem okazało się, że to oficer rosyjskich służb i pasjonat rekonstrukcji historycznych bitew z udziałem Rosji. Ale na początku nie wiedziano o nim nic.

A mieszkańcy?

Pewna kobieta ze Słowiańska wyznała mi, że wśród ludzi w mundurach, jacy stanęli na posterunkach, rozpoznała kole-

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Domu nie da się spakować, zniszczone mieszkanie Natalji. Charków, 26 marca 2022 r.

gów brata, który zmarł po przedawkowaniu narkotyków. A do lombardu, który prowadziła, zaczęły przychodzić osoby, które znała z widzenia, tyle że teraz byli w mundurach i mieli pieniądze. Obserwując wydarzenia, mieszkańcy próbowali się w tym odnaleźć. Nawet ci, którzy sympatyzowali z ludźmi w mundurach, nie wiedzieli, o co chodzi.

Jak wtedy weryfikować informacje?

Do pisania z Ukrainy byłem przygotowany, studiowałem ukrainistykę, znam ukraiński i rosyjski. Ale w tym chaosie trudno było mi się na początku odnaleźć, brakowało mi też doświadczenia. Starałem się opisywać, co widzę. Oddać to dziwne uczucie. Bo z jednej strony rzeczy tragiczne: pierwsze ofiary, represje. Z drugiej aspekt tragikomiczny: dziwacy z jakichś „prawosławnych armii", którzy tam zjeżdżali. Propaganda mówiąca o ukraińskich nacjonalistach, którzy ciemiężą ludność Donbasu. Niejednoznaczność sytuacji: prorosyjscy mieszkańcy, mniejszość proukraińska.

Natłok wydarzeń był tak duży, że trudno było się zatrzymać i analizować zdarzenie po zdarzeniu. Staraliśmy się gonić to, co się działo.

Co pomagało w porządkowaniu informacji?

Z czasem stał się to dziennik, który zacząłem pisać. Codzienne zapiski ułatwiały mi odtwarzanie wydarzeń. Zwłaszcza z tych dni, gdy dużo się działo. Choć tego nauczyłem się dopiero po czasie, gdy zrozumiałem, że zbyt wiele przeżyć szybko się zaciera i miesza.

Jeden z Twoich bohaterów porównuje świadomość wojny do tego, jak rośnie trawa: najpierw jest mała, ale przecież nie mierzysz jej codziennie, więc nagle stajesz w ogrodzie w trawie po kolana.

W miejscach, gdzie dużo się dzieje, łatwo coś przeoczyć. Dopiero retrospektywnie udaje się uchwycić więcej: co się zdarzyło i jakie będą skutki. Na miejscu jesteś sam z ludźmi, którzy, tak jak ty, nie wszystko rozumieją.

Kiedy nazwałeś to, co w 2014 r. działo się w Ukrainie, wojną?

Nie pamiętam daty. Miałem wejście na żywo w polskiej telewizji. „Czy to już wojna?" – zapytał prowadzący. Zawahałem się i odparłem, że chyba tak. Bez przekonania, bo choć walki trwały od przynajmniej miesiąca, wciąż mało kto mówił o wojnie. Denys, jeden z bohaterów książki, liczył wybuchy przed zaśnięciem – tak, jak się liczy owce. Gdy któregoś z rzędu wieczoru doliczył do ponad stu, uzmysłowił sobie, że w jego mieście naprawdę jest wojna.

„Czy będzie wojna?": to jedno z pytań, które zadawało sobie wielu bohaterów Twoich książek. Także poprzedniej pt. „Opór. Ukraińcy wobec rosyjskiej inwazji". Jak wypowiedzenie tego słowa na głos zmienia życie?

Jeśli nie nazwiesz wojny wojną, możesz próbować się oszukiwać: że to, co się dzieje, nie jest aż tak poważne, nie trzeba podejmować żadnych działań, i że być może nie potrwa to długo. W chwili, gdy przyznasz sam przed sobą, że żyjesz w miejscu objętym wojną, zaczynasz poważnie zastanawiać się, co teraz. Denys zrobił zapasy, a wkrótce wywiózł całą rodzinę z miasta.

„Jakby jakiś wojenny film wyłaniał się z telewizora" – mówi o tym, co przyszło do jego domu, jeden z Twoich bohaterów. To też próba oswojenia rzeczywistości?

Dotąd wojna kształtowała popkulturę. Przez to, że mieszkańcy znacznej część Europy i Ameryki Północnej żyli w czasie długiego pokoju, zapanowało przekonanie, że wojna jest czymś nie tylko odległym, ale i barbarzyńskim.

Jak to rozumieć?

Wynika to z poczucia wyższości, czasem nieuświadomionego. Gdy w 2014 r. zaczęła się wojna w Ukrainie, pojawiło się wiele głosów, które można streścić tak: my, świat euroatlantycki, jesteśmy już w innym miejscu rozwoju i nie mamy powodu, by iść na wojnę. Żyjemy z dorobkiem późnego kapitalizmu, więc wojna dziś nam się nie przydarzy, bo się nie opłaca.

Ciekawy paradoks: nie wojna kształtuje popkulturę, lecz popkultura kształtuje myślenie o wojnie. Najczęściej pojawia się porównanie do filmów, nierzadko do gier komputerowych. To odwrócenie sytuacji. Moi bohaterowie nawiązywali do filmów czy gier, bo one były im bliższe. Dawały im język, którym potrafili opisać wojnę realną.

Zastanawiam się, na ile pozwala to odsuwać od siebie rzeczywistość.

Niektórzy moi bohaterowie chodzili do pracy jakby nigdy nic, choć nad ich głowami leciały pociski. Zajmowali się swoimi ogrodami. Odsuwali od siebie myśl o wyjeździe lub w ogóle nie brali jej pod uwagę. W wielu miejscach widziałem, jak ludzie zachowywali się, z naszego punktu widzenia, nieadekwatnie do zagrożenia.

Jak konkretnie?

Pamiętam rozmowę z mężczyzną, który został w Bachmucie, choć w mieście trwały już walki. Poczułem, że spotkałem kogoś, kto jest naprawdę zrezygnowany. On stracił rodzinę, nie miał nadziei. Poddał się. W Bachmucie miałem wrażenie, jakbym słyszał szarżę ciężkiej średniowiecznej jazdy. Ciągły huk – to był niekończący się ostrzał.

↦

W czasie tej rozmowy wzdrygałem się, co chwila przykucałem. A on stał prosto, huk nie robił na nim wrażenia. Po pół godzinie powiedział, że dłużej nie będzie robić mi rozgrzewki, żebyśmy kończyli rozmowę. Przywykł do czegoś, do czego nie powinien przywyknąć. To moja reakcja była właściwa.

Jak dbasz o siebie w takich miejscach?

Mam takie usposobienie, że potrafię rozdzielić, kiedy jestem w pracy, a kiedy poza nią. Oczywiście to nie tak, że po powrocie do domu nie myślę o tym, co zobaczyłem, ale nie przeszkadza mi to w codziennym funkcjonowaniu.

Jeśli chodzi o pracę na miejscu, nauczyłem się z czasem, żeby nie przebywać za długo tam, gdzie jest niebezpiecznie. Nawet gdy w 2022 r. spędziłem w Ukrainie znaczną część roku, starałem się jechać tylko na jakiś czas w miejsca, gdzie było intensywnie, a potem się wycofywałem. W momencie, gdy czułem, że moje poczucie zagrożenia się przytępia, że pociski wybuchają coraz bliżej, a mnie to już nie rusza, wiedziałem, że przekroczyłem barierę. Gdy strach się stępia, trzeba się wycofać i pokłady strachu w sobie zregenerować.

Wkurzają mnie natomiast opowieści heroizujące dziennikarzy wojennych. Jesteśmy jedną z najbardziej uprzywilejowanych grup na wojnie. Mamy komfort, że przyjeżdżamy i wyjeżdżamy. Wojna nie przyszła do naszych domów, nie mamy tyle do stracenia, nie ryzykujemy jak mieszkańcy.

W książce opisujesz trzy konflikty: Ukrainę, Górski Karabach i Afganistan. Co je łączy?

Zacznę od tego, co je dzieli. Gdy wybierałem materiał do książki, zależało mi, aby to były trzy różne typy wojen.

W Afganistanie wojna wielokrotnie mutowała. Najpierw była inwazja sowiecka, potem wojna domowa, później władzę przejęli talibowie i wprowadzili brutalne rządy. Potem inwazja amerykańska i wojna między talibami a siłami amerykańskimi, wspieranymi przez lokalne ugrupowania. Gdy w 2024 r. wycofały się zagraniczne siły, konflikt przeszedł znów w wojnę domową. Mamy więc różne fazy, ale Kabul nigdy nie był miastem oblężonym, nie było tam frontu. Za to miasto było ciągle celem zamachowców.

GLEB BUDILOVSKY PHOTOGRAPHY

PAWEŁ PIENIĄŻEK (ur. 1989) jest reporterem, stale współpracuje z „TP", gdzie publikował teksty z Ukrainy, Afganistanu, Syrii, Iraku, Karabachu i Turcji. Obecnie studiuje na kierunku Regional Studies – Russia, Eastern Europe and Central Asia na Uniwersytecie Harvarda. Autor książek: „Pozdrowienia z Noworosji" (2015), „Wojna, która nas zmieniła" (2017), „Po kalifacie. Nowa wojna w Syrii" (2019), „Opór. Ukraińcy wobec rosyjskiej inwazji" (2023) i „Wojna w moim domu. Kiedy konflikt staje się codziennością" (2025).

Mudżibullah, jeden z Twoich bohaterów, mówi, jak stopniowo ograniczał liczbę osób, z którymi się spotykał, z rodziny i przyjaciół, i że dzięki temu czuł się bezpieczniej.

Inny mówi, że nie mógł przypomnieć sobie momentu w życiu, gdy czuł się bezpiecznie. Zagrożenie czyhało wszędzie. Mógł być nim kolega ze szkoły czy pracy, a nawet daleki kuzyn. Mudżibullah zastanawiał się, czy taksówkarz, który go wiezie, nie chce mu zrobić krzywdy. Czy pod autem nie przyczepiono bomby-pułapki.

W takim miejscu ludzie mają poczucie ciągłego zagrożenia. Ono się czai w każdym momencie – gdy idziesz do sklepu, pracy, pomodlić się. Wszystko to sprawia, że przestajesz ufać otoczeniu. Zaczynasz odgradzać się nawet od rodziny, próbujesz się ukryć. Masz wrażenie, że tylko twoje cztery ściany są bezpiecznym miejscem, więc starasz się z nich nie wychodzić.

Opisujesz scenę, jak jednemu z Twoich afgańskich bohaterów eksplozja bomby na ulicy stłukła szyby w domu.

To symboliczna scena, bo okazuje się, że niebezpieczeństwo może dosięgnąć cię także w domu, miejscu, którego jedną z podstawowych funkcji jest zapewnienie nam ochrony przed zagrożeniami.

Inaczej było w Karabachu, który zgodnie z prawem międzynarodowym był częścią Azerbejdżanu, ale na skutek wojny przeszedł pod władzę Ormian. Mamy więc wojnę etniczną, gdzie walczą Azerbejdżan z Armenią, Azerowie z Ormianami. To sprawia, że ludzie mają większe poczucie jedności i świadomość, kto z ich punktu widzenia jest dobry, a kto zły.

Nie są tak samotni, jak w Kabulu?

Mają grupę etniczną, z którą czują się związani. Wiadomo, gdzie jest granica, której nie możesz przekroczyć, bo za nią czyha śmierć. W pewnym sensie to łatwiejsze, bo masz na kim się oprzeć i macie wspólny cel.

W opowieściach z Karabachu widać tymczasowość wojny: przekonanie, że ona zaraz się skończy, i że nawet jeśli opuszczają dom, niebawem wrócą.

Dla wielu wojen charakterystyczne jest to, że ktoś mówi: nie spakowałem zbyt wielu rzeczy z domu, bo wyjeżdżamy na dwa lub trzy tygodnie. To przekonanie, że wojna zaraz się skończy i będę mógł wrócić. Największy smutek jest wtedy, gdy ludzie nie zabierają zdjęć. Zwłaszcza jeśli mieli albumy rodzinne z czasów przedcyfrowych. Jedyne egzemplarze zdjęć, które w efekcie tracą na zawsze.

W Górskim Karabachu przekonanie o tymczasowości wojny wzmacniał fakt, że ludzie byli tam okłamywani przez władze Armenii. Długo nie wiedzieli, co się dzieje. Propaganda Armenii była tak silna, że sądzili, iż wygrają. Gdy Karabach przegrał, pojawił się szok emocjonalny. Ludzie miesiącami nie potrafili zrozumieć, co się wydarzyło.

Co charakteryzowało wojnę w Donbasie?

Na początku obojętność. W 2014 r. w Słowiańsku opisywałem mieszkańców ulicy Białoruskiej, której nazwę zmieniono na Patriotyczną. Przed wojną było to 116-tysięczne miasto typowe dla Donbasu. Wiosną 2014 r. przez pewien czas Słowiańsk był *de facto* stolicą nieuznanej prorosyjskiej republiki

PAWEŁ PIENIĄŻEK

Talibowie w willi Dostuma. Bojownicy nie mieszkają jednak w głównym budynku: po latach życia w górach i na pustyniach czują się niekomfortowo w takim przepychu. Szeberghan, 20 września 2021 r.

i miejscem ważnych wydarzeń. Dopiero gdy latem 2014 r. Ukraińcy odbili miasto, kluczowym miejscem tej wojny stał się Donieck.

A więc wiosną 2014 r. nastroje w Słowiańsku były prorosyjskie albo w większości obojętne. Na początku ludzie nie robili nic. Jedna z bohaterek mówi, że do dziś ma poczucie, iż nie zareagowała, gdy jeszcze było można. Ale też w 2014 r. ci mieszkańcy Donbasu, którzy utożsamiali się z Ukrainą, mieli poczucie, że są sami z tymi uczuciami, że stali się nagle we własnym mieście wrogami.

Te wojny coś łączy?

Te trzy miejsca dają różne perspektywy, jak ludzie adaptują się do wojny, jak z nią żyją i jakie są jej skutki. Wspólne jest zaś to, że zawsze te wydarzenia ich zaskakują, nawet jeśli coś wisiało w powietrzu. Ostatecznie nigdy nie są do nich przygotowani. Wspólne są też próby przetrwania, stawiania oporu codziennością, niepoddawania się.

Kobieta z Karabachu opowiada, jak mieszkańcy całego bloku schodzili do piwnicy w czasie ostrzału i korzystali z jej łazienki, bo była na parterze. Ona, jeśli tylko mogła, sprzątała ubikację, próbując zachować pozory normalności.

Sąsiedzi z niej żartowali, że tak dba o czystość. A ona mówiła mi, że czysta łazienka była dla niej jak zachowanie człowieczeństwa. Potrzeba wracania do mieszkania, nawet jeśli było to groźne, głównie po to, by zachować coś elementarnego – to było coś uderzającego.

Piszesz: „Gdy wojna raz przyjdzie do Twojego domu, już nie chce z niego wyjść".

To dobrze widać w pokoleniu osób, które przeżyły II wojnę światową, a do pewnego stopnia także ich dzieci. Tam silna była potrzeba robienia zapasów, kupowania nadmiaru chleba, co było rezultatem tych doświadczeń. Śladem wojny nie musi być od razu zespół stresu pourazowego. Może to być przekonanie, że powinno się mieć zapas jedzenia. Wojna to wydarzenie formujące, definiujące życie. Ekstremalne. Zostawia w nas mnóstwo śladów.

Jak wojna zmieniła Ciebie?

Zawsze obawiam się tych dziennikarskich historii o sobie samym, bo one przyćmiewają naszych bohaterów. Ludzie, o których powinno się opowiadać, których losy są najistotniejsze, stają się postaciami drugoplanowymi. Zresztą często te historie okazują się być przesadzone.

Myślę, że praca na wojnach skłoniła mnie do refleksji nad sprawami, które wcześniej nie zaprzątały mi głowy. To docenianie codzienności. Myślenie o tym, czym jest dla mnie dom. A także, jak łatwo człowiek może się do czegoś przyzwyczaić. I jak mało znaczą deklaracje o tym, co zrobimy w chwili próby, bo gdy ona nadejdzie, to ludzie zachowują się często inaczej, niż sobie wyobrażali. Pewnie czasami sami się dziwią, jak do tego doszło.

Ale też trudno mi powiedzieć, jak wojna mnie zmieniła, bo relacjonuję je przez niemal jedną trzecią mojego życia. Nie miałem jeszcze 25 lat, gdy zaczął się Donbas. Trudno mi więc powiedzieć, co zmieniła we mnie wojna, a co było po prostu dojrzewaniem.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

JHS

WIARA

PROCESJA TAKA, JAK MY

Boże Ciało pokazuje, że pobożność w Polsce nie umiera, lecz się zmienia. Każde pokolenie wyraża ją własnym językiem.

TEKST MONIKA BIAŁKOWSKA | ZDJĘCIA EDYTA GONET

Memy z przebierańcami różnej maści, przyłączającymi się do procesji Bożego Ciała. Fotografie ołtarzy, zbudowanych pod sugestywnymi reklamami. To już coroczna czerwcowa codzienność w internecie. Warto zadać sobie pytanie, na ile świętowanie Bożego Ciała jest (wciąż jeszcze) wyrazem wiary ludu Bożego, a na ile (już jedynie) folklorem. Bo gdyby miało stać się pustym obrzędem, lepiej gdyby w ogóle zniknęło.

Religijność ludowa to więcej niż folklor

Pytanie istotne, bo odnosi się nie tylko do uroczystości Bożego Ciała, ale do tzw. pobożności ludowej, której procesje są jednym z wyrazów. Nie chodzi bynajmniej o folklor czy ludowe zwyczaje. Owszem, pobożność ludowa może do nich nawiązywać, ale się w nich nie wyczerpuje. Nie jest pieśnią przeszłości, ale naszym głosem wiary – tu i teraz.

Nie chodzi więc o kobiety przebrane w ludowe stroje ani o powtarzanie starych nabożeństw i modlitw. W pobożności ludowej mieszczą się dziś, owszem, gorzkie żale, różaniec i odmawiane przy figurach litanie – ale również Ekstremalne Drogi Krzyżowe czy Marsze Trzech Króli. Każde pokolenie buduje własną pobożność ludową. Jest ona zawsze taka, jaki jest lud, który ją tworzy. Nowe pokolenia znajdują nowe sposoby odpowiadania Bogu i pozaliturgicznego oddawania Mu czci.

Z czasem sposoby te ulegają zużyciu. Przestają być czytelne. Jeśli nie wyrażają już wiary ludu, zastępowane są innymi. Nie ma w tym niczego złego. Przeciwnie – zmiany zachodzące w pobożności ludowej są dowodem, że wiara wciąż żyje, budzi w człowieku potrzebę mówienia własnym głosem, a nie tylko powtarzania słów przodków.

Dlatego właśnie pobożność ludowa powinna być obserwowana i poddawana refleksji. Warto stawiać pytania także o obchody Bożego Ciała: na ile nadal są naszym głosem, odpowiedzią i drogą.

Święto miłości i jedności

Procesje Bożego Ciała są rodzajem teologicznej ikony wiary w realną obecność Chrystusa w Eucharystii. Jednocześnie, jako forma pobożności ludowej, różnić się będą w czasie i przestrzeni. Inaczej wyglądały sto lat temu, jeszcze inne będą za kolejnych sto lat. Inaczej wyglądają na wschodzie, inaczej na zachodzie Polski. Inaczej w wielkich miastach, inaczej na wsiach. W Krakowie współczesne kobiety wciąż noszą z dumą ludowe stroje odziedziczone po babciach. W Wielkopolsce nie nosiły ich nawet nasze prababcie.

Socjologiczne i teologiczne badania nad współczesną formą świętowania Bożego Ciała i zachodzącymi zmianami wciąż są, jak myślę, przed nami. Dziennikarz może jednak zapytać tych, którzy biorą udział w świętowaniu, co jest w nim dla nich ważne. A innych – dlaczego od niego uciekają.

– Od dzieciństwa to było dla mnie ważne święto – wspomina Anna. – Moja mama szykowała okna i ołtarze. Najpierw sypałam kwiatki, później nosiłam poduszki, sztandary, feretrony. Czasem mi się śni, że idzie procesja, a ja nie mam kupionych kwiatów. Sama też prowadziłam na procesję swoje dzieci, dekorowałam okna, robiłam ołtarze. Teraz jestem babcią i prowadzę wnuczkę do sypania kwiatów. Ale moje dzieci już tego nie robią. Dla mnie to przykry widok, że gdy idzie procesja, na boisku obok młodzi grają w piłkę, jakby nigdy nic. Owszem, modlę się, by trasa nie była długa i słońce za mocno nie prażyło, ale lubię to święto. I bardzo nie chcę, by było polityczne. Dla mnie jest wyrazem miłości i jedności.

Sentyment, wspomnienia z dzieciństwa, zwyczaj to argument częsty, choć nie jedyny. Równie ważne bywają też same przygotowania do procesji, które pozwalają się spotkać sąsiadom na innej płaszczyźnie i w innych okolicznościach ↦

Ołtarz w kwiatach, uroczystość Bożego Ciała w parafii św. Tomasza Apostoła w Kietrzu. Opolszczyzna, 28 maja 2024 r.

↦ – przy wymagającym współpracy zadaniu. Czasem to nawet ważniejsze przeżycie niż sama procesja.

Opowiada Hanna: – Ostatnie lata „wymydlam się” z procesji pod pretekstem budowania ołtarza. To fajna impreza. Zaczyna się dzień wcześniej. W naszej parafii każdy ołtarz robi inna wspólnota duszpasterska. Dobrze się znamy, spotykamy się razem i ustalamy, kto co robi, co gdzie ułożymy. Jeden wycina trawę, drugi skręca deski, inny jeździ po kwiaty i świeczniki. Zawsze ktoś przyniesie kawę i ciasto. Wiem, nie brzmi to podniośle, nasze Boże Ciało może nie jest bardzo rozmodlone, ale robimy coś wspólnie, na chwałę Bożą. To jest normalne, życiowe i dla mnie znacznie lepsze niż chodzenie i śpiewanie.

Procesja Bożego Ciała w parafii św. Tomasza Apostoła w Kietrzu. Opolszczyzna, 28 maja 2024 r.

Sacrum i profanum

Najistotniejsze jednak, że wciąż nie gubimy istoty świętowania Bożego Ciała. Gdyby pozostawało ono jedynie w sferze zwyczaju czy wspólnototwórczego obrzędu, szybko groziłoby mu wypalenie, a za lat kilka czy kilkanaście straciłoby całkiem znaczenie. Tymczasem wiara tych, którzy trzymają się obrzędowości, wciąż wydaje się żywa.

– Boże Ciało i towarzysząca mu procesja jest w samym sercu mojego doświadczenia wiary – mówi Agnieszka. – Najlepiej oddają je słowa pieśni: „Zagrody nasze widzieć przychodzi i jak się Jego dzieciom powodzi”. Jest w tym święcie tyle bliskości z Jezusem, tyle czułej miłości do Niego, wdzięczności, że jest pośród nas... Jest też wspólnota i radość sąsiedzka. Gdy idę w procesji, widzę same znajome twarze. Pamiętam rok, gdy nasz sąsiad, architekt, zebrał cyfrowe zdjęcia mieszkańców parafii i zrobił z nich portret Jezusa. Bardzo to było wzruszające – Jego twarz, złożona z setek naszych małych twarzy. Bo przecież wszyscy jesteśmy w Chrystusie, a On jest w każdym z nas. Zawsze wzrusza mnie też, jak proboszcz, który jest po operacji biodra i kolana, z wielkim trudem, ale niezłomnie klęka przed Najświętszym Sakramentem. Boże Ciało to święto radosne i pełne miłości. Zawsze będę chodzić na procesje, no chyba że nadejdzie ciężka choroba albo kres życia.

W słowach, że „Jezus przychodzi do nas w odwiedziny”, wiele osób widzi teologiczną niespójność. Przecież Bóg obecny jest w naszym życiu zawsze i wszędzie. Tajemnica Jego wcielenia jest niczym innym, jak tajemnicą przepełnienia całego stworzenia Nim samym, tajemnicą ocalenia świata od przestrzeni „bez Boga”. Jako ludzie potrzebujemy jednak znaków. Odwiedzanie ulic z monstrancją niczego w realnej obecności Boga w świecie nie zmienia. Zmienia jednak nasze rozumienie tej tajemnicy, pozwalając doświadczyć jej wprost.

O duchowych przeżyciach, związanych z procesją Bożego Ciała, mówi też Iwona: – Doświadczam wtedy wspólnoty z Jezusem i ludźmi. Cudownie się w niej czuję. Jest spokojnie, modlitewnie, nikt się nie rozpycha, dla każdego jest miejsce, w parafii nie uprawia się polityki. Razem idziemy, śpiewamy, rozmawiamy i uśmiechamy się do siebie. Trochę jak droga do nieba. A może już w niebie? Prowadzi nas Jezus.

Agata wyznaje, że lubi procesje nie tylko ze względu na łączność z przeszłością, ale też jako refleksję nad tym, czy i jak niesiemy Jezusa innym. – To taka modlitwa połączona z wysiłkiem fizycznym, trochę jak na pielgrzymce. Mocno też wybrzmiewa Ewangelia czytana poza murami kościoła – przekonuje.

Demonstracja czy adoracja

Procesja jest też czasem adoracji, nawet jeśli wydaje się to trudne ze względu na tłumy i bogatą oprawę. Ale niektórym udaje się również w takich warunkach zachować wewnętrzną ciszę.

– Czas się dla mnie zatrzymuje – przekonuje Agnieszka. – Jezus to najważniejszy „powód”, dla którego idę. Skoro On idzie, idę i ja. Nie chodzi o żadną manifestację.

Podobnie odczuwa Aleksandra: – Na pewnym etapie życia bardzo ważna stała się dla mnie adoracja – wyznaje. – Całą procesję traktuję jak czas na nią. Dlatego staram się iść tuż za księdzem, żeby widzieć Pana Jezusa. To szczególnie ważne, bo w moim obecnym miejscu zamieszkania i sytuacji życiowej nie mam zbyt wielu okazji do adoracji, a brakuje mi jej bardzo mocno.

W patrzeniu na Jezusa w Najświętszym Sakramencie nie ma niczego, co byłoby przeciwne istocie Eucharystii, zawartej w słowach „bierzcie i jedzcie”. Karmienie się jest naszą codzienną koniecznością. A adoracja – momentem zatrzymania się i zachwytu nad tą pozornie prostą i powszechną czynnością. Czasem warto się nią zachwycić, uświadomić sobie, kto nas karmi – by w codzienności nie stracić z oczu sedna tajemnicy.

Jezus w tłumie

Edyta od lat zajmuje się fotografowaniem procesji Bożego Ciała. Ale nie patrzy na to wydarzenie tylko technicznie i zawodowo. – Procesję przeżywam dwa razy. Ponownie, gdy już po wszystkim obrabiam i oglądam fotografie – mówi. – Lubię patrzeć na ludzi zaangażowanych tak, jak potrafią i chcą. Na mamy nerwowo biegające z reklamówkami napełnio-

nymi płatkami kwiatów, żeby ich córkom nie zabrakło. Na babcie kucające, bo już nie dają rady uklęknąć. Na spacerowiczów, którzy przyszli, bo jest ładna pogoda. Lubię tę różnorodność postaw i zachowań, bo właśnie taki jest Kościół. Dla wszystkich. Dlatego wkurzają mnie ironiczne teksty i obrazki, które pojawiają się w okolicach Bożego Ciała, krytykujące tych, którzy na przykład nie klęczą, a kucają. Tacy jesteśmy, więc dlaczego na procesji mamy udawać?

Ks. Marek mówi, że trudno mu się skupić i modlić wśród kucających czy rozmawiających głośno ludzi. Irytuje go bezrefleksyjność uczestników procesji i traktowanie święta w kategoriach folklorystycznych. – Ale z drugiej strony widzę Jezusa, który idzie w tym tłumie – takim, jaki jest. Nie gorszy się. Idzie tam, gdzie my. My go przecież i tak nosimy w sobie, po komunii, po wyjściu z kościoła. Ale podczas procesji jest to zaznaczone w inny, wyraźny sposób. Moja mama opowiadała mi, że gdy byłem mały, trzymałem przed sobą oburącz butelkę z mlekiem i w ten sposób ćwiczyłem chodzenie. Uczyłem się chodzić, trzymając się pokarmu. Wraca mi ta myśl, kiedy niosę w czasie procesji monstrancję: uczę się chodzić, a On prowadzi, On mnie trzyma.

Wyczerpane symbole

Są w Bożym Ciele także takie elementy pobożności ludowej, które się wyczerpują, przestając być głosem współczesnego człowieka. Największe niezrozumienie budzi dziś zrywanie gałązek z brzóz przy ołtarzach – zwyczaj zabierania ich do domu zakorzeniony jest niemal w całej Polsce. Nasi przodkowie wierzyli, że przyniesione z procesji gałązki uchronią ich przed uderzeniem pioruna. Dziś to już tylko zabobon, w dodatku kojarzony z niszczeniem przyrody i wyrywaniem sobie nawzajem brzozowych witek.

Dla wielu osób problemem jest także oprawa procesji – jej poziom techniczny i estetyczny. Złe nagłośnienie, sprzęgające mikrofony, ołtarze robione z gotowych, drukowanych na plastiku, kiczowatych obrazków, łopatologiczne nawiązania do symboliki narodowej czy wprost politycznej – na te elementy, zniechęcające do procesji, zwraca uwagę wiele osób. Mimo tęsknoty za wspólnotowością i świadomości tego, co w procesji Bożego Ciała wydarza się na poziomie duchowym, nie chcemy uczestniczyć w wydarzeniu słabym na poziomie muzycznym czy plastycznym. Warto więc zadbać o dobry sprzęt, poszukać ciekawych pomysłów, znaleźć specjalistów. W dzisiejszym świecie nie jest to specjalnie trudne.

Tłum i kicz

Świat się zmienia, wraz z nim – także ludzie i ich pobożność. Jesteśmy przebodźcowani w codziennym życiu, otoczeni hałasem i tysiącami obrazów. W procesyjnym tłumie męczymy się, wiele osób stara się go unikać. Ludzie szukają pobożności, ale w ciszy, w kameralnym gronie, bez orkiestr i manifestacji.

– Dla mnie Boże Ciało to ważne święto – przyznaje Justyna. – Chętnie spędziłabym godzinę na adoracji Najświętszego Sakramentu, ale w tym dniu takich nie ma. Na procesję nie chodzę od dziesięciu lat. Nie lubię tłumów i przepychania się. Nie pomaga mi to w modlitwie. Nie umiem modlić się śpiewem, zwłaszcza w marszu, gdy każdy śpiewa w swoim rytmie. Z kolei iść tylko po to, by się pokazać, nie ma dla mnie sensu.

Katarzyna też unika procesji. – To zupełnie nie moja forma, głównie z powodu tłumu, nie do końca zainteresowanego Panem Jezusem. Być może ja źle rozumiem tę formę pobożności. W mojej parafii, dość dużej, ludzie podczas procesji gadają, śmieją się, rozmawiają przez telefon, jedzą lody. Taka fajna, piknikowa atmosfera. Tyle że w Bożym Ciele chyba nie o to chodzi.

Procesje Bożego Ciała pokazują, że pobożność eucharystyczna w Polsce z pewnością nie umiera. Być może będzie się zmieniać, wraz z nią także procesje. Może będą mniejsze i spokojniejsze? Może bardziej adoracyjne, a mniej demonstracyjne? Może będą szły w ciszy, przy spokojnym śpiewie, dziś bardziej odpowiednim dla sfery *sacrum*? Nie chodzi jednak o to, by zrywać z tradycją, ale by ją pogłębiać. Szukać sensu i istoty Bożego Ciała, nie tylko formy. Świat się nie zawali, jeśli zaczniemy je wyrażać własnym językiem. Przeciwnie: to będzie znak, że wiara jest w nas ciągle żywa.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

REKLAMA

PRZEDSPRZEDAŻ
do 25 czerwca
−40%

Leon XIV z bliska – kim jest człowiek, który dziś prowadzi Kościół?

WIEŹ
WYDAWNICTWO.WIEZ.PL

Jaki prywatnie jest nowy papież? Jakie cechy go wyróżniają, co go ukształtowało? Damian Jankowski rozmawia z augustianinem, ojcem **Wiesławem Dawidowskim, od 26 lat zakonnym współbratem Leona XIV.** To opowieść o dystansie do samego siebie, o Kościele w świecie kryzysów i o wierze, która nie traci pokory.

Tajemnica Marii Valtorty

ARTUR SPORNIAK

APOKRYF | Mistyczka, antysemitka o szokujących poglądach na seks, jednocześnie posiadająca niezwykłą wiedzę nie wiadomo skąd. O objawieniach Marii Valtorty wypowiedział się Watykan.

Włoskiej mistyczce Marii Valtorcie w latach 40. XX wieku objawili się Jezus i Maryja. Doświadczyła „reportażu" z życia Chrystusa, Jego Matki i apostołów. Wszystko to skrupulatnie spisała na 13 tysiącach stron 122 zeszytów. „Widzenia dlatego pozostają w umyśle żywe, że musiałam je sama uważnie śledzić. Dyktanda zaś otrzymuję" – wyjaśnia Valtorta w pierwszych słowach monumentalnego działa „Poemat Boga-Człowieka".

Po polsku w siedmiu tomach wydało je wydawnictwo „Vox Domini", publikujące od 1993 r. głównie objawienia prywatne. Na stronie wydawnictwa nie znajdziemy jednak informacji, że na początku marca tego roku Dykasteria Nauki Wiary opublikowała autorytatywny osąd o objawieniach włoskiej mistyczki.

Kto jest autorem

Valtorta cytuje w „Autobiografii" słowa Jezusa: „Maria jest Moim piórem. Niczym więcej. Ja jestem Pisarzem. Myśl jest Moja. Mogę więc nią rozporządzać, jak chcę". Poemat miałby więc być dziełem natchnionym i to w stopniu najbardziej ograniczającym ludzką współpracę. Sama Zjawa zatroszczyła się więc o rozstrzygnięcie najbardziej istotnej kwestii – autorstwa.

Nasuwa się wobec tego pytanie: dlaczego Jezus podczas ziemskiego życia sam nie opisał tego, co chciał przekazać, albo nie uczynił kronikarzem jednego ze swoich uczniów?

Jezus wyjaśnia też Valtorcie, dlaczego uzupełnia kanoniczne Ewangelie licznymi opisami, np. rozmów z Rzymianami i Grekami. Po prostu ewangeliści „nie potrafili uznać tego za dobre (...) z powodu swej niezniszczalnej, hebrajskiej mentalności". Boski Autor tłumaczy też, dlaczego Matka okazuje mu tak wiele czułości: „Spodziewacie się, że na tych kartach przedstawię wam Maryję z Nazaretu taką, jaka jest oschła i płytka kobieta waszych czasów?". Jezus czyni też wyrzut: „Zaprawdę, powinniście Mnie błogosławić, że do światła, które posiadacie, dodaję nowe światła, bo to, które posiadacie, nie wystarcza już do »zobaczenia« waszego Zbawiciela".

Stwierdzenie, że kanoniczne objawienie nie jest wystarczające, ociera się o herezję.

Anachronizmy i erudycja

Poemat obfituje w anachronizmy. Maria Magdalena jest przedstawiana jako nawrócona jawnogrzesznica. Tymczasem w Nowym Testamencie pojawia się ona jako kobieta, którą Jezus uzdrawia, uwalniając od złych duchów. Dopiero później tradycja utożsami ją, bez żadnego biblijnego uzasadnienia, z jawnogrzesznicą obmywającą Jezusowi stopy alabastrowym olejkiem. Zarówno Maryja, jak i Józef, od początku świadomi są, że Jezus jest Bogiem, co dla pobożnych Żydów dwa tysiące lat temu było czymś wręcz obrazoburczym. Podobną świadomością charakteryzują się trzej Magowie przynoszący dary.

Przy narodzeniu Jezusa w grocie betlejemskiej asystują oczywiście wół i osioł, znane z katolickich szopek (gdzie trafiły za sugestią początku Księgi Izajasza: „Poznał wół pana swego i osioł żłób pana swego"). Ustalenia współczesnej egzegezy biblijnej nie pozostawiają zresztą złudzeń: cała tzw. ewangelia dzieciństwa Jezusa – przez Valtortę szczegółowo przedstawiana – jest legendą opracowaną po to, by odpowiedzieć na pytanie o pochodzenie Jezusa.

Tysiące szczegółów

Poemat Valtorta zaczyna pisać w 1943 r., od kilkunastu lat przykuta już do łóżka. Do 1947 r. zapełnia kolejne zeszyty bez żadnych skreśleń i poprawek. Nie ma świadectw, by korzystała z bibliotek, przewodników, opracowań naukowych czy map. Tymczasem podaje tysiące szczegółów odnośnie do ukształtowania terenu, wyglądu starożytnych miast, rozkładu ulic i budynków, obecności ruin. Odwołuje się do nazw i położenia setek starożytnych miejscowości.

Na te szczegóły zwraca uwagę francuski inżynier Jean-François Lavère. W 2012 r. wydaje książkę „L'enigma Valtorta" *(Zagadka Valtorty)*. Pokazuje zdumiewającą wiedzę autorki o starożytnym Izraelu i okolicznych krajach. Np. włoska mistyczka, opisując ucieczkę Maryi i Józefa z małym Jezusem do Egiptu, pisze, że para zatrzymała się w miejscu, skąd było widać pustynię i piramidę, za którą pięknie zachodziło słońce. Potem okaże się, że to Matarea (dzisiaj El Matariya). Około 20 km na południowy zachód od tego miejsca w Gizie stoją trzy piramidy: Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. Dlaczego Valtorta widzi jedną? Okazuje się, że piramidy ułożone są dokładnie w kierunku Matarei, tak, że piramida Cheopsa zasłania pozostałe. Inny przykład: Jezus, wspominając dzieciństwo w Egipcie, mówi o skamieniałym lesie. Rzeczywiście, to unikatowe zjawisko geologiczne, które nauce trudno jest do tej pory wyjaśnić, znajduje się m.in. około 17 km od Matarei.

Najwcześniejsza tradycja, mówiąca, że Święta Rodzina schroniła się właśnie w Matarei, pochodzi z apokryficznej Ewangelii Tomasza. W całości odkryta ona została w 1945 r., zaś wydana dopiero w 1959 r. – wtedy „Poemat Boga-Człowieka" był już na indeksie ksiąg zakazanych.

Antysemickie stereotypy

Te zdumiewające fakty nie uchroniły dzieła włoskiej mistyczki od nokautującej krytyki. Jej autorką jest Sandra Miesel – amerykańska historyczka, Żydówka, wychowana w Kościele katolickim i pracująca kilka dziesięcioleci jako katolicka dziennikarka. Najpierw zauważa ona, że Valtorta zniekształca charakterystyki Jezusa i Marii. „Są jasnowłosi, niebiesko-

ocy, o alabastrowej skórze i prostych nosach", w przeciwieństwie do otaczających ich śniadych Żydów. Zauważa też, że haczykowaty nos jest zawsze złowieszczą cechą.

Antysemickie stereotypy – zdaniem Amerykanki – są jakby wyjęte z propagandowego niemieckiego filmu „Wieczny Żyd". Piłat po spotkaniu z przedstawicielami Sanhedrynu wącha kwiat, aby odegnać „kozi smród". Według Valtorty: „Żony Hebrajczyków rodzą nikczemnych krzywoprzysiężców. Łona Rzymianek poczynają samych bohaterów". Mistyczka oczywiście czyni z Żydów bogobójców. W jej pismach Maria mówi, że Rzym miał rację, bojąc się tego „plemienia zabójców". Oświadcza też: „Nie jestem już Żydówką, ale chrześcijanką, pierwszą chrześcijanką".

Miesel podsumowuje: „Pisanie takich rzeczy, gdy w Auschwitz płonęły krematoria, jest czystą obscenicznością".

Odraza do seksualności

Drugi wątek dyskwalifikujący objawienia Valtorty dotyczy wyobrażeń seksualności. „Valtorta ma niemal gnostyczną odrazę do seksualności – pisze Miesel. – Dla Jezusa wszyscy ludzie są niczym innym, jak duszami". W poemacie znajdziemy sugestię, że nieupadła ludzkość rozmnażałaby się bezpłciowo. A grzech pierwotny zapoczątkował „perwersyjny flirt Ewy z wężem, po którym nastąpił stosunek z Adamem". Po upadku pierwszych ludzi satysfakcja seksualna to – jak pisze mistyczka – „chleb zrobiony z popiołu i odchodów".

Antysemityzm Valtorta zapewne wchłonęła z ogólnej atmosfery kościelnej tamtych czasów. Za jej wykrzywione spojrzenie na seksualność w głównej mierze odpowiada matka.

W imię matki

Maria Valtorta urodziła się w 1897 r. w Casercie. Jej ojciec Giuseppe był podoficerem pułku kawalerii, dlatego rodzina często zmieniała miejsce zamieszkania. Maria charakteryzuje go jako człowieka ciepłego, ale uległego żonie. Matka, Izyda Fioravanzi, była nauczycielką francuskiego. Być może marzyła o synu (Maria była jedynaczką), stąd jej szorstki stosunek do córki, która zapisała później w poemacie słowa Jezusa, że matki nie powinny chcieć synów dla przyjemności, tylko z czystej ofiarnej miłości. Maria świetnie się uczyła przedmiotów humanistycznych (ponoć potrafiła napisać 9 różnych wypracowań na ten sam temat – jedno dla siebie, resztę dla koleżanek). Matka pchała ją jednak w kierunku przedmiotów ścisłych, z którymi Maria sobie nie radziła.

DOMENA PUBLICZNA

Maria Valtorta, 1912 r.

Zbiór ksiąg natchnionych jest już zamknięty i zatwierdzony przez Kościół. **Żadne apokryfy nie będą do niego dodawane.**

W 1920 r., jako córka żołnierza, została uderzona w plecy łomem przez anarchistę. Od tego czasu stan jej zdrowia pogarszał się z roku na rok, by 13 lat później przykuć ją zupełnie do łóżka. Jako 16-latka zakochała się w Robercie, studencie humanistyki. Gdy powiedziała o tym matce, ta ją wyszydziła. „To wtedy moja matka zdarła ze mnie brutalnie zasłonę mojej niewinności czystej dziewicy. Tak to dowiedziałam się, że mężczyzna i kobieta mogą razem zgrzeszyć. Dotąd tego nie wiedziałam. Obnażenie przede mną zła życia bez litości dla moich szesnastu niewinnych lat było największą krzywdą i ostatecznie oddzieliło mnie od tej, która mnie wydała na świat". W 1922 r. pojawił się jeszcze Mario, z którym się zaręczyła, ale matka zniszczyła i tę relację.

Pod koniec życia – jak można przeczytać na stronie mariavaltorta.pl, propagującej jej objawienia – popadła w rodzaj psychicznego wyobcowania. Najpierw nadużywała dużych liter w listach. Z czasem „odzywała się coraz mniej, aż wreszcie ograniczyła się do mechanicznego powtarzania pozdrowień i ostatnich słów, jakimi się do niej zwracano". Jasność umysłu powracała jej tylko, gdy pytano o objawienia. Jak zauważa Miesel, w chwili śmierci w 1961 r. Valtorta „osiągnęła stan, który o. Benedict Groeschel CFR opisał jako »podobny do schizofrenii katatonicznej«".

Reakcje Kościoła

Miesel nurtuje pytanie, jak to się stało, że nie zwraca się uwagi na antysemityzm Valtorty i przedstawianie seksualności w krzywym zwierciadle. To pytanie stawiać należy jej wielkim poplecznikom.

Matka Teresa z Kalkuty zawsze podróżowała z trzema książkami: Biblią, brewiarzem i poematem Valtorty. Kard. Augustyn Bea – jeden z redaktorów m.in. przełomowej deklaracji Soboru Watykańskiego II „Nostra aetate", która odeszła od obarczania Żydów winą za śmierć Jezusa, wystawił „Poematowi" taką opinię: „Tu i ówdzie pewne sceny wydawały mi się opisane w sposób zbyt rozproszony, nawet w bardzo jaskrawych barwach. Ale ogólnie rzecz biorąc, lektura dzieła jest nie tylko interesująca i przyjemna, ale prawdziwie budująca. A dla ludzi mniej zorientowanych w tajemnicach życia Jezusa, pouczająca". Podobnie wypowiadał się wybitny mariolog i badacz objawień prywatnych ks. René Laurentin. Z kolei wydawcy pism Valtorty powołują się na ustny imprimatur wydany przez Piusa XII. Papież pytany o „Poemat" miał powiedzieć: „Opublikuj dzieło takie, jakie jest. Nie ma powodu, aby wyrażać opinię co do jego pochodzenia, czy to niezwykłego, czy nie. Kto czyta, zrozumie". ↦

Na początku 1960 r. Święte Oficjum (poprzednik Dykasterii Nauki Wiary) ogłosiło w dzienniku „L'Osservatore Romano" umieszczenie „Poematu Boga-Człowieka" na Indeksie Ksiąg Zakazanych. Obok opublikowano anonimowy artykuł pt. „Źle zbeletryzowana wersja życia Jezusa", który wiele mówi o mentalności ówczesnego watykańskiego recenzenta. „Cztery Ewangelie przedstawiają nam skromnego, powściągliwego Jezusa; jego przemówienia są zwięzłe i przenikliwe, ale mają maksymalną skuteczność. Zamiast tego, w tym typie romantyzowanej historii, Jezus jest gadatliwy, niemal ostentacyjny, zawsze gotowy ogłosić się Mesjaszem i Synem Bożym i udzielać lekcji, używając terminologii, której mógłby użyć dzisiejszy teolog".

O antysemityzmie czy wypaczonym spojrzeniu na ludzką płciowość nie ma mowy. Jest natomiast pretensja o zgorszenie, jakiego mogliby doznać odbiorcy, czytając opisy kuszenia przez lubieżne kobiety: „Ta praca, ze względu na swoją naturę i zgodnie z intencjami autora i wydawcy, mogłaby łatwo wpaść w ręce zakonnic i studentek na ich uniwersytetach".

Werdykt

Obecny werdykt watykańskiej Dykasterii ds. Nauki Wiary jest jednoznaczny: „Rzekome »wizje«, »objawienia« i »wiadomości« zawarte w pismach Marii Valtorty (...) nie mogą być uważane za mające nadprzyrodzone pochodzenie. Raczej powinny być uważane po prostu za formy literackie, których autorka użyła, aby opowiedzieć o życiu Jezusa Chrystusa na swój własny sposób".

Uzasadnienie nie jest zbyt wyrafinowane: dykasteria stwierdza, że zbiór ksiąg natchnionych jest zamknięty i zatwierdzony przez Kościół, co znaczy, że żadne apokryfy nie będą do niego dodawane. To zbyt łatwe zamknięcie sprawy. Zagadka Valtorty pozostaje nierozwiązana i będzie nadal intrygować i niepokoić wiernych. I jeszcze drugi wniosek: szczera pobożność ma tendencję do wyłączania rozumu, a wtedy staje się ślepa. Widać to na przykładzie i teologów, i kardynałów, i papieży. A nawet świętych.

©℗ ARTUR SPORNIAK

MICHAŁ MEISSNER / PAP

Abp Wojciech Polak podczas zebrania Konferencji Episkopatu Polski. Katowice, 11 czerwca 2025 r.

Wydmuszka, nie komisja

ANNA GOC

KOŚCIÓŁ Prymas Wojciech Polak nie będzie już odpowiedzialny za tworzenie komisji, która miała zbadać przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele.

Nastroje są ponure – mówi Robert Fidura, gdy zdzwaniamy się w czwartkowe popołudnie, tuż po zakończeniu zjazdu plenarnego Konferencji Episkopatu Polski w Katowicach.

Jesienią ubiegłego roku Fidura, Jakub Pankowiak i Tośka Szewczyk, troje skrzywdzonych wykorzystaniem seksualnym w Kościele, spotkali się z biskupami na Jasnej Górze i przedstawili siedem postulatów, pod którymi podpisało się ponad 40 skrzywdzonych osób. Apelowali m.in. o odsunięcie abp. Tadeusza Wojdy z funkcji przewodniczącego KEP, zmiany w prawie kanonicznym, dzięki którym skrzywdzeni uzyskaliby status strony we własnych sprawach, i powołanie komisji niezależnych ekspertów, która zbada przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele.

– Analizowaliśmy postulaty po kolei. Gdy doszliśmy do kwestii powołania komisji, trzech biskupów głośno nas wsparło. Usłyszeliśmy, że komisja powinna zostać powołana jak najszybciej, bo im dłużej czekamy, tym gorzej dla wszystkich – mówi Fidura.

– Co na to pozostali biskupi? – pytam.

– Milczeli.

Niebezpieczna niezależność

12 czerwca pozostali biskupi zabrali głos.

Sprawa powołania „komisji niezależnych ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego osób małoletnich" była jednym z tematów dyskutowanych na zjeździe plenarnym KEP w dniach 10-12 czerwca w Katowicach.

Dotąd przygotowaniem komisji zajmował się zespół abp. Wojciecha Polaka, prymasa Polski i delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.

– Przedstawiliśmy dwa kluczowe dokumenty. Pierwszy określa m.in. główne cele komisji, zakres jej działania i badań oraz to, na jakich zasadach członkowie komisji będą współpracowali z poszczególnymi podmiotami kościelnymi – wyjaśnia ks. Wojciech Rzeszowski, kierownik biura delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.

Podkreśla, że zgodnie z założeniami zespołu komisja miała być niezależna, co oznacza, że niezależny i cieszący się autorytetem przewodniczący miał samodzielnie dobierać pozostałych członków komisji w kluczu interdyscyplinarnych specjalności.

Zespół brał pod uwagę doświadczenia komisji powołanych przez episkopaty z innych krajów, m.in. Francji, Niemiec czy Portugalii. Weszli do nich niezależni eksperci: prawnicy, historycy, socjologowie, psychiatrzy. A raporty, które były publikowane w ostatnich latach, pozwoliły przybliżyć skalę wykorzystania

seksualnego dzieci i nieletnich w Kościele oraz wskazywać prewencyjne rekomendacje na przyszłość.

Ani obiektywizmu, ani kompetencji

Drugim dokumentem przygotowanym przez zespół prymasa Wojciecha Polaka był statut komisji. – Czyli zarys tego, jak komisja miałaby działać – mówi ks. Rzeszowski. – Oba dokumenty przedstawiliśmy biskupom w lutym tego roku. Zebraliśmy uwagi od biskupów, przeanalizowaliśmy je, część z nich uwzględniliśmy. W Katowicach zaprezentowaliśmy nową edycję dokumentów.

– Dlaczego zespół, który jest zaawansowany w pracach nad powołaniem komisji, został nagle odsunięty od dalszych prac? – pytam.

– Nasz zespół nie zrezygnował. To biskupi zdecydowali o zmianie, uznając, że zakończył się pewien etap prac, a kolejnym etapem ma się zająć nowy zespół – mówi ks. Rzeszowski.

Publicysta Tomasz Terlikowski ustalił, że „to, co się wydarzyło na posiedzeniu KEP, oznacza w istocie zwycięstwo Rady Prawnej KEP, która sprzeciwia się powołaniu komisji, mnoży wątpliwości i przekonuje, że nie ma to sensu".

Nowym zespołem ma kierować bp Sławomir Oder.

„Biskup Oder, który, gdy prowadził proces beatyfikacyjny Jana Pawła II, nie zbadał – co sam przyznał – szczegółowo wątpliwości dotyczących postawy papieża z Polski wobec przestępstw seksualnych w Kościele, nie gwarantuje ani obiektywizmu, ani odpowiednich kompetencji do prowadzenia prac nad powołaniem komisji. I wszystko wskazuje na to, że o powołanie takiej właśnie osoby, która nie gwarantuje wytrwałości i zaangażowania w tej sprawie, chodziło biskupom" – skomentował Terlikowski na portalu RMF24.

Byliśmy naiwni

– Przed marcowym zebraniem plenarnym wysłaliśmy do sekretariatu KEP list z pytaniami, co dzieje się z naszymi postulatami. Chcieliśmy się zorientować m.in., na jakim etapie są prace związane z komisją – mówi Robert Fidura. – Od marca nie uzyskaliśmy żadnej odpowiedzi. Nawet potwierdzenia z sekretariatu KEP, że otrzymali naszą korespondencję. Tylko milczenie.

– Powołanie niezależnej komisji było znakiem uznania naszych krzywd. Teraz poczuliśmy, że nie powstaje komisja, tylko jej wydmuszka, której nie będę już potrafił zaufać – mówi Jakub Pankowiak. – Przed spotkaniem z biskupami w Częstochowie sporo osób nas ostrzegało, że na końcu możemy zostać oszukani. Dzisiaj muszę przyznać im rację – byliśmy naiwni. ©℗

Warsztaty dziennikarskie w redakcji „Tygodnika"

OD PONAD MIESIĄCA razem z młodzieżą z dwóch krakowskich liceów pracujemy nad specjalnym numerem „Tygodnika", który ukaże się pod koniec czerwca. Oddajemy łamy młodym ludziom, którzy zgodzili się opowiedzieć o tym, co jest dla nich ważne. Wbrew pozorom, ich zainteresowania nie odbiegają tak bardzo od tego, czym na co dzień zajmuje się starsze kolegium redakcyjne. Czy sztuka współczesna ma wciąż siłę oddziaływania? Co jeszcze może nam powiedzieć fotografia? Skąd się biorą mikrotrendy? Jak nauczycielom udaje się wciąż łączyć pasję z koniecznością realizacji podstawy programowej? W jaki sposób znajomość historii wpływa na nasze życie? Po co uczyć się genetyki? Czy media społecznościowe mogą realnie wpływać na czytelnictwo?

OLIWIA ŚWIĄTEK I MAREK BEDNARZ

Podczas spotkań i dyskusji, prowadzonych przez Annę Goc i Monikę Ochędowską, wybraliśmy najciekawsze tematy, kończymy właśnie pracę nad tekstami, a za moment będziemy zastanawiać się nad ostatecznym kształtem numeru. Mieliśmy okazję zrobić wspólnie wywiad, posłuchać o pracy korespondenta zagranicznego, reporterki oraz fotoedytorki. Wiemy, jak wygląda cykl pracy redakcji, na czym polega narracja pisma, czym różni się news od reportażu i gdzie szukać ciekawych tematów. Mamy nadzieję, że to nie koniec naszej redakcyjnej przygody i że uczniowie kolejnych szkół, nie tylko krakowskich, będą mogli razem z nami pracować nad kolejnymi numerami.

A już w następnym numerze poznamy efekty tej wyjątkowej współpracy! „Tygodnik Powszechny" wraz z magazynem „Tygodnik Młodych" będzie w sprzedaży od 25.06. ©℗

OSHEE SPEAK UP

Projekt „Tygodnika Młodych" wspiera Oshee Speak UP

O. WACŁAW

Oszajca: *Miłość krzyżem*

Jezus zapytał uczniów, za kogo ludzie Go uważają. Odpowiedzieli, że jedni za Jana Chrzciciela, drudzy za Eliasza czy też za jakiegoś innego proroka. Natomiast Piotr oświadczył, że Jezus jest kimś więcej niż prorokiem – Mesjaszem, który doprowadzi do szczęśliwego końca dzieje świata. Jest człowiekiem związanym z Bogiem Izraela w sposób szczególny i jedyny. Jakie ma to znaczenie dla niego samego i dla ludzi?

Paweł Apostoł tak to ujął: „Wszyscy dzięki wierze w Jezusa Chrystusa jesteście synami Bożymi", a ponieważ miłość Boga jest niestopniowalna, znaczy to, że Bóg kocha ludzi w tym samym Duchu, w jakim kocha Syna. Dalej Paweł mówi: „Wy zatem, którzy w Chrystusie zostaliście ochrzczeni, przyodzialiście się w Chrystusa", dlatego: „Nie ma już Żyda ani Greka, nie ma niewolnika ani wolnego, nie ma mężczyzny ani kobiety, ponieważ wszyscy jesteście jedno w Chrystusie Jezusie". Po wiekach Anioł Ślązak tak to ujmie: „Jak Bóg ja jestem wielki, On mały jest jak ja: / Nie może On nade mną, ja być pod Nim wszak". „A jeśli należycie do Chrystusa – mówi Paweł – to jesteście potomstwem Abrahama oraz, zgodnie z obietnicą, dziedzicami". Tak spełniają się słowa Jezusa: „Nie sądźcie, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Przyszedłem nie po to, aby je znieść, ale wypełnić".

Paweł powyższe słowa pisał w połowie pierwszego wieku, kiedy ci, którzy uwierzyli uczniom Jezusa i oczekiwali Jego rychłego powrotu z nieba na ziemię, coraz mocniej się niecierpliwili. Jezus nie wracał, świat się nie kończył i wyglądało na to, że trzeba będzie się z tym starym światem przeprosić, czyli na nowo uwierzyć, że również „teraz trwają wiara, nadzieja i miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość". Jezus mówi: „Jeśli ktoś chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech każdego dnia bierze swój krzyż i niech Mnie naśladuje. Kto bowiem chce swoje życie zachować, utraci je, a kto utraci swoje życie z Mojego powodu, ten je ocali". Co jest tym krzyżem? Mówi się, że cierpienie. Niekoniecznie. Jezus cierpiał nie po to, żeby „Ojcu uczynić zadość", ale dlatego, że jak Bóg bezwarunkowo kochał. Choć przyszedł „do swojej własności, swoi Go nie przyjęli", to jednak niczego w Jego nastawieniu do ludzi nie zmienia. Tak więc krzyżem Jezusa i naszym jest miłość. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Wyposażeni do misji*

W Święto Jezusa Chrystusa, Najwyższego i Wiecznego Kapłana, Liturgia czyni nas świadkami arcykapłańskiej modlitwy naszego Pana, wypowiedzianej na zakończenie Ostatniej Wieczerzy (zob. J 17).

Jezus modli się, więcej: składa siebie samego w ofierze za tych, którym przekazuje swoją misję. Na czym ona polega? Pierwszym celem jest „otoczenie chwałą Ojca" (J 17, 1). Chodzi o to, by w życiu tak apostołów, jak i tych, do których oni dotrą, Bóg zajął należne sobie miejsce: Tego, który najwięcej „waży" (w języku Biblii słowo „chwała" wywodzi się od słowa „ciężar"). Ten jest chwalebny, kto ma w naszym życiu odpowiednią „wagę" – jest Bogiem, jeśli potrafi wszystko „przeważyć". Drugim celem misji Jezusa jest, „aby dał życie wieczne tym, których dał Mu Ojciec" (J 17, 2). „Życie wieczne" nie oznacza jedynie życia, „które się nie kończy". Przedłużaniem życia w nieskończoność nie zajmuje się Jezus, lecz medycyna. W życiu wiecznym nie chodzi o długość, lecz o jakość życia: „to jest życie wieczne, aby znali Ciebie, jedynego prawdziwego Boga" (J 17, 3). „Znać" w kategoriach biblijnych oznacza tyle samo, co wejść w głęboką relację, żyć razem, współżyć, być blisko.

Jest jeszcze trzeci cel misji Jezusa: „aby byli jedno!" (J 17, 21. 22. 23). Misję Jezusa wypełnia ten, kto prowadzi ludzi do doświadczenia konkretnej wspólnoty. Budowanie chrześcijańskich wspólnot nie jest zajęciem fakultatywnym. Tam, gdzie ich nie budujemy, Kościół nie staje się obecny. Owszem, jest wszystko, co konieczne dla jego zaistnienia: Słowo, ołtarz, chleb i wino, kapłan. Jeśli jednak nie ma wspólnoty – Kościół ciągle jest tylko potencjalnością, abstrakcją, niewcielonym marzeniem... Boga.

Dla osiągnięcia tych trzech celów (chwała Boga, życie wieczne uczniów, ich jedność) Jezus wyposaża apostołów w dwa wielkie dary: po pierwsze, swoją (i Ojca) Prawdę: „Ja im przekazałem Twoje Słowo (...), Słowo Twoje jest Prawdą" (J 17, 14. 17). Po drugie, swoją (i Ojca) Miłość – „Objawiłem im Twoje imię (...), aby Miłość, którą Ty Mnie umiłowałeś, w nich była" (J 17, 26). Ktoś, kto chce wobec ludzi podjąć misję Jezusa, musi wziąć obydwa te dary. Nie wystarczy jedno w oderwaniu od drugiego. Nie głoś Jezusowej Prawdy tym, których nie kochasz na Jezusowy sposób. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

REKLAMA

MELISANA
Klosterfrau
Original

Dostępna bez recepty.

200 *lat tradycji* w leczeniu:*

- BÓLU BRZUCHA I WZDĘĆ NA TLE NERWOWYM
- OBJAWÓW PRZEZIĘBIENIA I GRYPY
- POWYSIŁKOWEGO BÓLU MIĘŚNI
- TRUDNOŚCI Z ZASYPIANIEM

HISTORIA MELISANY

* Historia Melisany sięga 1815 roku i legendarnej bitwy pod Waterloo. To wtedy zakonnica Maria Clementine Martin opracowała recepturę na bazie leczniczych ziół, pomagającą żołnierzom w stanach napięcia i bólu. Jej preparat zyskał uznanie króla Prus i stał się podstawą kultowej formuły produkowanej nieprzerwanie do dziś.

MEL.2025.06.02.2

Melisana Klosterfrau Original, płyn doustny, płyn na skórę. Produkt złożony. Wskazania do stosowania: Stosowanie doustne: w stanach złego samopoczucia o podłożu psychosomatycznym z objawami nadmiernej wrażliwości na zmiany pogody, w celu ułatwiania zasypiania, w zaburzeniach czynności żołądka i jelit na tle nerwowym (wzdęcia, bóle brzucha), wspomagająco jako produkt leczniczy zmniejszający odczuwanie objawów towarzyszących przeziębieniu i grypie. Stosowanie miejscowo, na skórę: do wcierania w skórę w mniej nasilonych nerwobólach i powysiłkowych bólach mięśni. Podmiot odpowiedzialny MCM Klosterfrau Healthcare Sp. z o.o.

Tradycyjny produkt leczniczy roślinny z określonymi wskazaniami wynikającymi wyłącznie z długotrwałego stosowania.

To jest lek. Dla bezpieczeństwa stosuj go zgodnie z ulotką dołączoną do opakowania. Nie przekraczaj maksymalnej dawki leku. W przypadku wątpliwości skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą.

HISTORIA

RENESANS STAROCI

Zniechęceni do współczesnych gier komputerowych, drogich i powtarzalnych, gracze sięgają po te sprzed lat. Retrogaming to także wyraz nostalgii za czasami, które wydają się prostsze.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Na pierwszy rzut oka knajpka Roxy's, położona kilka minut spacerem od kampusu Massachusetts Institute of Technology w amerykańskim Cambridge, wygląda jak typowy *diner* żywcem wyjęty z hollywoodzkich filmów z lat 60. XX w.: proste stoliki i kuchnia serwująca grillowane kanapki. Jest skromnie i retro.

Jednak wieczorem dzieje się tu coś niezwykłego. Przed metalowymi drzwiami wiodącymi w głąb lokalu staje ochroniarz. Każdemu sprawdza dokumenty. Bo, jak w tajnych barach *speakeasy* z czasów prohibicji, za drzwiami jest coś zdecydowanie nie dla dzieci.

Nie chodzi tylko o alkohol. Chodzi o to, co wypełnia halę. Dziesiątki brzęczących, świecących i połykających żetony automatów do gier. Gier specyficznych: od liczącego 44 lata „Joust" przez o rok młodsze „Super Mario Bros" po 21-letni „Mario Kart". Klasyczne gry, na których kiedyś dorastały nastolatki w USA.

Co wieczór Roxy's wypełniają setki entuzjastów tej klasyki. Studenci Harvarda, wykładowcy MIT, a czasem, jeśli wytężyć wzrok, mieszkający po sąsiedzku nobliści.

Roxy's to przejaw trendu, który narasta od kilkunastu lat. W czasach, gdy zwykła gra komputerowa wymaga wielu gigabajtów na dysku i mocy obliczeniowej, która przyprawiłaby o zawał projektantów superkomputerów z lat 90. XX w., coraz więcej ludzi zwraca się ku starym grom.

HEGEMON POPKULTURY | Skąd to zjawisko? Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się o kilka dekad – i spojrzeć na historię gier. Także od strony finansowej.

Gry retro na targach Gamescom. Kolonia, 23 sierpnia 2023 r.

INA FASSBENDER / AFP / EAST NEWS

Pierwsi miłośnicy gier komputerowych są dziś emerytami. Pierwsza gra, która odniosła komercyjny sukces, „Pong", ma 53 lata. Branża dawno przestała być domeną zapaleńców dłubiących w garażach. Już w 1982 r. gry wideo przyniosły ich wydawcom łączny zysk 11,8 mld dolarów (to odpowiednik 37 mld w 2023 r.). Dla porównania: w tym samym roku filmy z Hollywood zarobiły trzy miliardy, a wszystkie wytwórnie produkujące popularną muzykę – cztery miliardy.

Już od dekad gry nie są więc marginesem, tylko fundamentem popkultury. Przynajmniej komercyjnym. Przykład? W 2013 r. firma Rockstar Games opublikowała „Grand Theft Auto V". Najnowszą odsłonę komputerowej zabawy w policjantów i (głównie) złodziei. Gra zarobiła 815 mln dolarów w 24 godziny. Do dziś przyniosła twórcom osiem i pół miliarda.

Znów porównanie: najbardziej kasowy film, „Przeminęło z wiatrem", w przeliczeniu na dzisiejszą wartość dolara skasował przez 86 lat nieco ponad 4 mld – daleko od poziomu „Grand Theft Auto V". Minęła dekada, a ta gra wciąż zarabia pół miliarda dolarów rocznie.

GDY RZĄDZI PIENIĄDZ | Ten komercyjny sukces ma jednak drugą stronę: wypuszczenie na rynek gry jest coraz droższe. O ile produkcja „Grand Theft Auto V" kosztowała „tylko" 265 mln dolarów, to w ostatniej dekadzie budżety gier wystrzeliły w kosmos. „Star Citizen", symulacja galaktyki pełnej piratów i poszukiwaczy przygód, od rozpoczęcia produkcji w 2011 r. pochłonęła już 700 mln dolarów... i ciągle nie jest ukończona.

Skutki tej finansowej galopady są w przypadku gier takie same, jak w przypadku filmów: producenci starają się chronić swoje inwestycje, wypuszczając kalki tego, co sprzedawało się wcześniej. Tak jak kina są pełne lepszych i gorszych klonów filmów Marvela, tak w ofercie producentów gier dominują prymitywne, choć drogie kopie.

ZNIECHĘCENI | Bywa, że prowadzi to do komercyjnych klęsk. W sierpniu 2024 r. Sony wypuściło grę „Concord" – strzelankę nawiązującą do popularnych tytułów. Jej produkcja pochłonęła 400 mln dolarów. Sony widziało w niej szansę na coś w rodzaju nowych „Gwiezdnych wojen" – czyli kurę znoszącą złote jaja.

Tymczasem po dwóch tygodniach grę bezceremonialnie zamknięto. W szczytowym okresie w „Concord" na popularnej platformie Steam grało jednocześnie nie więcej niż 700 graczy. To tak, jakby na „Titanica" poszła do kina jedynie rodzina reżysera. Powód? Większość recenzentów uznała, że gra jest za droga i zbyt „taka sama".

Nuda i powtarzalność to nie koniec problemów, które zniechęcają graczy do współczesnych superprodukcji. Kolejny to bezczelne dojenie klientów. Najbardziej dochodowe gry nie sprzedają się tylko raz, lecz oferują graczom miesięczne abonamenty, pakiety dodatków czy nagrody, które mają latami utrzymywać ich uwagę.

Oczywiście nie za darmo. Tak zwane mikrotransakcje, czyli sprzedaż nowych modeli postaci, pojazdów i innych dodatków, w 2024 r. przyniosły branży 80 mld dolarów.

Gracze płacą i płaczą. Nic nie powoduje takiego gremialnego narzekania jak fakt, iż wielu producentów konstruuje gry tak, że choć niby nie trzeba dopłacać do zabawy, to ci, którzy nie chcą co chwila kupować dodatków, skazują się na długie i monotonne „mielenie" – na grę na niskich poziomach w celu gromadzenia punktów, które są potrzebne, by iść dalej.

MODA NA STAROCIE | Jaka jest odpowiedź graczy? Ucieczka do czasów sprzed nieszczęsnych dodatków i abonamentów. W czasy staroci.

Na TikToku nagrania wideo opatrzone hasztagiem #retrogaming zebrały już ponad sześć miliardów odsłon. Na YouTubie kanały z grami retro mają miliony subskrybentów. Nawet Spotify nie uciekł od tego trendu: serwis muzyczny zauważył, że w 2024 r. użytkownicy tworzyli o 50 proc. więcej playlist z muzyką z gier retro niż rok wcześniej.

Dalej: nośniki z klasycznymi grami biją na aukcjach rekordy. W 2021 r. kopia gry „Legend of Zelda" osiągnęła cenę 870 tys. dolarów. Nieotwarte wcześniej pudełko z oryginalną grą „Super Mario Bros" z 1985 r. zostało sprzedane za dwa miliony. Cztery lata wcześniej ta sama gra kosztowała na aukcji „zaledwie" 30 tys. dolarów.

Ale nie trzeba tyle wydawać. Kluczową rolę w rozwoju retrogamingu odegrały emulatory: programy umożliwiające uruchamianie klasycznych gier z dawnych konsol na współczesnym sprzęcie. Dzięki nim możliwe jest granie w tytuły z Nintendo 64, SNES, Game Boya czy PlayStation bez konieczności posiadania oryginalnych urządzeń.

Serwis Statista podaje, że w 2023 r. ponad jedna trzecia graczy w USA deklarowała, iż korzysta z emulatorów.

RIPOSTA BRANŻY | Jednak producenci konsol z tej popularności wcale się nie cieszą i toczą z emulatorami wojnę prawną. Nintendo od lat pozywa twórców emulatorów i użytkowników publikujących archiwalne gry. Argumentuje, że emulacja narusza prawa autorskie i podważa możliwość czerpania zysków z oficjalnych reedycji.

Ci, którzy krytykują postępowanie Nintendo, mówią, że często po prostu nie ma oficjalnych reedycji. Są co prawda serwisy, które oficjalnie sprzedają klasyczne gry. Ale większość tytułów sprzed dekad istnieje już tylko w formie zakurzonych nośników (kartridży, dyskietek, kaset), które zalegają w szufladach. W tej sytuacji emulatory nie są piractwem – bo nikt na starych grach nie zarabia – lecz sposobem na zachowanie kulturowego dziedzictwa.

Odpowiedzią gigantów są tzw. retro-konsole: repliki klasycznych konsol z lat 80. i 90. XX w. z fabrycznie załadowanymi tytułami z poprzedniej epoki. Mimo ograniczeń (zwykle użytkownik nie może dodać do kolekcji nowych gier bez ingerowania w urządzenie), sprzedają się jak świeże bułeczki. Łączna sprzedaż wypuszczonych niedawno reedycji klasycznych konsol Nintendo NES i SNES przekroczyła 10 mln egzemplarzy.

Nostalgia to potężne marketingowe narzędzie.

RZECZ O TĘSKNOCIE | W końcu czym innym, jak nie potężną nostalgią, można tłumaczyć tłumy idące do kin na nowe części „Gwiezdnych wojen" czy tłumy fanów na koncertach muzycznych dinozaurów, którzy ostatni kawałek nagrali 35 lat temu. W przypadku gier komputerowych nostalgia ta wydaje się jeszcze silniejsza.

Już w 1984 r. amerykańska badaczka kultury Susan Stewart stwierdzała, że tęsknota za przeszłością zawiera pewien ↦

↦ paradoks: obiekt naszych westchnień jest nieosiągalny, ideał dzieciństwa istnieje tylko w wyobraźni. Stewart pisała, że „nostalgik jest przede wszystkim rozkochany w dystansie”.

Innymi słowy: kochamy poczucie oddalenia od minionego świata bardziej niż ten świat takim, jakim naprawdę był. Pomijamy w pamięci to, co było złe. Idealizujemy monofoniczne melodie, bo symbolizują dla nas utracony raj epoki, która wydaje się prostsza niż czasy obecne.

Selektywna pamięć sprawia, że także gry retro wydają się lepsze, niż były w rzeczywistości – ale też właśnie dlatego dają nam ukojenie.

Tu paradoks staje się piętrowy. Bo akurat w przypadku gier – bardziej niż innych wytworów kultury – ten dystans drastycznie się skraca. „W przeciwieństwie do książek, filmów czy muzyki, to gry wideo – dzięki swojej interaktywności – pozwalają nie tylko oglądać przeszłość, ale się w nią zaangażować i ją aktualizować” – pisze Frank G. Bosman, teolog kultury z Uniwersytetu w Tilburgu w Holandii.

POWRÓT DO MŁODOŚCI | Co to oznacza? Że sięgając po starą grę, nie oglądamy pasywnie reliktu własnej młodości, lecz możemy się w nią przenieść. Choćby na chwilę. „Dwóch przyjaciół grających w grę, w którą często wspólnie grywali jako dzieci, może doświadczyć rozrywki, która ma zupełnie inny wymiar znaczeniowy niż gry używane w innych okolicznościach” – zauważa Tim Wulf, psycholog mediów z Uniwersytetu w Kolonii.

Choć czy to rzeczywiście paradoks?

Przyjrzyjmy się bliżej jakiemuś klasykowi, np. strzelance „Doom” czy grze strategicznej, jak pierwsza „Cywilizacja”. Prócz antycznej grafiki i strasznego dźwięku zobaczymy banalne mechanizmy, koszmarne interfejsy użytkownika i ograniczenia wynikające z braków technicznych i małego wtedy doświadczenia ich twórców. Owszem, są w tych grach przebłyski kreatywnego geniuszu. Ale, patrząc trzeźwo, rzadko są to arcydzieła.

Mimo to takimi je widzimy. Nie widzimy niedoróbek, lecz to, czym te gry były dla nas wtedy. Gracze „wracają do dawnych gier, bo kojarzą się im z »prostszymi czasami«, dzieciństwem, rodziną i przyjaciółmi” – pisze Bosman.

Ten sam efekt mamy przy słuchaniu muzyki z dzieciństwa czy oglądaniu starych filmów. Ale gry, z ich interaktywnością, oddziałują silniej. Dla mnie „Cywilizacja”, nad którą spędziłem w liceum ilość czasu, do której pewnie do dziś nie przyznałbym się rodzicom, jest wciąż idealna.

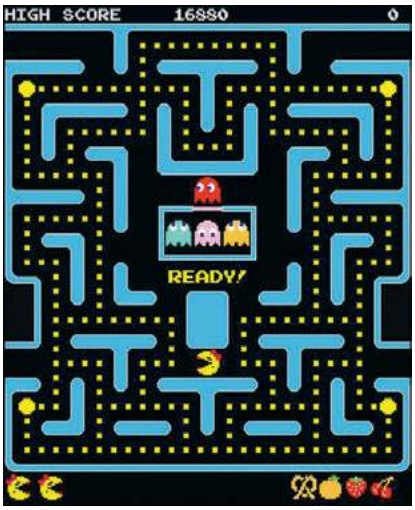

MATERIAŁY PRASOWE x3

Skriny z gier: „Pac-Man”

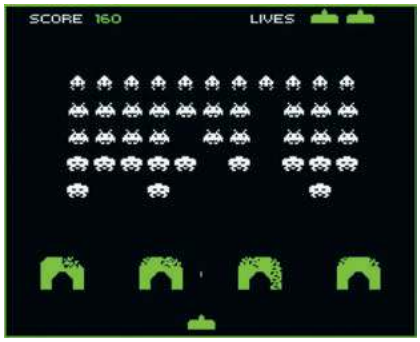

„Space Invaders”

„Grand Theft Auto”

ZJAWISKO KULTUROWE | Ta nostalgia nie jest jednak tylko ucieczką od obecnego świata. Może być też twórcza – jako impuls do dialogu z przeszłością, budowy tożsamości, czegoś nowego.

Bo renesans starych gier to nie tylko rynek, ale też zjawisko kulturowe. Powstają muzea gier wideo – interaktywne skanseny cyfrowej rozrywki (np. w Krakowie i Warszawie). Estetyka retro przenika też do innych dziedzin sztuki i życia codziennego.

I tak, *pixel art* – kiedyś styl wymuszony ograniczeniami, dziś użyty świadomie – pojawia się w galeriach i muralach. Artyści projektują plakaty i grafiki nawiązujące do dawnych gier z „pikselową” ziarnistością – czytelnym symbolem epoki. Styl lat 80. i 90. widać na ulicy: nastolatki noszą koszulki z wizerunkami Mario, Space Invaders czy Pac-Mana (choć czasem na to, by w te gry grać w dzieciństwie, za młodzi są ich rodzice).

Osobny fenomen to muzyka *chiptune:* brzmienia tworzone na bazie dźwięków z retro-konsol i komputerów. Klasyczny commodore 64 mógł jednocześnie wydobywać z siebie zaledwie trzy piskliwe dźwięki. Mimo to muzycy tworzą z jego pomocą wszystko – od prostych melodyjek po złożone kompozycje elektroniczne. Symfonii z tego nie będzie, ale imprezy z ośmiobitową muzyką przyciągają i dawnych graczy, i młodych klubowiczów.

GRANICE NOSTALGII | Można powiedzieć, że wytworzyło się w świecie coś na kształt wspólnego języka, czytelnego kulturowego kodu bazującego na utworach-grach sprzed trzech, czterech czy pięciu dekad.

Dla młodszych graczy estetyka gier z epoki ośmiu bitów jest egzotyczna i fascynująca. Gry stylizowane na tamte czasy stają się dla nich wrotami do innego świata, znanego tylko z opowieści i mitów kultury. Dlatego, jak zauważa Frank G. Bosman, „romantyzacja gier nie dotyczy tylko tych, którzy pamiętają dane czasy”.

Wprawdzie retro nie zatriumfuje nad dzisiejszymi komputerowymi megaprodukcjami – nawet nostalgia ma swoje granice – jest to jednak forma rozmowy z przeszłością, a także azylu.

Tymczasem świat biegnie naprzód. Tak jak nawet najbardziej kreatywny niezależny film nie odbierze widzów następnym „Avengersom”, tak też sentymentalizm gier retro i ich współczesnych naśladowców raczej nie zagrozi inwestycjom koncernów.

Te zaś pompują w swoje produkcje coraz więcej pieniędzy. W maju 2026 r. na rynek trafi szósta część wspomnianego „Grand Theft Auto”. Jej produkcja ma podobno kosztować między jednym a dwoma miliardami dolarów. Raczej nie ma wątpliwości, czy to się zwróci.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

REKLAMA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

SZCZEPAN TWARDOCH
POKÓJ

PREMIERA
18 CZERWCA 2025
SCENA MOS

REŻYSERIA ROBERT TALARCZYK I SZCZEPAN TWARDOCH

SPEKTAKLE: 19, 21, 22 CZERWCA
18, 19, 20 WRZEŚNIA

TEATRWKRAKOWIE.PL

OBSADA:
DOMINIKA BEDNARCZYK,
AGNIESZKA JUDYCKA-CAPPUCCINO,
KAROLINA KAMIŃSKA, MARTA KONARSKA,
MATEUSZ JANICKI, MARCIN KALISZ,
TADEUSZ ZIĘBA

SCENOGRAFIA: MARCEL SŁAWIŃSKI, KATARZYNA SOBAŃSKA | MUZYKA: JERZY MĄCZYŃSKI | KOSTIUMY: DAGMARA WALKOWICZ | REŻYSERIA ŚWIATŁA: MARCEL SŁAWIŃSKI | INSPICJENT: MARCIN STALMACH | PRODUCENTKA: IZABELLA OLEŚ

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie | INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO | MAŁOPOLSKA | Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego | PARTNERZY TEATRU | BMW M-Cars Group | Bielenda | Santander Private Banking | PATRON MEDIALNY TEATRU | TVP3 KRAKÓW

NAUKA

WSZYSCY NA KSIĘŻYC

Przez najbliższe dwa lata na Srebrnym Globie wyląduje więcej łazików niż od początku XXI wieku, a kolejne misje będą startować średnio co miesiąc. O dynamicznie rozwijający się księżycowy rynek powalczą także polskie firmy.

NINA BAŻELA

ESA

Choć w trzeciej dekadzie XXI w. hasło „podbój kosmosu” kojarzy się raczej z odległym Marsem albo pasem asteroid, gdzie czekają na nas wszelkie minerały, coraz trudniej dostępne na Ziemi, to jednak obecnie mali i duzi kosmiczni gracze zachłannie wyciągają ręce przede wszystkim w kierunku Księżyca. Wzmożony ruch na jego powierzchni, po której człowiek po raz ostatni stąpał sześć dekad temu, to nie jest przypadkowa ani chwilowa moda.

Wystarczy spojrzeć w statystyki misji, żeby przekonać się, że eksploracja naszego naturalnego satelity to już nie tylko zabawa dla NASA (Amerykańska Agencja Kosmiczna) – własne łaziki wysyłają instytuty badawcze, prywatne firmy, a rok temu na Księżycu wylądował pierwszy łazik zbudowany przez studentów. Już w 2027 r. ludzie mają powrócić na Księżyc w ramach programu Artemis. Tym razem jednak cel jest znacznie ambitniejszy niż tylko zatknięcie flagi. Plan NASA, realizowany we współpracy międzynarodowej, zakłada budowę bazy na powierzchni Księżyca w perspektywie zaledwie dekady. Człowiek ma zatem nie tylko odwiedzić Księżyc, ale zostać tam na dłużej, wydobywać surowce i użyć satelity jako bazy wypadowej do przyszłych lotów na Marsa. Wtóruje temu Europejska Agencja Kosmiczna (ESA), która również rozwija swój program księżycowy, planując zarówno udział w misjach załogowych Artemis, jak i wysłanie własnych robotycznych eksploratorów.

To, co kiedyś było domeną wyłącznie państwowych agencji kosmicznych, staje się dostępne dla szerszego grona. Kluczową rolę odgrywa tu zapowiadane przez Elona Muska, właściciela kosmicznego giganta SpaceX, obniżenie kosztów transportu ładunku na Księżyc, który ma spaść nawet tysiąckrotnie. Skalę tej zmiany można sobie wyobrazić, patrząc na dynamiczny rozwój rynku satelitów na niskiej orbicie okołoziemskiej. Po wprowadzeniu tańszych startów rakietą Falcon 9, stworzoną przez SpaceX, liczba wystrzeliwanych rocznie satelitów wzrosła przeszło 20-krotnie między 2016 a 2023 r. – ze 126 do ponad 2800. Podobny scenariusz może czekać rynek księżycowy, który już dynamicznie rośnie.

Przykładem zwiększającej się dostępności misji księżycowych jest fakt, że w 2024 r. na pokładzie jednej z misji znalazł się nawet zbudowany przez studentów z Carnegie Mellon University w Pittsburghu łazik IRIS. Księżycowymi przedsięwzięciami coraz częściej interesują się także fundusze inwestycyjne. To wszystko rodzi jednak pytanie: po co nam właściwie ten Księżyc i jakim sposobem można na nim zarobić?

Księżycowe skarby

Zacznijmy od pierwszego pytania: co, oprócz czystej ciekawości naukowej i fascynacji nieznanym, ciągnie nas na Księżyc? Głównym celem wzmożonej eksploracji Księżyca jest obecnie poszukiwanie zasobów, a przede wszystkim wody. Opracowanie metod wydobycia dostępnych złóż lodu wodnego, ukrytego w wiecznie zacienionych kraterach na biegunach, byłoby prawdziwym przełomem. Woda to nie tylko podstawa życia dla przyszłych astronautów, ale po jej chemicznym rozłożeniu źródło tlenu do oddychania oraz wodorowego paliwa rakietowego. Księżycowe „stacje ↦

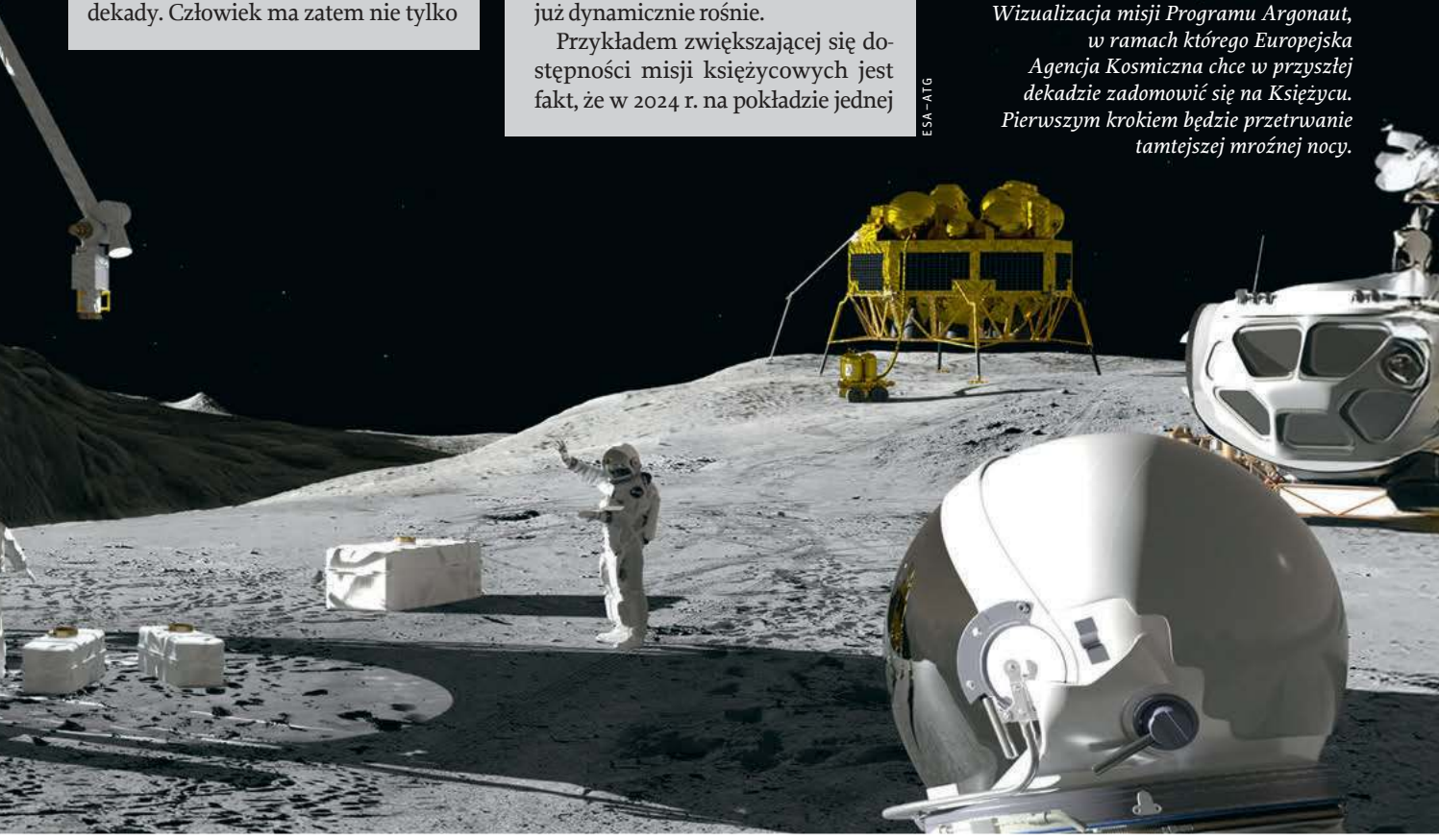

ESA–ATG

Wizualizacja misji Programu Argonaut, w ramach którego Europejska Agencja Kosmiczna chce w przyszłej dekadzie zadomowić się na Księżycu. Pierwszym krokiem będzie przetrwanie tamtejszej mroźnej nocy.

↦ benzynowe", tankujące statki kosmiczne, mogłyby radykalnie obniżyć koszty dalszych podróży – na przykład na Marsa.

Dlatego przewiduje się, że wiele nadchodzących misji robotycznych będzie miało na celu właśnie potwierdzenie dostępności i możliwości wydobycia tego cennego zasobu. Taka była idea planowanej przez NASA na wrzesień tego roku, ale ostatecznie anulowanej, misji łazika VIPER – władze agencji uznały, że ok. dwumetrowego VIPER-a zastąpią inne pojazdy.

Woda to jednak nie wszystko. Na Księżyc wybieramy się też po rozmaite pierwiastki i minerały, m.in. ilmenit, zawierający tytan, czy hel-3, rzadki na Ziemi izotop, który w przyszłości mógłby stać się paliwem dla reaktorów termojądrowych – a więc nowym, wydajnym i wyjątkowo ekologicznym źródłem energii. Mówi się także o ekstrakcji metali czy pierwiastków ziem rzadkich.

Wydrukowana baza

Ten nowy pęd ku Księżycowi różni się od kosmicznego wyścigu z czasów zimnej wojny. Owszem, czynniki geopolityczne wciąż są istotne, co widać choćby na przykładzie konkurujących programów księżycowych USA, którym udało się zrzeszyć już 54 kraje w ramach misji Artemis, oraz Chin, które wspólnie z Rosją planują budowę Międzynarodowej Stacji Badań Księżycowych (ILRS) po niewidocznej z Ziemi stronie Księżyca. Jednak dzisiaj równie głośno mówi się o celach komercyjnych i tworzeniu podstaw „gospodarki księżycowej". Jej celem jest stworzenie na Księżycu podstaw do długotrwałej obecności człowieka, obniżenia kosztów dalszej eksploracji kosmosu i tworzenia rynku komercyjnych usług księżycowych.

Kluczowa w tym kontekście staje się koncepcja ISRU (ang. *In-Situ Resource Utilization*), która opiera się na prostym założeniu: po co płacić za kosztowny transport materiałów i surowców z Ziemi, skoro można wydobywać je na miejscu. Plany obejmują nie tylko wydobywanie wody czy minerałów, ale także użycie wszechobecnego regolitu – księżycowego gruzu – jako materiału budowlanego do tworzenia dróg, lądowisk czy nawet całych baz. I nie jest to wcale wizja w fazie wczesnego planowania. NASA już teraz podpisuje kontrakty z firmami rozwijającymi drukarki 3D, które mają służyć do „drukowania" baz z księżycowego regolitu, a firmy takie jak SpaceFactory pracują nad technologiami szybkiego tworzenia dróg z tego typu materiału.

Ta przyszła gospodarka księżycowa nie ma być tylko domeną państwowych gigantów. Zmienił się model działania – agencje kosmiczne, jak NASA, coraz częściej zlecają zadania firmom prywatnym, kupując konkretne usługi. Prywatni podwykonawcy oznaczają większe ryzyko, ale też znaczne obniżenie kosztów i podniesienie tempa rozwoju technologii. Właśnie takim kontraktom zawdzięczają szybki wzrost giganty takie jak SpaceX, Blue Origin, a w Europie – The Exploration Company czy ispace-EUROPE. Sukcesy tych firm rozbudzają apetyt inwestorów, którzy w sektorze kosmicznym zaczynają dostrzegać szansę zysku – obecnie głównie z kontraktów publicznych, ale w przyszłości z rynku prywatnego, chętnego płacić za księżycowe surowce, środki transportu czy technologie tworzenia na miejscu infrastruktury. Najbardziej dalekowzrocznym inwestorom nie zależy wyłącznie na milionowych zyskach z obecnych inwestycji – chcą być pierwszymi funduszami z renomą i doświadczeniem na rynku księżycowym, tak by za kilka lat łatwo przyciągać kolejne firmy rozwijające przełomowe kosmiczne technologie.

Misja na jeden dzień

Wizje udziału w bilionowym rynku mogą brzmieć bardzo obiecująco, ale nie bez powodu na inwestycje w rynek kosmiczny decydują się obecnie tylko nieliczne fundusze. Warunki na Księżycu stawiają liczne wyzwania i sprawiają, że misja warta kilkadziesiąt, a nawet kilkaset milionów dolarów może łatwo zakończyć się porażką.

Pierwsza spośród tych przeszkód to wspomniany już wszechobecny regolit. Jeśli macie dość tego, że każde wasze beztroskie wakacje na plaży niszczy dostający się wszędzie piasek, to spróbujcie wyobrazić sobie, co przeżyli astronauci misji Apollo, kiedy pierwszy raz zmierzyli się z księżycowym pyłem. Najmniejsze cząstki regolitu mają rozmiary zaledwie mikrometrów i potrafią dostać się niemal wszędzie, a do tego jego krawędzie są ostre i nieregularne, przez co przypomina mikroskopijne drobinki szkła. W niskiej grawitacji łatwo wzbija się nad powierzchnię, a bombardowanie promieniowaniem, które dociera do Księżyca w dużych dawkach (nie posiada on grubej, chroniącej atmosfery), nadaje mu ładunek elektrostatyczny. Naelektryzowany regolit uporczywie przylega do wszystkiego, powodując rysowanie powierzchni skafandrów czy wizjerów, uszkadzając mechanizmy i dostając się z łatwością wraz z astronautami do baz i lądowników, gdzie w wyniku wdychania powoduje „księżycowy katar sienny", objawiający się podobnie do ostrej alergii.

Kolejnym poważnym wyzwaniem są ekstremalne wahania temperatur. W pełnym słońcu powierzchnia Księżyca nagrzewa się do ponad 120 stopni Celsjusza, by podczas trwającej 14 ziemskich dni nocy spaść do minus 170 stopni, a w niektórych zacienionych kraterach polarnych nawet poniżej minus 200 stopni. Takie wahania to ogromne obciążenie dla materiałów i elektroniki. Długa, mroźna noc oznacza też brak możliwości ładowania baterii z paneli słonecznych. Dlatego większość planowanych na najbliższe lata misji robotycznych ma trwać tylko jeden dzień księżycowy – przetrwanie nocy wymaga bowiem zaawansowanych (i ciężkich) systemów ogrzewania lub zasilania jądrowego.

Kosmiczne ryzyko

Nieustanne bombardowanie promieniowaniem kosmicznym, ekstremalne wahania temperatur – jedne z największych w Układzie Słonecznym – czy niska grawitacja utrudniająca poruszanie się to tylko część problemów. Wiele wypraw napotyka trudności już na etapie lotu i lądowania. Wystarczy wspomnieć kilka misji z ostatnich lat, takich jak izraelski Beresheet, japoński Hakuto-R czy amerykański Peregrine firmy Astrobotic, finansowany kontraktem NASA na ponad 100 mln dolarów – wszystkie kończyły się niepowodzeniem, rozbijały o powierzchnię lub ulegały awarii w drodze.

Na koniec pozostaje jeszcze problem każdego przedsięwzięcia – czynnik ludzki. Jeśli próbowaliście kiedyś dojść do głosu

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Projekt dofinansowany ze środków budżetu państwa, przyznanych przez Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach Programu „Społeczna Odpowiedzialność Nauki II".

podczas rodzinnej kłótni w pełnym gronie, to możecie mieć niezłe wyobrażenie, jak wygląda stacja kontroli misji księżycowej. W samym zarządzaniu misją robota mobilnego może brać udział kilkudziesięciu specjalistów – inżynierów, naukowców, operatorów, nawigatorów. Cały ten zespół musi podjąć decyzję, w którą stronę ma ruszyć łazik, aby nie utknąć w żadnym kraterze, które interesujące skały ma zbadać, skąd pobrać próbki i jak daleko może odjechać, żeby wrócić do lądownika przed upływem księżycowego dnia – wszystko to pod ogromną presją czasu i przy ograniczonym dostępie do danych. Nic więc dziwnego, że obecnie roboty na Księżycu czy Marsie dużo czasu spędzają w bezruchu, czekając na kolejne komendy z Ziemi, co znacząco ogranicza efektywność eksploracji.

Krótko mówiąc, droga do zbudowania działającej gospodarki księżycowej jest możliwa, ale wyboista i pełna pułapek. Problemów do rozwiązania jest wiele, ale też nie brakuje podmiotów pracujących nad ich rozwiązaniem. Są wśród nich także polskie przedsiębiorstwa i instytuty badawcze.

Księżyc a sprawa polska

Od 2012 r., kiedy Polska stała się krajem członkowskim Europejskiej Agencji Kosmicznej, polski sektor kosmiczny zyskał możliwości udziału w europejskich i ogólnoświatowych programach kosmicznych oraz poszerzone możliwości rozwoju. Składka Polski do budżetu ESA, systematycznie podnoszona aż do rekordowego jak dotąd wkładu prawie pół miliarda euro na lata 2023-2025, dzięki zasadzie zwrotu geograficznego wraca w dużej mierze do polskich przedsiębiorstw i instytutów. Polacy wykorzystują ten mechanizm bardzo efektywnie – przez ostatnie 10 lat kontrakty z ESA uzyskało ponad 600 polskich podmiotów, a w samym 2022 r. wartość kontraktów wyniosła 69 mln EUR. Co więcej, niektóre polskie technologie kosmiczne na orbicie będzie mógł testować Sławosz Uznański-Wiśniewski w ramach pobytu na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

Członkostwo w ESA pozwala polskim firmom nie tylko na rozwijanie technologii satelitarnych czy związanych z obserwacją Ziemi, ale też na udział w największych programach księżycowych. Polska uczestniczy m.in. w realizacji amerykańskiego programu Artemis, na rzecz którego firma VIGO Photonics i Instytut Fizyki Jądrowej PAN dostarczają odpowiednio detektory podczerwieni i promieniowania jonizującego, kluczowe dla bezpieczeństwa załogi. Z kolei polska firma PIAP Space rozwija ramię robotyczne, które posłuży do wsparcia misji europejskiego lądownika księżycowego Argonaut. Nie brakuje też innych przykładów zaangażowania – firma Scanway pracuje nad systemami obserwacyjnymi Mani (mikrokamerą) i LUMI (mikroobrazującym system księżycowy) dla misji księżycowych, a Creotech Instruments wraz z partnerami – Centrum Badań Kosmicznych PAN i Instytutem Nauk Geologicznych PAN – nad studium wykonalności orbitera księżycowego „Twardowski", którego celem ma być mapowanie zasobów na powierzchni Księżyca pod koniec obecnej dekady.

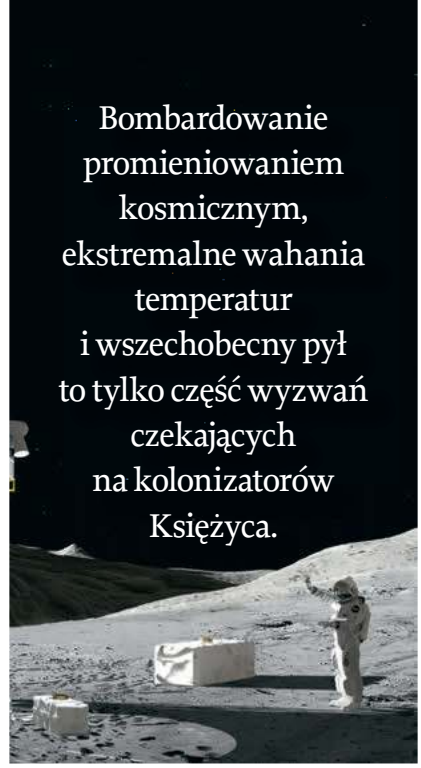
Bombardowanie promieniowaniem kosmicznym, ekstremalne wahania temperatur i wszechobecny pył to tylko część wyzwań czekających na kolonizatorów Księżyca.

ESA–ATG

Poza inicjatywami publicznymi realizowanymi we współpracy z ESA, polskie firmy walczą też o kontrakty na rynku komercyjnym, czego przykładem jest współpraca Scanway z amerykańską firmą Intuitive Machines. W ramach kontraktu polska firma ma dostarczyć instrument optyczny do mapowania powierzchni Księżyca, który znajdzie się na pokładzie księżycowego orbitera w najbliższych latach.

Coraz odważniej w kierunku Księżyca spoglądają też polskie uczelnie – dowodem na to jest chociażby utworzenie Centrum Technologii Kosmicznych na Akademii Górniczo-Hutniczej w 2020 r. czy niedawny sukces konsorcjum złożonego z tej uczelni, dwóch polskich firm oraz Centrum Badań Kosmicznych PAN, które zakwalifikowało się do finału prestiżowego wyzwania ESA „Space Resources Challenge". W ramach finału, który odbędzie się w specjalistycznym ośrodku LUNA w Niemczech, polskie konsorcjum zademonstruje prototyp robota wydobywającego księżycowy regolit oraz przeprowadzi symulację misji.

Potrzebujemy strategii

Jak widać, Polsce nie jest więc tak daleko do Księżyca, a decyzja o sfinansowaniu misji polskiego astronauty i pokaźna składka na lata 2023-2025 – plasująca Polskę na 7. miejscu wśród krajów członkowskich ESA – świadczy o postrzeganiu rozwoju technologii kosmicznych jako strategicznego obszaru na najbliższe lata. W tej całej układance brakuje jednego elementu – Krajowego Programu Kosmicznego.

Mimo prac trwających już od ponad dekady, Polska nadal nie posiada oficjalnego dokumentu wyznaczającego priorytety rozwoju w obszarze kosmicznym, co oczywiście niesie ze sobą istotne konsekwencje. Z jednej strony sprawia to, że decydenci mogą nie dostrzegać znaczenia sektora kosmicznego dla realizacji ogólnych interesów państwa i przywiązywać mniejszą wagę do inwestycji w ten obszar. Z drugiej strony rodzi się ryzyko, że rozwój polskiego sektora kosmicznego będzie w nadmiernym stopniu uzależniony od priorytetów programowych ESA, zamiast podążać przede wszystkim za długoterminową strategią narodową. Kończymy więc z sytuacją typową – zaangażowanie Polski jest duże, polscy przedsiębiorcy zdobywają kontrakty, każdy realizuje swoje interesy, a jaki jest tego nadrzędny cel – nie do końca wiadomo.

Aby w pełni wykorzystać potencjał naszych firm i instytucji, które dowodzą, że potrafią skutecznie rywalizować na kosmicznym rynku, potrzebujemy klarownej strategii, która ukierunkuje ten zapał. Bez niej ryzykujemy, że pozostaniemy jedynie zdolnym podwykonawcą, a nie współtwórcą nowej ery eksploracji.

© NINA BAŻELA

Autorka jest informatyczką i kognitywistką, założycielką start-upu CleverHive Space, rozwijającego oprogramowanie do zarządzania misjami robotów na Księżycu.

WOJCIECH

Bonowicz: *Słuchanie*

Jeżdżę ostatnio po Polsce i słucham. Niby zapraszają mnie, żebym mówił, więc mówię, ale jednak słucham chętniej. W mówieniu nabrałem już jakiej takiej wprawy, słuchania ciągle się uczę. Żałuję, że coraz trudniej mi spamiętać, co kto i jak powiedział. Muszę zapisywać od razu; jak nie zapiszę, za chwilę inne zdanie wypiera to niezapamiętane. A przecież w tym, co ktoś mówi, ważne jest wszystko: i to, że jakieś słowa pojawiają się częściej, a inne wcale, że ktoś mówi pełnym zdaniem albo nigdy nie kończy, że unika mówienia o sobie albo przede wszystkim o sobie mówi itd. Szyk słów w zdaniu więcej nieraz powie o człowieku niż sama treść.

Odnoszę wrażenie, że ludzie często mówią jedno, chociaż tak naprawdę chodzi im o coś innego. Rzecz jednak nie w tym, że nie chcą ujawniać, co rzeczywiście myślą. Chodzi raczej o to, że wybierają jakiś temat, problem, sprawę, ale w istocie ten temat czy ta sprawa nie obchodzą ich tak bardzo. Jest coś innego, ważniejszego, o czym jednak powiedzieć nie potrafią – czy nie chcą. Zakładam, że nie potrafią. Mówią np. o wyborach, ale w gruncie rzeczy nie o wybory chodzi, tylko o coś bardziej osobistego. Chwytają się tematów, powiedzmy, publicznych, ale to, co im doskwiera, jest jak najbardziej prywatne. Cała sztuka w takiej rozmowie polega na tym, żeby – nie naruszając granic, których naruszać nie należy – jakoś przedostać się do tego, co głębiej, u spodu.

Nasze prawdziwe niepokoje, nasze najgłębsze nadzieje przybierają rozmaite postaci. Także politycy bywają ich personifikacjami. W jednym widzimy to, w innym tamto – do pewnego stopnia widzimy samych siebie, swój własny świat, tyle że zniekształcony. Próbujemy jakoś naszą osobistą sprawę „przykleić" do tego czy innego człowieka. Klei się z trudem, odpada, trzeba poprawiać. Czasem odkleja się na dobre. Czasem to, co ów człowiek mówi i co sobą reprezentuje, jest tak bardzo „nie z nas", że o żadnym klejeniu nie ma mowy.

Jednocześnie poddajemy się przypływom i odpływom rozmaitych nastrojów. Kiedy, jeżdżąc w różne miejsca, słucham, co ludzie mówią, widzę, jak bardzo medialny obraz społeczeństwa odbiega od tego, co rzeczywiste. Owszem, są tacy, którzy żyją sprawami i emocjami wykreowanymi przez media – żyją tak bardzo, że można odnieść wrażenie, iż na prywatność nie zostaje im już wiele miejsca. Większość z nas jednak tak nie żyje. Większość z nas potrzebuje do życia nie mocno nasyconych kolorów, ale raczej lekko spłowiałych, delikatniejszych, nieagresywnych. Nie da się pić wrzącej wody. Nie chcemy być nieustannie szarpani, zaczepiani, popychani. Ci, którzy usiłują zarządzać naszymi emocjami, to właśnie robią: popychają, szarpią, nie dają nam spokojnie usiąść i pomyśleć.

Przez to, jak mówimy, możemy wydobywać z ludzi rozmaite rzeczy. Można apelować do tego, co w człowieku najgorsze: zawiści, chęci rewanżu, kompleksów, lęków, uśpionej agresji. Wczoraj jeszcze pomagałem, wspierałem, dziś na tego, któremu pomogłem lub przynajmniej z nim sympatyzowałem, patrzę jak na kogoś, kto mnie wykorzystał. Wystarczyła mała zmiana w opowieści, wycofanie kilku słów, zastąpienie ich kilkoma innymi. Duży udział w zmianie języka mają oczywiście „wielcy dystrybutorzy", tacy jak rosyjskie służby specjalne, prowadzące dyskretną i konsekwentną pracę nad skłóceniem poszczególnych społeczeństw, wbiciem klina między sąsiadujące z sobą narody, rozbiciem europejskiej jedności. Nie należy o tym zapominać – jeśli sięgam po język niechęci, pogardy, odrzucenia, staję się ich sojusznikiem. I na odwrót – wszędzie tam, gdzie pojawia się rozsądny argument, pozytywna emocja, „dobra wiadomość", humor zamiast sarkazmu, ich wpływ słabnie.

W wyznaniach, w które się wsłuchuję, często u spodu słyszę obawę, że w ostatecznym rozrachunku dobro okaże się zbyt słabe, musi ustąpić przed bezczelnością, obsesją na punkcie władzy, siłą itd. Ludzie czekają na „dobrą wiadomość", a jednocześnie nie dowierzają jej, od razu coś wewnątrz nich każe ją zakwestionować. Powodów do pesymizmu nie brakuje; słucham i nie polemizuję z tym. Siewców „złych nowin" i złych emocji jest aż nadto. Żeby wystąpić przeciwko nim, trzeba przedrzeć się w głąb człowieka, tam zapalić najpierw małe światełko, potem liczyć, że rozświetli ono kolejne wnętrze i kolejne... W zasadzie jednak przedrzeć się tam może tylko sam człowiek, inni mogą mu co najwyżej pomóc, zachęcić, coś podpowiedzieć.

Czasem, żeby to światełko zapłonęło, nie trzeba mówić nic. Wystarczy słuchać. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

LITERACKA NAGRODA NOBLA 2024

Nowa powieść Han Kang, uznawanej za najwybitniejszą współczesną koreańską pisarkę.

Czuły list miłosny do ludzkiej intymności i więzi – powieść, która pobudza zmysły i przypomina, dlaczego warto żyć.

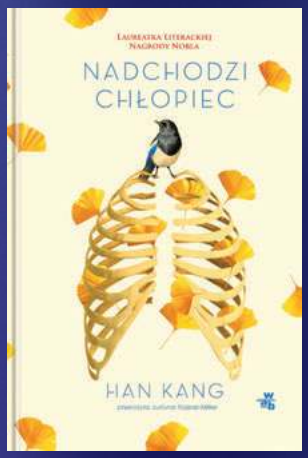

Patronat medialny: KSIĄŻKI · MUZEUM AZJI I PACYFIKU · BOOKLIPS.PL

tytuł dostępny w: empik salony / online / aplikacja empik go e-book / audiobook

GWFOKSAL.PL
oficjalny sklep wydawcy

REKLAMA

CISZA I WRZASK

Należy do nielicznych gwiazd, które w Polsce świeciły dotąd światłem widocznym z oddali – 19 czerwca na Torwarze Alanis Morissette zagra po raz pierwszy w naszym kraju. Choć od czasu jej najjaśniejszej aktywności mija 30 lat.

BARTEK DOBROCH

Była dzieckiem czasów, w których śpiewające kobiety mogły wybrać jedną z dwóch dróg: gwiazdy popu, z karierą formatowaną wedle rynkowej koniunktury, lub diwy, którą określa nie tylko skala wokalna, rodzaj repertuaru, ale też typ kobiecości, zbudowany na bazie kobiecych aspiracji i męskich wyobrażeń.

Alanis Morissette nie wpisała się w żadną z tych ról, chociaż w połowie lat 90., po eksplozji kariery wywołanej albumem „Jagged Little Pill", stała się najbardziej wyrazistą kobiecą gwiazdą na ówczesnym muzycznym firmamencie.

Czego nie wolno w telewizji

Od wczesnego dzieciństwa przyzwyczajała się do debiutowania. Urodziła się 1 czerwca 1974 r. w Ottawie – w Kanadzie to co prawda nie Dzień Dziecka, ale dzieciństwo właśnie miało zdeterminować jej dorosłość. Po pierwszych latach spędzonych w rodzinnym kraju, wraz z rodzicami-nauczycielami i dwójką braci przeprowadziła się do Niemiec. Po powrocie zaczęła jako dziewięciolatka występować w dziecięcych i młodzieżowych programach telewizyjnych.

„You Can't Do That on Television", ze swoją rozrywkową formułą – dzieci odgrywających dorosłych, parodiujących nauczycieli i polityków – nie przypominał naszego poczciwego, zgodnego z misją społeczno-wychowawczą ówczesnej telewizji publicznej formatu „5-10-15". Znakiem rozpoznawczym emitowanych przez amerykańską telewizję Nickelodeon – choć często produkowanych w tańszej Kanadzie – programów oraz ich absurdalnego, skeczowego i złośliwego humoru był lądujący w ramach kary albo psoty na głowach dzieci i goszczonych przez nie celebrytów *slime*. Rodzaj gluta lub kisielu, zazwyczaj fluorescencyjnie zielonego, który kojarzył się z obrzydliwą, kosmiczną mazią, zainspirowaną zapewne ektoplazmą wytwarzaną przez duchy z kinowego hitu tamtych czasów – „Ghostbusters. Pogromcy duchów".

Wychowana w katolickiej rodzinie, lubiąca śpiewać w kościele, pisząca od dziesiątego roku życia piosenki Alanis zaczęła występować w dziecięcych programach muzycznych i młodzieżowych konkursach talentów. Dużo wcześniej niż u nas stały się one trampolinami wczesnych karier. Już wprawdzie dwie dekady wcześniej furorę robił zespół The Jackson 5, który wywindował zwłaszcza dwójkę rodzeństwa: Michaela i Janet. Jednak to lata 80. przyniosły *boom* dziecięcych i młodzieżowych grup. Pod koniec dekady zaczęto ten trend określać terminem *teen pop*, dziś kojarzonym przede wszystkim z wykonawcami kolejnej dekady, takimi jak Britney Spears, Backstreet Boys czy braćmi Hanson.

To właśnie spełniające się amerykańskie sny śpiewających nastolatek, takich jak Tiffany czy Debbie Gibson, która w wieku 17 lat jako najmłodsza wokalistka trafiła na szczyt listy „Billboardu", zainspirowały poszukiwania kanadyjskiej odpowiedniczki. Rzadkie i oryginalne imię Alanis Morissette posłużyło za tytuł wydanej jedynie w Kanadzie w 1991 r. pierwszej płyty (czy, biorąc pod uwagę czasy, raczej kasety), którą wypełnił zupełnie już w tym czasie nieoryginalny dance pop wzorowany na piosenkach Pauli Abdul czy Janet Jackson. Wykonywany przez siedemnastolatkę, która

GILBERT FLORES / GETTY IMAGES

Alanis Morissette podczas koncertu noworocznego. Nowy Jork, 31 grudnia 2024 r.

przypominającą aerobik choreografią, ubiorem i fryzurą – *big hair*, czyli trwałą ondulacją na mocne loki – jedynie kopiowała idolki minionej dekady. Drugi, równie dziś zapomniany album, utrzymany był w podobnej stylistyce.

Mimo małych sukcesów w Kanadzie projekt nie dawał szans na międzynarodowy sukces w latach, w których z zachodniego wybrzeża Ameryki płynęła już fala grunge'u, a po dwóch stronach Atlantyku debiutowały bezkompromisowe artystki-autorki, takie jak PJ Harvey czy Tori Amos. Gdy Morissette spróbowała zmienić stylistykę i wizerunek, pisać własne piosenki, wytwórnia zareagowała zerwaniem kontraktu.

Wszystko, czego naprawdę chcę

Przełom lat 80. i 90. pod cukierkowo-plastikową dekoracją i krzykliwą, choć pozornie niewinną fasadą, skrywał mroczne oblicze eksploatacji dzieci i nastolatków w przemyśle rozrywkowym. Za programami, konkursami, nagraniami i teledyskami stała wielogodzinna praca na planach, uprzedmiotowienie, a niekiedy także przypadki molestowania seksualnego.

Wszystko to dotknęło również młodą Alanis. Uwagi, które wcale nie dotyczyły muzyki, tylko zmieniającego się ciała dojrzewającej dziewczyny, jej wyglądu i wagi, skutkowały kompleksami, depresją i ciągnącymi się przez lata problemami z odżywianiem. Żeby poradzić sobie z tym wszystkim, musiała zbuntować ↦

↦ się przeciw wydawcom i producentom – w tamtym czasie niemal wyłącznie mężczyznom – którzy objaśniali jej świat, dyktowali ścieżkę kariery i kontrolowali wizerunek. By zacząć mówić własnym głosem, musiała wykrzyczeć swój gniew, wyśpiewać emocje, opisać w tekstach krzywdy, które spotykały wiele kobiet poszukujących swojej drogi w show-biznesie. A szerzej: w każdej dziedzinie ówczesnego życia, której show-biznes był jedynie pokolorowanym, natapirowanym odwzorowaniem.

„Na początku mojej kariery mówiono, że nie umiem pisać piosenek. Po wygaśnięciu kontraktu z MCA obiecałam sobie, że nie spocznę, póki nie zgromadzę wokół siebie współpracowników, którzy dostrzegą we mnie autorkę i człowieka, który pragnie wyrazić siebie" – przyznaje w dokumencie „Jagged". Nieautoryzowanym i fragmentarycznym, choć i tak jednym z lepszych muzycznych portretów stworzonych na potrzeby streamingu.

W poszukiwaniach pomógł wyjazd z Ottawy do Los Angeles. Tam (nie licząc Seattle) bił muzyczny puls Ameryki. Tam byli Red Hot Chili Peppers, którego muzycy, Flea i Dave Navarro, nagrali potem partie basu i gitary do „You Oughta Know". Tam znalazła sojusznika do radykalnej muzycznej i treściowej wolty, songwritera i instrumentalistę Glena Ballarda. Dawniej producenta wspomnianych ikon lat 80. – Pauli Abdul i Michaela Jacksona. Czy to nie ironiczne?

W domowym studiu Ballarda w Hollywood we dwoje napisali i nagrali utwory, w których Alanis stworzyła od nowa siebie jako artystkę: bezkompromisową, wolną, szczerą. I rozumiejącą zmianę, którą niosły czasy – po latach kreacji i sztuczności, otwarte na autentyczność i prawdę. Nawet jeśli dla wielu była ona niewygodna. Wymagającą dosadnego przekazu i niewybrednych słów. Jak w „Right Through You", który bez ogródek demaskował hipokryzję, ignorancję i seksizm przemysłu muzycznego – uosobionego przez szowinistycznego bossa: „Wziąłeś mnie za żart / wziąłeś za dziecko / długo gapiłeś się w mój tyłek / a potem grałeś chwilę w golfa". Po latach w tych słowach może nam się nadal równie celnie objawić jakikolwiek mężczyzna z innej branży.

Już otwierający płytę utwór „All I Really Want" można czytać jako feministyczny manifest, próbę odwrócenia ról w relacji władzy, czy – parafrazując klasyka – wywrócenia patriarchalnego stolika. A także głos wyrażającej odzyskaną podmiotowość ofiary („gdybym tylko mogła upolować myśliwego"), która nie szuka zemsty, tylko sprawiedliwości.

Wytwórnie nadal jednak nie dostrzegały potencjału powstającego materiału. Uciekinierce z krainy produkowanego pod publikę popu pomogła jego królowa – a właściwie założona przez Madonnę wytwórnia Maverick Records. Czy to nie ironiczne?

Niedoświadczona, ale mądra

Płyta „Jagged Little Pill" (1995) ukazała się kilka dni po tym, jak Morissette ukończyła 21 lat. Amerykańskie stacje radiowe – wówczas główna platforma promocji muzyki – polubiły charakterystyczny mezzosopran oscylujący między liryczną delikatnością a gniewnym wrzaskiem. Tym drugim przyciągnęła uwagę słuchaczy w singlu „You Oughta Know" – bardzo emocjonalnym, oskarżycielskim w tonie, pozbawionym żalu czy rozpaczy, za to pełnym gniewu i wyrzutów rozliczeniu ze zdradą.

> Uciekinierce z krainy produkowanego z myślą o szerokiej publiczności popu pomogła w karierze jego królowa, Madonna. **Czy to nie ironiczne?**

Piosenka zdobyła dwie nagrody Grammy, a płyta dwie kolejne, w tym za Album Roku. Na 12 utworów, które znalazły się na płycie – arcyrzadki przypadek – nawet 10 miało potencjał, żeby stać się przebojami, a jednocześnie zaspokajać wybredne gusta krytyków.

Europa pokochała ją po premierze „Hand In My Pocket" – piosenki o sprzecznościach tkwiących w człowieku. Sama się z nich składała i z dziecięcą szczerością, ale też dojrzale, przedstawiała się światu: „niedoświadczona, ale mądra / trudna, ale przyjazna / smutna, ale śmiejąca się / odważna, ale trzęsąca się ze strachu". To trafiało do wszystkich, którzy w prostym, ale chwytliwym przekazie odnajdywali własne paradoksy.

Po ową „postrzępioną małą pigułkę", jak tłumaczy się tytuł płyty, sięgnęły na całym świecie ok. 33 mln ludzi. Album był najlepiej sprzedającym się solowym debiutem międzynarodowym w historii. Wśród piosenkarek więcej egzemplarzy jednej płyty sprzedały tylko królowa country popu, też Kanadyjka, Shania Twain oraz Whitney Houston, jeśli zaliczyć na jej poczet album z muzyką filmową do filmu „Bodyguard".

W czterech wersjach

Żeńskich gwiazd, królowych, ba, nawet bogiń w muzyce tamtych czasu było wiele, ale tylko Alanis była Bogiem. W jego niemą rolę wcieliła się w obrazoburczej, komediowej „Dogmie" Kevina Smitha. Choć więcej miejsca na wykazanie się aktorskim talentem miała we własnych teledyskach. Powstawały w szczytowej epoce tej formy audiowizualnej.

W „Ironic" odgrywała cztery alternatywne wersje siebie, śpiewające piosenkę podczas zimowej przejażdżki samochodem: tę prowadzącą, dojrzałą i rozważną, tę młodzieńczą i łobuzerską, tę pewną siebie i zbuntowaną oraz tę romantyczną i marzycielską.

Alanis występująca na scenie i w teledyskach w rozciągniętym swetrze, zwykłym T-shircie, dżinsach, w czapce i szaliku – jak dziewczyna z sąsiedztwa – była wzorcem kobiecości alternatywnym wobec tego, który promowała telewizja: ze „Słonecznym patrolem", wyborami miss i supermodelkami na wybiegach.

Jej rysy, długie włosy splecione czasem w warkocze, lekko hipisowski styl i kanadyjski rodowód budziły skojarzenia z etnicznym, rdzennym pierwiastkiem. Swoje żydowskie korzenie poznała dopiero w dorosłym życiu. Lata milczenia na ten temat tłumaczyła rodzinną, pokoleniową traumą i obawą przed antysemityzmem. Dopiero w ubiegłym roku dowiedziała się, że dwaj węgierscy bracia dziadka ze strony matki – György i Sándor Feuersteinowie – zginęli podczas wojny. Wprawdzie nie z rąk Niemców, lecz w sowieckim łagrze.

Dzięki wam, Indie

Sukces międzynarodowego debiutu był tak wielki, że nie mógł się powtórzyć.

Poprzeczka została postawiona zbyt wysoko. Ale Morissette nie miała ochoty do niej doskakiwać, próbować sprostać presji i oczekiwaniom. Jeśli „Jagged…" był rodzajem muzykoterapii przez gniew i krzyk, to „Supposed Former Infatuation Junkie" (1998) proponował terapię przez piękno, spokój i podróż w głąb siebie. Sam tytuł – jak to u niej: długi, skomplikowany – zapowiadał refleksję nad niedawną emocjonalnością.

Duchowy zwrot w jej twórczości zainspirowała samotna podróż do Indii – próba odzyskania równowagi po fizycznym i emocjonalnym wyczerpaniu, które przyszło wraz z sukcesem. Do tego doświadczenia odnosiła się wprost w „Thank U" – hymnie wdzięczności nie tylko za dobro, ale też za słabość i rozczarowanie.

Towarzyszący temu zwrotowi kierunek muzyczny przyniósł materiał bardziej eksperymentalny, mniej alternatywno-rockowy, raczej ambient-popowy – skupiony, wyciszony. Harmonijkę, na której bluesowo przygrywała na „Jagged…", zastąpiły dźwięki tabli i sitara. Ale muzyczne i wokalne szczyty osiągnęła w „Uninvited", utworze nagranym do filmu „Miasto aniołów". Za tę dramatycznie narastającą, rozbudowaną, potężną – zwłaszcza w koncertowym wykonaniu z orkiestrą – kompozycję odebrała swoje dwie ostatnie statuetki z gramofonem. Jeszcze przed dewaluacją Grammy.

Trudne początki

Osiągnięcia Alanis przetarły ścieżki innym kobietom w muzyce rockowej. Wcześniej artystki były na tej scenie jednostkami. Zdarzało się, że Morissette była jedyną kobietą występującą na rockowym festiwalu pośród ponad setki mężczyzn. Dziś przyznaje, że w latach 90. nie istniało siostrzeństwo, wspólnota między artystkami.

Ale kilka miesięcy po premierze „Jagged Little Pill" debiutował zespół Garbage z ekspresyjną, dominującą i również pobijaną w młodości rudowłosą Shirley Manson. Stacje radiowe i telewizje muzyczne drugiej połowy lat 90. wybrzmiewały już kobiecymi, rockowymi głosami: znanych i docenianych już wcześniej Sheryl Crow i Liz Phair oraz Dolores O'Riordan z The Cranberries, a także debiutujących lub zdobywających popularność

BRIAN RASIC / GETTY IMAGES

Alanis Morissette, 1995 r.

na tej fali Joan Osborne, Meredith Brooks, Fiony Apple i Saffron z grupy Republica. Na szczytach list przebojów królowała wreszcie Gwen Stefani – wystylizowana na postpunkową *pin-up girl* wokalistka No Doubt.

W mainstreamie rozgościła się także Courtney Love, wdowa po Kurcie Cobainie, ze swoim zespołem Hole. Grała w nim z kontynuującą potem solową karierę basistką Melissą Auf Der Maur. A to tylko najgłośniejsze przykłady kobiet z gitarą. Albo z głosem pośród gitar.

Czasy przełomu

Czy jednak da się usprawiedliwić trzy dekady koncertowej nieobecności Alanis Morissette w naszym kraju? Gdy występowała niemal nieprzerwanie w ramach trwającego przez prawie 18 miesięcy światowego tournée w połowie lat 90., podczas którego poprzedzał ją na scenie m.in. zespół Radiohead, Polska była jeszcze koncertową pustynią. Przesada? Jeśli tak, to tylko lekka, bo w pierwszej połowie lat 90. odwiedzili nas co prawda tacy rockowi giganci jak Eric Clapton, Bob Dylan czy AC/DC i Metallica, ale wszyscy oni mieli już status legend i rzeszę fanów, dla których można było przekroczyć jeszcze dość świeże ruiny żelaznej kurtyny. Trudniej byłoby wskazać koncerty tych muzyków i zespołów, którzy podbijali dopiero świat na fali świeżego sukcesu.

Niektórzy artyści, czy raczej ich menedżerowie, wytwórnie i promotorzy, nie byli zainteresowani dość ubogim krajem w dobie transformacji, w którym brakowało doświadczonych i sprawdzonych partnerów w organizacji koncertowych przedsięwzięć, infrastruktury widowiskowej, a także pieniędzy w kieszeniach fanów. I sprzedażowego uzasadnienia popularności artysty.

Połowa lat 90. była bowiem czasem przełomu w użyciu nośników. Polacy sięgali już wprawdzie po oryginalne kasety magnetofonowe, ale płyty kompaktowe, które właśnie się upowszechniały, wciąż były dla wielu zbyt drogie. Zaczynał się rozkwit piractwa. W połowie lat 90. aż 70 proc. muzyki pochodziło z nielegalnych źródeł. Oficjalna sprzedaż – w przypadku bestsellerowego albumu Alanis ok. 50 tys. egzemplarzy – nie oddawała faktycznego zainteresowania.

Burza przed ciszą

W początkach XXI w. Morissette nagrywała płyty poprawne, ale powielające już sprawdzone poprockowe schematy. Nie podbijały one list przebojów i rankingów sprzedaży, a Alanis przestała być artystką pożądaną. Dziś nie odcina jednak kuponów od dawnej popularności, nie nadrabia zaległości w dopieszczaniu fanów. Nie myśli o podsumowaniach, retrospekcjach, pożegnaniach.

Mimo stażu na scenach koncertowych jest dopiero w drugiej połowie swojego muzycznego życia. I nadal otwiera się na przemianę. Wpierw delikatną, jak pięć lat temu, na płycie „Such Pretty Forks in the Road", najlepszej od dwóch dekad. Z fortepianem jako centralnym instrumentem, przy którego akompaniamencie śpiewa dojrzałe utwory o macierzyństwie, depresji poporodowej, siostrzeństwie i uzależnieniach.

A potem dokonuje znów tak wielkiej wolty, że będący jej przedmiotem instrumentalny „The Storm Before the Calm" (2022) łatwiej uznać za poboczny projekt niż dziesiąty album studyjny. Wypełnia go bowiem ambientowo-medytacyjna muzyka pozbawiona słów, z głosem poszerzającym jedynie instrumentalną przestrzeń. Jakby dźwiękowe dopełnienie praktykowanego od lat buddyzmu i echo dawnej podróży do Indii, ale prowadzącej tym razem także przez Północ. Może to zapowiedź tytułowej „burzy przed ciszą". Choć taka burza, jak ta sprzed 30 lat, już się nie powtórzy.

© BARTEK DOBROCH

Duch naszych czasów

JAKUB MAJMUREK

STREAMING | W serialu „Sukcesja" widzieliśmy, jak tradycyjne media, kierując się interesami i uprzedzeniami swoich właścicieli, są w stanie wpływać na świat. Film „Mountainhead" idzie znacznie dalej.

W „Sukcesji" oglądaliśmy dzieci medialnego magnata, Logana Roya, bezskutecznie walczące o przejęcie sterów rodzinnego imperium. Rodzinny interes przejął ostatecznie szef platformy streamingowej, nowego medium zastępującego prasę i telewizję.

„Mountainhead", dostępny na platformie HBO Max pełnometrażowy film twórcy serialu, Jessego Armstronga, pokazuje świat, którego nadejście zapowiadała „Sukcesja". Taki, w którym lęki związane z wpływem wielkiego kapitału na debatę publiczną i demokratyczny proces symbolizuje już nie potentat w typie Ruperta Murdocha, zdolny obalać rządy przy pomocy prasowych nagłówków, ale technooligarcha kontrolujący algorytmy kształtujące obieg (dez)informacji w coraz bardziej zwirtualizowanej sferze publicznej.

Co jest prawdą

Czwórka bohaterów gromadzi się na męski weekend w posiadłości jednego z nich. Położonej w Górach Skalistych, modernistycznej, wypełnionej najnowszą technologią rezydencji, równie dobrze mogącej służyć jako miejsce wypoczynku z dala od wielkomiejskiego zgiełku, jak i bunkier, w którym można schronić się w razie załamania się cywilizacji.

Ten moment w świecie „Mountainhead" jeszcze nie nadszedł, ale chyba zaczyna się zbliżać. Wszystko przez nową aplikację udostępnioną na platformie Traam, pozwalającą każdemu użytkownikowi generować obrazy wideo nieodróżnialne od prawdziwych. Można więc przedstawić znanego polityka, jak kopie na ulicy dziecko, albo atak rosyjskich wojsk na przesmyk suwalski. Nikt nie będzie w stanie poznać, czy ma do czynienia z prawdziwym nagraniem, czy treścią wygenerowaną przez AI.

Fejkowe wideo natychmiast zalewają Traam, prowadząc do aktów przemocy na całym globie. Na świecie jest wiele miejsc, gdzie nie trzeba wiele, by wywołać zamieszki – wystarczy pokazać muzułmanów dokonujących desakralizacji świętych miejsc hinduizmu (albo na odwrót), bądź czarnych rabujących białe amerykańskie przedmieście.

Za zamieszkami idą nerwowe reakcje rynków i rządów, które zastanawiają się, czy problemu mediów społecznościowych zalewających świat fake newsami nie należy rozwiązać w twardy sposób, odcinając obywatelom dostęp do sprawiających największe problemy aplikacji.

Właściciel Traam, Venis, na wszelkie dyskusje o regulacji jego platformy reaguje oburzeniem. Powtarza, że jedyną receptą na problemy ze złym wykorzystaniem AI jest więcej dobrego wykorzystywania AI, a ludzie muszą się po prostu nauczyć żyć z nową technologią. Skonfrontowany z makabrycznymi obrazami napływającymi z całego świata nie potrafi jednak powiedzieć, które z nich są prawdziwe, a które zostały wygenerowane przez jego algorytm.

W „Sukcesji" widzieliśmy, jak tradycyjne media, kierując się interesami i uprzedzeniami właścicieli, są w stanie kreować rzeczywistość – np. zmusić urzędującego prezydenta do dymisji. Technologia z „Mountainhead" idzie znacznie dalej, jest w stanie podważyć poczucie rzeczywistości, a przynajmniej zasiać wątpliwość co do tego, czy jakakolwiek jej medialna reprezentacja jest prawdziwa.

Mroki oświecenia

Jessego Armstronga bardziej niż rewolucyjna technologia interesują stojący za nią ludzie oraz ożywiające ich interesy, idee, kompleksy, przesądy. Dlatego w czterech bohaterach „Mountainhead" bez trudu rozpoznamy ślady prawdziwych postaci, miliarderów i liderów branży technologicznej.

Venis – najbogatszy człowiek świata z obsesją podboju kosmosu, zachowujący się w najlepszym wypadku jak przerośnięty nastolatek – budzi skojarzenia zarówno z Elonem Muskiem, jak i założycielem Facebooka Markiem Zuckerbergiem.

Pełniący funkcję mentora grupy Randall łączy w sobie cechy Petera Thiela, pierwszego inwestora w Facebooka, i Marca Andreessena, współtwórcy przeglądarki Netscape, dziś działającego jako inwestor w branży nowych technologii. Tak jak oni Randall postrzega się tyleż jako lider biznesu, co filozof z ambicjami przewodzenia ludzkości, współczesny Marek Aureliusz, kierujący – gdy nie oddaje się rozmyślaniom – nie Imperium Rzymskim, ale swoją firmą.

Skonfliktowany z Venisem Jeff – najrozsądniejszy z grupy i jako jedyny rozumiejący konieczność regulacji technologii – może kojarzyć się z liderami prac nad sztuczną inteligencją, przestrzegającymi przed niebezpieczeństwami związanymi z jej rozwojem, jak Dario Amodei czy Demis Hassabis. Wokół tej trójki kręci się jeszcze gospodarz spotkania Souper, warty „zaledwie" kilkaset milionów dolarów, wiecznie zdołowany tym, że w przeciwieństwie do mających więcej szczęścia kolegów nigdy nie stworzył „jednorożca", prawdziwie globalnej aplikacji, zdolnej wynieść go do ligi miliarderów.

Armstrong doskonale odtwarza na ekranie specyficzny język tej grupy, łączący banał mów motywacyjnych, naiwny technooptymizm, wrogość wobec jakiejkolwiek rządowej ingerencji w branżę, wizje bliskiej przyszłości rodem z powieści *science fiction*, obiecujące podbój kosmosu, a nawet szczęśliwą przyszłość

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE MAX

Kadr z filmu „Mountainhead", USA 2024 r.

ludzkości funkcjonującej jako czysta świadomość w wirtualnych światach, obsesję na punkcie wysokiego IQ, wreszcie przedziwne eksperymenty myślowe typu „jeśli zabicie tej osoby przyspieszy technologiczną rewolucję, mogącą przynieść szczęście wielkiej ilości ludzi, to czy nieetyczne byłoby jej nie zabić?".

Język ten zakorzeniony jest przy tym w bardzo specyficznym światopoglądzie, tzw. mrocznym oświeceniu. Ten nurt współczesnej filozofii – reprezentowany przez takich myślicieli jak wspierany latami przez Thiela Curtis Yarvin – łączy fascynację radykalną, transformacyjną siłą nowych technologii, z otwartą wrogością wobec demokracji liberalnej, egalitaryzmu, redystrybucji, idei sprawiedliwości społecznej.

Mroczne oświecenie chce zastąpić demokrację współczesną formą monarchii, w której państwa kierowane byłyby podobnie jak firmy przez swoich CEO – a obywatele, jak konsumenci, głosowaliby nogami, wybierając najlepiej zarządzane wspólnoty polityczne. Uwolnione od gorsetu nadmiernych regulacji nauka i biznes dokonałyby technologicznego skoku pozwalającego nie tylko rozwiązać odwieczne problemy ludzkości, ale wręcz zmienić ludzką naturę, np. przekraczając wpisaną w nią śmiertelność. Przynajmniej dla elity posiadającej środki, by za to zapłacić, bo ciemne oświecenie niespecjalnie zainteresowane jest tym, jak postęp przekłada się na poprawę sytuacji mas.

Armstrong w doskonale napisanych, błyskotliwych scenach daje przegląd kluczowych idei ciemnego oświecenia, ukazując głęboko nihilistyczny, mizantropijny rdzeń ideologii przyjmowanej przez ludzi uważających się za współczesnych panów świata. Pokazuje, że ich ideologia to nietzscheanizm wyprany z jakiekolwiek głębi i autentycznie wywrotowej energii, przykrojony na potrzeby prezesa firmy szukającego głęboko brzmiących racjonalizacji swoich własnych klasowych interesów.

Życie jest szybsze

Film pokazuje też, jak bardzo ta filozofia i głoszący ją ludzie potrafią być groteskowi. Za wielkimi słowami i wizjami transformacji natury ludzkiej ostatecznie kryją się małostkowe motywacje: chęć podniesienia wartości własnych aktywów, personalne urazy, kryzys wieku średniego, rozbuchany narcyzm, odmowa zaakceptowania tego, że niezależnie od miliardów na koncie i stratosferycznego IQ podlega się tym samym ograniczeniom co inni ludzie. Arogancja miliarderów często okazuje się w filmie równa ich ignorancji i nieudolności, a fabuła zmienia się w ośmieszający wszystkich uczestników *slapstick*.

Film powstał błyskawicznie. Armstrong wpadł na pomysł w listopadzie, scenariusz pisał dwa albo trzy miesiące, całość sfilmował wiosną. Patrząc choćby na to, co od początku roku zaszło na linii Musk–Trump, trudno oprzeć się wrażeniu, że film ma problem z nadążaniem za rzeczywistością. Jednak choć życie wyprzedza sztukę, nowa produkcja Armstronga potwierdza, że jak mało który twórca telewizyjny potrafi uchwycić on ducha czasów, a zwłaszcza kształtujących go elit. ©

Słodka przekąska

ANITA PIOTROWSKA

„Fenicki układ" to sprawdzona mieszanka staroświeckiego wdzięku, awanturnictwa i absurdu. Doskonale działająca w poszczególnych wątkach i obrazach, choć niekoniecznie jako całość.

Jeśli przejadły się komuś cukiernicze porównania, znowu będzie trudno od nich uciec. Rozbrykane i nostalgiczne filmy Wesa Andersona od dawna upodabniają się do finezyjnych bombonierek albo misternie lukrowanych wypieków, odwołując się w ten sposób do łasego dziecka w nas. Historie opowiadane przez amerykańskiego reżysera coraz bardziej rozpływają się w czczych anegdotach i dygresjach, a postacie przypominają ruchome figurynki na torcie. Dlatego – brzmi jakże częsty zarzut – po intensywnych doznaniach smakowych zostają tylko puste kalorie i co najwyżej chwilowy zachwyt nad światotwórczą brawurą.

Lecz kto powiedział, że kino, również to autorskie, ma dostarczać wyłącznie pożywnej strawy, zwłaszcza w czasach tak zamulających ciężkimi treściami? Twórca „Grand Budapest Hotel", tworząc na ekranie przepyszne makiety wymyślonych światów, buduje nam pastelowe schrony przed atakami rzeczywistości. I nawet kiedy przemyca w nich jakieś odżywcze mikroskładniki, oczyszczający błonnik bądź gorzką pigułkę, dalej jest niczym Pomysłowy Dobromir, niestrudzony łowca przygód i zarazem rozmarzony harcerzyk w krótkich spodenkach, znany z „Moonrise Kingdom". Coraz rzadziej jednak udaje mu się zaprząc ów inscenizacyjny pomyślunek i chłopięcą przekorę w dobrze opowiedzianą historię. Właśnie potoczystego gawędziarstwa brakuje najbardziej w najnowszym filmie Andersona. Dlatego „Fenicki układ" lawiruje między słodką odtrutką a cukrowym usypiaczem.

Weź hojną garść pierwszoligowych nazwisk (Benicio del Toro, Tom Hanks, Scarlett Johansson, Willem Dafoe, F. Murray Abraham). Zagęść europejsko brzmiącymi (Benedict Cumberbatch, Charlotte Gainsbourg, Mathieu Amalric). Zmieszaj w scenariuszu najbardziej nieprawdopodobne rozdziały z nieistniejących kronik postkolonialnej Fenicji i nigdy nienapisane wątki serialowej „Sukcesji" w kostiumowym wydaniu. Zamąć wszystko ekscentrycznymi pomysłami wyskakującymi co i raz z tajemniczych pudełek po butach. Dodaj katastrofy lotnicze, polityczne intrygi, zamachy terrorystyczne, ostrzegawczo-biblijne sny. Wstaw do kolorowych foremek, rozgrzej piec umiarkowanie i wsadź wszystko na sto pięć minut. Na koniec ułóż symetrycznie i pocukruj obficie. Tak z grubsza wygląda receptura, wedle której powstał „Fenicki układ". Sprawdzona od lat, więc nie miała prawa zawieść. Przynajmniej tych, którzy chcieliby jak najwięcej Andersona w Andersonie, czyli mieszanki staroświeckiego wdzięku, awanturnictwa i absurdu, doskonale działającej w poszczególnych wątkach i obrazach, choć niekoniecznie jako całość.

Del Toro gra tutaj komiksowego szuję o mitteleuropejsko-hollywoodzkim nazwisku Zsa-Zsa Korda. A konkretnie potentata zbrojeniowego, który w 1950 r., przeżywszy kolejny zamach na swoje życie i ujrzawszy przed sobą widmo wiecznego potępienia, postanawia wycofać się z nieczystego biznesu. Spośród licznie spłodzonych i latami zaniedbywanych dzieci decyduje się przekazać całą schedę córce o imieniu Liesl, będącej obecnie w nowicjacie. Żeby poznała na własnej skórze, czym jest tytułowy projekt, nazywany roboczo Wyrwą, oparty na grubych przekrętach i wykorzystywaniu niewolniczej pracy na Bliskim Wschodzie, ojciec zabiera dziewczynę oraz swego norweskiego asystenta, z zamiłowania entomologa (Michael Cera), w zwariowaną, typowo andersonowską podróż. Prowadzi nas przez wyimaginowany Orient – hotele w faraońskim stylu, nocne kluby jak z „Casablanki", najeżone niebezpieczeństwami dżungle. Na drodze bohaterów pojawiają się groteskowi gangsterzy, rządowi szpiedzy, nabuzowani watażkowie. Gatunkowo zaś to równie beztroska i bardzo umowna przebieżka przez kino przygodowe, parodię filmu szpiegowskiego, opery mydlanej (kto jest biologicznym ojcem Liesl?) i archetypicznej baśni o nawróconym łotrze.

Oczywiście, ten wielopiętrowy domek dla lalek rozpada się co chwila jak domek z kart i taka już jego ulotna uroda. „Fenicki układ" do końca pozostanie dziełkiem do wybiórczego smakowania. Nie przypadkiem jedynego w karierze Oscara otrzymał Anderson za krótkometrażówkę „Zdumiewająca historia Henry'ego Sugara" (2023) – pojedyncze etiudy zdecydowanie lepiej mu ostatnio wychodzą aniżeli szkatułkowe operetki. W nowym filmie bez wątpienia największym

MATERIAŁY PRASOWE

FENICKI UKŁAD
(The Phoenician Scheme) – reż. Wes Anderson. Prod. Niemcy/USA 2025. Dystryb. UIP. W kinach.

Wes Anderson zadebiutował w 1996 r. komedią „Trzech facetów z Teksasu". Potem był „Rushmore", „Genialny klan" czy „Pociąg do Darjeeling". Jego autorska kreacyjność znalazła wyraz zarówno w animacjach („Fantastyczny Pan Lis", „Wyspa psów"), jak i filmach aktorskich, z czasem coraz bardziej epigońskich („Kurier Francuski z Liberty, Kansas Evening Sun", „Asteroid City").

Powyżej: kadr z filmu „Fenicki układ"

smaczkiem okazuje się Mia Threapleton grająca zadziorną zakonnicę.

Prywatnie jest córką Kate Winslet, co natychmiast wzbudziło podejrzenia o nepotyzm, jednak to ta właśnie rola, trochę z innego aktorskiego porządku, ożywia znane skądinąd „obrazki z wystawy". Sam zaś Modest Musorgski patronuje na różne sposoby filmowi Andersona, który za nic zdaje się mieć bojkoty rosyjskich mistrzów, na ścieżce dźwiękowej wykorzystując także (obok jazzowych standardów i oryginalnej muzyki Alexandre'a Desplata) „Pietruszkę" Igora Strawińskiego.

Scenariusz „Fenickiego układu", napisany wspólnie z Romanem Coppolą, miał ponoć korzenie w opowieściach Fouada Maloufa, nieżyjącego już teścia reżysera. Był on pochodzącym z Libanu inżynierem i to jemu Anderson zadedykował film. Zawierza obrazom (swoim i cudzym) do tego stopnia, że jeszcze przy napisach końcowych wciska nam w kadr klasyków malarstwa. Bo Wes Anderson, podobnie jak Tim Burton, należy do grupy twórców niereformowalnych w swoich estetycznych obsesjach. I tak rozpoznawalnych w swoim wizualnym języku, że tylko patrzeć, aż sztuczna inteligencja zacznie go podrabiać.

Jak na razie Anderson z upodobaniem podrabia sam siebie, penetrując kolejne ekscytujące obszary. Było już o zamorskich eskapadach, życiu podwodnym, ucieczkach w dzieciństwo i z dzieciństwa, było o wyczynowym tenisie, oldskulowym dziennikarstwie czy psychofanach astronomii. Choć przecież zawsze, mniej lub bardziej, o dysfunkcyjnej rodzinie i tęsknocie za bliskością. Łobuzerskość, naiwność i dygresyjność tego kina sprawiają, że gdzieś po drodze ów sens się zatraca, kiedy zaś wreszcie zostaje wyartykułowany, brzmi mało poważnie bądź po prostu sztucznie.

A bajeczny design, stworzony przez Adama Stockhausena i sfilmowany tym razem przez Bruna Delbonnela, operatora braci Coenów czy „Amelii", skutecznie odwraca uwagę. Nic dziwnego zatem, że wychodząc z seansu, w oszołomieniu, zmęczeniu i zarazem w niedosycie, łatwo zapomnieć o istnieniu tych pęknięć, które mogły wpuścić do filmu coś bardziej istotnego. Albo dać przestrzeń mniej wysilonej zabawie. ©

Lektor: *Historia widziana z kina*

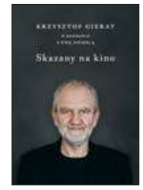

SKAZANY NA KINO. KRZYSZTOF GIERAT W ROZMOWIE Z EWĄ ZIEMBLĄ
Wydawnictwo Austeria, Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2025, ss. 284.

Połowę lat 80. pamiętam jako czas smuty. Solidarnościowe nadzieje wygasły, dominowało poczucie rezygnacji. Nawet sowietolodzy nie przewidzieli Gorbaczowa ani skutków Czarnobyla. Co nas ratowało? Przyjaźnie, lektury, trochę konspirowanie. No i kino. Zaledwie spacer dzielił mnie od krakowskiego kina Mikro przy ulicy Lea (wtedy Dzierżyńskiego), bywałem tam i trzy razy w tygodniu.

Teraz czytam, jak Krzysztof Gierat – skądinąd mój rówieśnik – objął szefostwo tego kina w 1984 r. i jak wymyślił jego profil, dwojąc się i trojąc w zdobywaniu współpracowników, sojuszników i po prostu kopii filmów. Jak powstała jedna z oaz, w których lżej się oddychało i spotykało się ludzi, o których się wiedziało, że są nam bliscy. Miejsce, w którym przesiedziałem setki godzin, w tym czteroczęściowy wstrząsający seans pełnej wersji „Shoah" Lanzmanna.

A przecież Mikro to tylko fragment biografii krakowskiego filmoznawcy urodzonego w Żarach i związanego także z Suchą Beskidzką, a więc poniekąd krajana Billy'ego Wildera... W meandrującej mocno opowieści jest młodzieńczy kontrkulturowy epizod teatralny. Jest oczywiście historia rozkwitu i upadku kina Wanda, dokąd na premiery filmowe przychodzili państwo Turowiczowie, państwo Miłoszowie i Wisława Szymborska. Gdzie bywali wielcy światowego kina i zawsze można się było spodziewać happeningowych niespodzianek. Dziś pozostała tylko secesyjna skorupa kryjąca dosyć podrzędny market...

Kolejny rozdział to burzliwe dzieje Festiwalu Kultury Żydowskiej, którego Gierat był współtwórcą wraz z Januszem Makuchem. Jeszcze wiceprezydentura Krakowa. I szefowanie (przez ćwierć wieku!) Krakowskiemu Festiwalowi Filmowemu. Krzysztof właśnie z tej funkcji ustąpił i z tej okazji wiele o nim pisano, ale pamiętać trzeba, że lista jego zasług jest znacznie dłuższa.

Książka, pełna anegdot i ciepłych słów o ludziach takich jak Krystyna i Andrzej Wajdowie, Agnieszka Holland, Krzysztof Kieślowski czy Roman Polański, jest też doskonałą ilustracją dylematów czasu przełomu. Upadek systemu otwierał nowe możliwości, ale i zastawiał sporo pułapek. Idealizm zderzał się z twardymi regułami dzikiego rynku, no i pojawiły się multipleksy. Kino Wanda już nie istnieje, podobnie jak Apollo, Sztuka, Uciecha, Warszawa i Wolność. Mikro jednak przetrwało. A kinem Pod Baranami, w samym sercu Krakowa, rządzi córka Krzysztofa. Jest więc nadzieja! ©℗

▪ *Maciej Dobosiewicz*
LASZOWANIE
Nisza

Maciej Dobosiewicz jest autorem kryminału, dwóch tekstów dla dzieci oraz pełnej męskich fantazji mikropowieści o meksykańskim wrestlerze. Wbrew pozorom w tym encyklopedycznym wyliczeniu znajdziemy całkiem poręczny klucz do lektury jego najnowszej – i artystycznie najciekawszej – książki. „Laszowanie" to zbiór dwunastu opowiadań o dojrzewaniu, w których dochodzi do nieustannego tarcia między chłopięcą wrażliwością a maczystowskim światem PRL-owskiej prowincji. Zaczyna się od sprawnej inwersji. Po pogrzebie ojca-palacza bohater przypomina sobie, że w chwilach słabości uparty zwykle mężczyzna „dygał jak panienka". Potem wracamy do wczesnego dzieciństwa, ale ta śmierć i wizja rozedrganego twardziela nie przestają rzucać światła na kolejne sceny – są z nami na rybach, podczas zabawy w Indian i wtedy, gdy ojciec uczy syna, by zawsze bił pierwszy. Biorąc na warsztat te, z pozoru sztampowe historie, Dobosiewicz nie tylko dokłada cegiełkę do urealniania opowieści o współczesnych mężczyznach, ale też wypracowuje osobny idiom, którego podstawą jest budowanie narracji wokół stopniowo ujawniającej się wieloznaczności słów. Nieco mniej oryginalne są końcowe utwory, opowiadające w tytułowym „laszowaniu" – pierwszych „lotach", fajkach czy „krokach w chmurach". Autor wyraźnie zmienia tu rejestr, nawiązując do stylu, symboliki i specyficznej szorstkości tekstów Marka Hłaski. Nie wiem, czy obniża to poziom całości – na pewno pozwala zatęsknić za „solowymi" występami Dobosiewicza. Bo w tańcu z „Mareczkiem" trudno prowadzić, a ulegając jego czarowi niełatwo powiedzieć coś nowego.
© ADAM WOŹNIAK

▪ *Marek Górlikowski,*
ILUSTRATOR. PRZYGODY OJCA KOZIOŁKA MATOŁKA. TYLKO DLA DOROSŁYCH, *Znak*

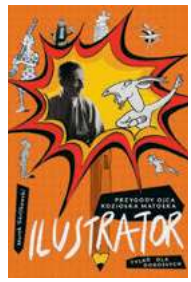

Marek Górlikowski w książce „Ilustrator. Przygody ojca Koziołka Matołka. Tylko dla dorosłych" odkrywa awantury i podróże jednej z najbarwniejszych postaci polskiej kultury XX w. I wprawdzie ktoś skuszony podtytułem „tylko dla dorosłych", spodziewający się pikantnych szczegółów z życia rysownika, może poczuć się srodze zawiedziony, to na pewno barwna historia życia Mariana Walentynowicza wynagrodzi mu ten zawód po stokroć. Postać kojarzona dziś głównie z koziołkiem z Pacanowa niesłusznie pomijana jest w szerszym kontekście kulturowym. Tymczasem Walentynowicz to nie tylko współtwórca jednego z pierwszych polskich komiksów, lecz także architekt, karykaturzysta, podróżnik, żołnierz trzech wojen i fotoreporter wojenny, który brał udział w wielu ofensywach, jak choćby w słynnym lądowaniu aliantów na plaży w Normandii 6 czerwca 1944 r. Choć trudno w czasie lektury pozbyć się wrażenia, że Koziołek, mądra głowa, to alter ego samego autora – zarówno jeśli chodzi o wygląd, jak i bogactwo przygód czy zamiłowanie do podróży – to pamiętać trzeba, że mamy do czynienia z artystą najwyższej klasy, kimś nazywanym „polskim Disneyem", kogo kariera potoczyłaby się zupełnie inaczej, gdyby urodził się po drugiej stronie oceanu. Autor opowiada losy rysownika z reporterskim pazurem, opierając się na niepublikowanych dotąd źródłach. Biografia, której tłem jest historia i polityka, zatacza szerokie kręgi – od międzywojennych kawiarnianych satyr, przez front zachodni II wojny światowej, po kolonialne wyprawy i działania na rzecz cichociemnych. Górlikowski tworzy narrację płynną, anegdotyczną, ale i solidnie udokumentowaną, czerpiąc obficie ze znalezionych na strychu krewnych Walentynowicza kufrów i skrzyń pełnych dokumentów, rysunków i wspomnień. Pomiędzy słowami tej książki kryje się wiele dwuznaczności i niedomówień, które czynią z rysownika postać skomplikowaną, nieoczywistą, oddziałującą na polską sztukę ilustracji i karykatury przez całe stulecie. To żywa opowieść o artyście, który nie tylko ilustrował książki, ale dokumentował najważniejsze wydarzenia pierwszej połowy dwudziestego wieku.
©℗ JACEK TARAN

▪ *Patrick Horvath,*
POD DRZEWAMI, GDZIE NIKT NIE WIDZI,
tłum. Arkadiusz Belczyk,
Shock Comics

Woodbrook jest miejscem urzeczywistnienia amerykańskiego snu. Tamtejszy małomiasteczkowy pejzaż tworzą kolorowe piętrowe chatki, otoczone równo przyciętymi trawniczkami, samochody zaparkowane równolegle do przytulnych ganków oraz małe sklepy z niezbędnymi towarami. Za sztafaż służą życzliwi mieszkańcy, wymieniający się na co dzień uśmiechami, tworzący zżytą i spolegliwą społeczność. Niespodziewanie bukoliczny spokój zakłóca brutalne morderstwo – emerytowany bibliotekarz zostaje ukrzyżowany na maszcie paradnej platformy. To początek serii okrutnych zbrodni w Woodbrook. O ile punkt wyjścia „Pod drzewami, gdzie nikt nie widzi" zakrawa na sztampę, o tyle rozwinięcie historii stanowi nietuzinkowe przetworzenie konwencji gatunkowych kryminału. W końcu główną bohaterką komiksu Patricka Horvatha jest psychopatyczna niedźwiedzica *à la* Ted Bundy, sąsiadująca z sympatycznymi zwierzętami rodem z książeczek o żółwiu Franklinie. Ten groteskowy kontrast – podsycany doborem sugestywnych miękkich barw – jest źródłem nie komizmu, ale grozy. To znaczące o tyle, że obfitujący w graficzną przemoc komiks Horvatha można czytać zarówno jako kryminał, jak i slasher. „Pod drzewami, gdzie nikt nie widzi" jest na wskroś pulpową opowieścią, lecz jej przesłanie obfituje w niuanse, wszak zwierzęce postaci reprezentują naturę, która według autora stanowi przeciwieństwo kultury – jest dzika, okrutna i nieprzystająca do ludzkich norm moralności. © REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Zagwożdżenie*

Zniechęca nas tlący się gdzieś w zaułkach mózgu mus omówienia wyboru p. K. Nawrockiego. Jeszcze bardziej nas wzdryga, gdy sobie wyobrażamy, że oto moglibyśmy snuć teraz jakieś modne rozważania na temat tzw. pogardy elit. W kraju, w którym elita to żałosna, zastrachana i pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia kilkusetosobowa grupa, to temat w naszym mniemaniu raczej tragiczny, a w tym sensie pozbawiony sensu.

Doprawdy w Polsce nie trzeba być członkiem żadnej wyimaginowanej elity, bądź – jak kto woli – pseudoelity, by sobie dowolnie pogardzać kimkolwiek i czymkolwiek. Jest to zjawisko w Polsce zwykłe, stare, powszechnie uprawiane i gruntownie zdemokratyzowane. Gardzi tu sobie każdy każdym, od dołu do góry, o każdej porze dnia i nocy, przy okazji pouczając, że to nieładnie. Jest prawdą starą jak świat, że poczucie niższości przekuwa się tu w poczucie wyższości. Łomot tego kucia niesie się od dekad, od Tatr po Bałtyk i z powrotem.

A więc zarówno wybór K. Nawrockiego, wynikający z lokalnego poczucia estetyki i smaku, jak i wysłuchiwanie pogadanek na temat potworności, których dopuszczają się elity wobec poczciwych przedstawicieli klas niższych, to tematy, które nas jednak nużą.

Nieco tylko ciekawsze są reakcje i komentarze dotyczące afery, która wybuchła z okazji odebrania opaski kapitańskiej piłkarzowi R. Lewandowskiemu. Przez bodaj trzy dni, w tysiącach tekstów, przez setki godzin, na antenach radiowych i telewizyjnych, wałkowano to wydarzenie bez żadnych hamulców. Głos w sprawie opaski zabrali najwyżsi funkcjonariusze państwa polskiego, co już jednak jest mocno osobliwe. Na własny użytek nazywamy tego rodzaju obłęd zagwożdżeniem rzeczywistości.

Zdarza się w Polsce coraz częściej, że zupełnie błaha sprawa paraliżuje społeczeństwo, jego przywódców i media. Łomot bezmyślnych refleksji, najzupełniej zbędnych ocen i opinii, wyrażanych przez ludzi o ograniczonych kompetencjach komunikacyjnych, penetruje dziś całe terytorium RP, dociera pod każdą strzechę i do każdego pałacu. Jest to zjawisko oczywiste wobec pełnej kibolizacji Polski, a więc nie ma się czemu dziwić. A jednak momentami drżymy, że w trakcie zagwożdżenia rozumów jakimś zdarzeniem bez znaczenia obca armia wkroczy na teren RP. Inwazję zauważy tylko przypadkowy grzybiarz. Będzie chciał – w poczuciu obywatelskości – powiadomić policję, wojsko, opinię publiczną, premiera i prezydenta, ale to się nie uda. Po prostu nikt nie usłyszy jego wołań; bowiem wszyscy Polacy będą w stanie kibolskiego zagwożdżenia umysłu. Tak to widzimy.

Inną sprawą, bardzo interesującą, jeśli idzie o zagwożdżenie nieco innego rodzaju, jest planowany dwutygodniowy lot w kosmos wykształconego rodaka o imieniu Sławosz. Jego żona jest posłanką Platformy Obywatelskiej, co jest poniekąd kluczowym faktem w naszym polskim kosmosie i podstawowym problemem drążącym w głowach polityków i komentatorów. Otóż ta afiliacja jest dla 50 procent polskiego społeczeństwa, w tym chyba też dla prezydenta RP i prezydenta elekta, stuprocentowo dyskwalifikująca. A więc mamy zdyskwalifikowanego p. Sławosza i jego wszystkie cechy umysłu i ciała. Instytucje zaangażowane w podróż, zarówno krajowe i zagraniczne, współtowarzysze i współtowarzyszka to resortowe dzieci, rakieta jest złomem, sprzęt jest kradziony, kosmodrom trzeba zamknąć i odkazić. Co jakoś oczywiste, ale jednak poruszające, połowa Polaków nie uznaje kosmosu za kosmos, skoro jeździć ma po nim p. Sławosz. Oczywiście nic z tego, co uczyni na orbicie mąż posłanki PO, nie może zasługiwać na choćby obojętność, bo przecież nie na szacunek. Kto z naszych był ostatnio w kosmosie? Mirosław Hermaszewski. Wnioski? Żeby zostać zdobywcą kosmosu, trzeba być komuchem. Raz sierpem, raz młotem, itd., itp. Kto żyje w Polsce, ten się w cyrku nie śmieje, taka jest prawda. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapisz się na newslettery i czytaj najlepsze teksty Tygodnika, kiedy chcesz!

SPOŁECZEŃSTWO

Życie wokół nas: reportaże, rozmowy i analizy o tym, co porusza, dzieli i łączy ludzi.

Prowadzą PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, ANNA GOC & MAREK RABIJ

dowiedz się więcej!

TygodnikPowszechny.pl/newsletter

PAWEŁ

Bravo:
Polityczny indeks pizzy

A wystarczyło zapytać kuriera na skuterze z logiem sieciowej pizzerii. Jej nazwy tu nie wymienię. Nie, żebym się bał, iż słowa zostawiają w nas niezmywalny brud, czy wierzył w ich światotwórczą moc. To już kiedyś było, wyszło tak, jak wyszło i więcej się ta sztuczka nie powtórzy. Przecież w imię dziennikarskiej dociekliwości nieraz musimy zapaskudzić nasz skromny, ale czysty kącik kuchenny, wywołując z imienia globalne marki. Ale tym razem to niekonieczne, żadna z sieci obecnych nawet w krajach nienależących do ONZ nie różni się szczególnie od innych, każda równie przewidywalna, a więc bezpieczna, co w niektórych miejscach na Ziemi ma swoje zalety. Tu nie będziemy dociekać smaku czy raczej jego wypaczenia. Ważna jest tylko prosta wartość odżywcza mdłego placka z dodatkiem białkowej masy pełniącej obowiązki sera. A także psychiczna stymulacja, jaką zapewniają różne aromaty, przede wszystkim zaś zawarty w sosie likopen.

Chociaż podejrzewam, że typowy sztabowiec Pentagonu, analityk CIA czy urzędnik struktur kryzysowych w Białym Domu to człowiek o receptorach tak bardzo otępionych przez nadmiar cukru, soli, tłuszczów oraz z ośrodkiem nagrody w mózgu zdemolowanym przez wzmacniacze, iż nie ma szans odczuć tej lekkiej rozkoszy, jaką potrafi wzbudzić termicznie obrobiony pomidor.

To właśnie do nich wspomniany na początku kurier pędzi z cieplutkim zamówieniem. Czy raczej liczni kurierzy, bo to nie o jeden lub dwa przypadki chodzi, tylko o nagłe, znacznie większe od przeciętnego zapotrzebowanie na pizzę, odnotowane wieczorem w paru knajpach położonych najbliżej urzędów i instytucji, które zapewniają imperium amerykańskiemu kontrolę nad światem (jak bardzo dziurawa ta kontrola, to może omówimy przy deserze). Jeśli coś się szykuje, w powietrzu wisi wojna, inwazja, zamach w innej strefie czasowej, funkcjonariusze tych struktur muszą zostać po godzinach i czekać na rozwój wydarzeń, bo np. taki Izrael wcale nie zamierza wszczynać uderzenia na Iran w godzinach biurowych czasu Wschodniego Wybrzeża. Muszą więc zapewnić sobie coś na kolację i godziny nocnego czuwania przy monitorach.

GRAŻYNA MAKARA

BAV MEDIA / SPLASHNEWS.COM / EAST NEWS

Powiada się, że tę prawidłowość wychwyciły w czasach zimnej wojny ruskie szpiony, sławni od stuleci specjaliści od zbierania do kupy drobnych ułomków informacji. Uważne monitorowanie ruchu w pizzeriach pozwalało im ustalić moment, kiedy Ameryka szykowała się z inwazją na Grenadę, a potem Panamę. Istnieją rzetelne, dokumentalne ślady, że to zjawisko nie umknęło uwagi dziennikarzy w chwilach poprzedzających operację Pustynna Burza. W końcu ten zabawny, ale potencjalnie groźny wyciek dotarł do świadomości osób na górze i zadbano o całodobowe kafeterie w paru budynkach. Ale bezwład rytuałów robi swoje. Walające się po biurkach przetłuszczone pudełka po pizzy, puste albo ze smętnymi resztkami, to silnie obecny w kulturze masowej wizualny kod oznaczający ciężką noc w pracy. Poza tym to wzmacnia poczucie wyjątkowości chwili i wybicia z urzędniczej rutyny.

Dlatego pizzerie z hrabstwa Arlington wciąż w niektóre dni wieczorem mają ręce jeszcze pełniejsze roboty niż zwykle. To, co się zmieniło w stosunku do czasów, gdy kagiebista zaczajony w budce telefonicznej raportował na Łubiankę *dwienadcat piepperoni, desat' margierity, tri marinara, adin kalcone łiw dable cziize*, to że ruch w każdej knajpie można sprawdzić w dowolnej chwili na żywo w Google – na tej samej zasadzie, co korki uliczne. Nie trzeba do tego żadnych tajnych narzędzi i pegasusów, z danych geolokalizacyjnych telefonów układa się żywy obraz ludzkości przelewającej się naczyniami połączonymi z domu do pracy, z pracy do sklepu, ze sklepu do parku i z parku do klubu. Od dawna zatem działa na pewnej platformie społecznościowej (której nazwy też nie będę wymieniał ze

Wynalazca i youtuber Colin Furze przystosował motocykl tak, aby mógł przewozić piec do pizzy i kucharza, który może przygotować włoski przysmak podczas jego dostawy. Stamford, wrzesień 2023 r.

wstrętu do jej właściciela) kanał Pentagon Pizza Index. Biały wywiad na grubym cieście danych.

Wszystko to tylko zabawa i niech nie przysłoni nam istotnych pożytków poznawczych z innych narzędzi, takich jak przede wszystkim sławny Big Mac Index, który mierzy siłę lub słabość danej waluty i adekwatność jej kursu. Bułka z podwójnym kotletem siekanym, serem i sałatą w polskich placówkach sieci jest tańsza niż w strefie euro czy w Stanach (co by oznaczało: zainwestuj w złotówki!). Ale „The Economist" to poważne źródło i jego redakcja do ważenia indeksu używa innych danych gospodarczych. Po czym się okazuje – cóż za zaskoczenie! – że może i jest tu tanio, ale nadal jesteśmy biedniejsi, przynajmniej jeśli chodzi o to, ile Big Maków możemy kupić za przeciętną pensję. Życzę polskiej gospodarce, a zatem i nam wszystkim, żeby ten brak parytetu się ciągle wyrównywał. Może nie wydamy całej nadwyżki w fast foodzie i coś zostanie np. na truskawki. Niech ludzie zginający plecy przy ich zbiorach dostaną godziwszą stawkę.

Tymczasem pootwierałem sobie zakładki z knajpkami w okolicach siedziby polskiego rządu i MON-u (a przy okazji też ambasady rosyjskiej) o takim profilu, który mógłby pasować do głodnego urzędnika po godzinach. Będę cierpliwie patrzył na słupki, czekał, może dzięki temu wyczuję wcześniej, iż właśnie rusza mityczna rekonstrukcja. Jeden lokalik ma nazwę, która wyjątkowo pasuje mi do sytuacji: Być może.

Zaczął się sezon na różne jadalne kwiaty – ale nie tylko te czysto ozdobne, jak nasturcje, tylko takie, które naprawdę coś są warte jako jedzenie. O kwiatach cukinii – najbardziej efektownych – jeszcze napiszemy, dziś odnotujmy z radością pojawienie się brokuła gałązkowego na wielu polskich straganach. Oby jak najwięcej.

Brokuł gałązkowy zapiekany

SKŁADNIKI: 400 g gałązek brokuła jak najmniejszych
250 g ricotty 5 łyżek parmezanu
▪ sól ▪ pieprz ▪ czosnek ▪ oliwa

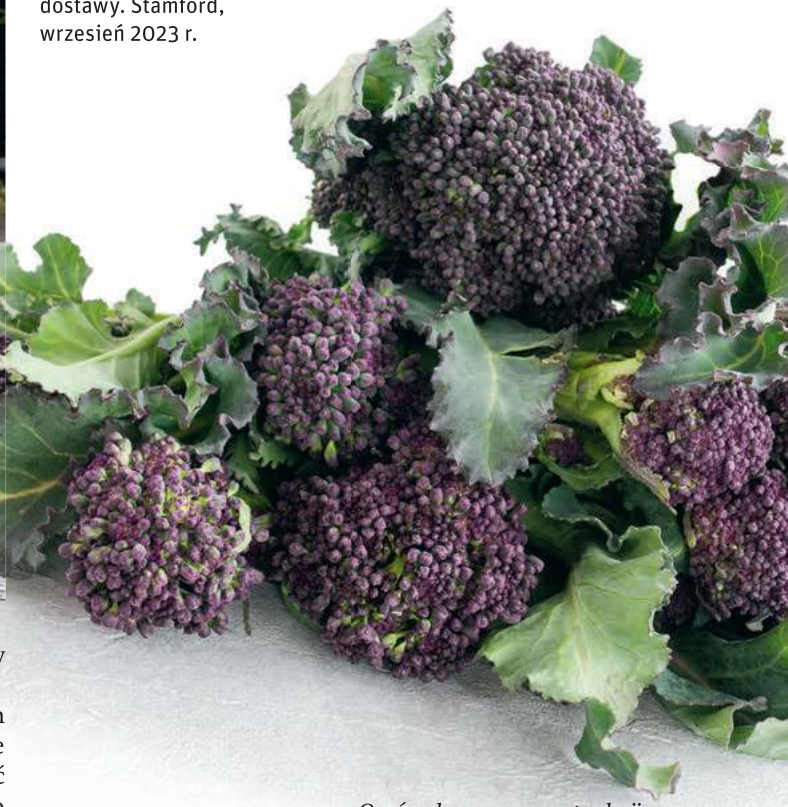

ADOBE STOCK

Oprócz sławnego sosu z tradycji apulijskiej cime di rapa taki brokuł może się przydać do przekąsek warzywnych o wysokim „indeksie malowniczości". Odcinamy suche końcówki łodyżek, wrzucamy brokuła na osolony wrzątek na 2-3 minuty, odcedzamy, przekładamy na patelnię z oliwą i czosnkiem, poddusza my jeszcze kilka minut na średnim ogniu. Gdyby miał się przypalać, dolewamy odrobinę wody z blanszowania. Mieszamy ricottę z parmezanem, solimy, doprawiamy czymś ostrym, możemy też dodać wędzonej papryczki. Smarujemy porządnie oliwą 3 ramekiny o średnicy 10 cm lub nieco większe, wykładamy równą warstwę ricotty, wciskamy w nią po 2-3 gałązki brokuła (musi w trakcie blanszowania zmięknąć na tyle, żeby dać się wygiąć). Skrapiamy oliwą, zapiekamy w 160 stopniach około kwadransa, aż masa się usztywni. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

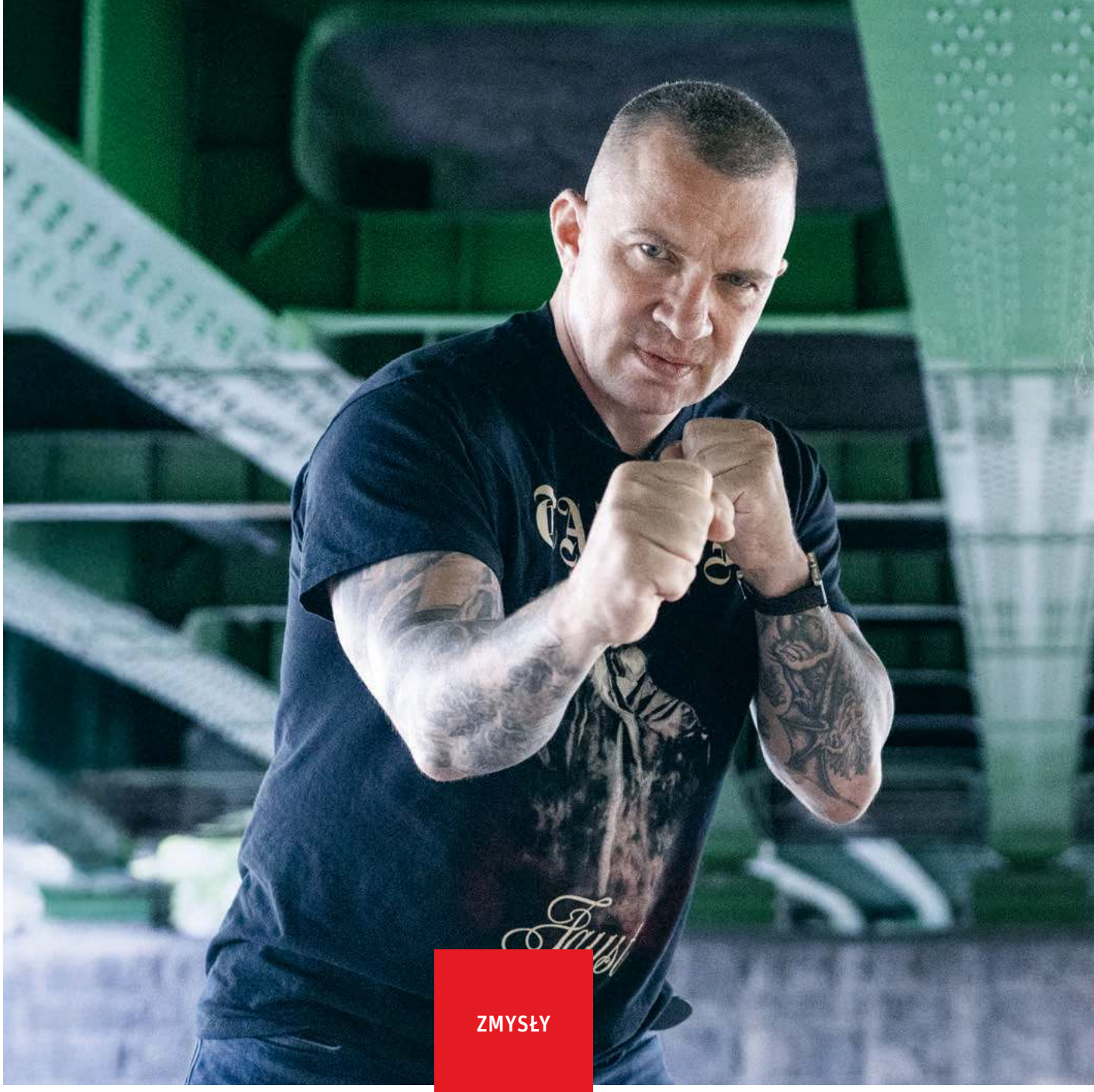

ZMYSŁY

KAŻDY DZIEŃ OJCA

ŁUKASZ ORBITOWSKI, PISARZ:

Zorientowałem się, że zaczynam strofować Julka jak mnie mój ojciec, pouczać go jak mój ojciec mnie. I zrozumiałem, że choć mój ojciec umarł, jego duch mieszka we mnie. A w tym duchu jest duch jego ojca.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

Łukasz Orbitowski z synem Julianem. Kraków, 11 czerwca 2025 r

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Jakie obrazy przychodzą Ci do głowy, kiedy słyszysz słowo „ojciec"?

ŁUKASZ ORBITOWSKI: Mój stary. I powracający z nim sen. Pracownia, ojciec się po niej kręci, jest całkiem żwawy, ale już siwy, widać, że w latach, pod osiemdziesiątkę. Ja sobie z nim gadam, jednak coś mi się nie zgadza. W końcu mówię: „Tatusiu, ale przecież ty umarłeś, ciebie nie ma, co ty tu robisz?".

W słowie „tatuś" jest czułość.

Tak o nim myślę. W gruncie rzeczy ojciec był delikatnym człowiekiem. Obleczonym w pancerz. Dorastał w bardzo trudnym domu i okolicznościach, był dzieckiem wojny. Jego charakter kształtował się w czasach Bieruta i Gomułki, taka epoka kształtuje twardych ludzi. Albo karierowiczów. Mój ojciec karierowiczem nie był. A pancerz u niego objawiał się tym, że niewiele mówił o tym, co dzieje się w nim wewnątrz. To też cecha pokoleniowa – ludzi dorastających w PRL, zatroskanych codziennością, walczących o byt, niezostawiających sobie zbyt wielkiej przestrzeni na mówienie o uczuciach.

A pracownia ojca?

W latach 80. wychodził ją w urzędzie miasta. Dawali pracownię na Kazimierzu, nikt jej nie chciał, wtedy to była wyjątkowo paskudna dzielnica. Dali staremu Orbitowskiemu coś, czym większość innych artystów gardziła. Dosyć duże poddasze, które przerobił, nadzorując robotników. Miał smykałkę techniczną, od której ja jestem wolny. Tata urządził się tam, wprowadzając nas – mamę i mnie. Formalnie to było niedozwolone, ale każdy tak robił: pracownię łączył z mieszkaniem.

Opowiedz o samej pracowni.

Pomieszczenie wielkości sali szkolnej. Z szeregiem okien na całą długość ściany, wychodzących w stronę Wisły, której nie było widać. Dla malarza idealnie, bo naturalne światło. Duży blat zastawiony narzędziami i pędzlami. Sztaluga, z której rzadko korzystał. Zapach farb olejnych, kleju i papierosów.

Jak pracował?

Najczęściej robił obrazy w seriach, np. z wykorzystaniem sznurków lub deszczułek i kartonów. Jak tato sobie w głowie opracował koncept, rozrysowywał małe szkice, wielkości paczki fajek. Potem trzaskał obrazy i był w tak zwanym cugu. Obraz za obrazem, potrafił pracować po 10-12 godzin. Widziałem go nagiętego nad stołem, który zachował się do tej pory: pocięty, pochlapany farbami, zapaćkany klejem. Czasem piję przy nim kawę lub whisky.

Ale ojca mniej kojarzę z pędzlami, a bardziej z narzędziami: skalpelem, linijką, trójkątem. Wykrawał swoje obrazy, a potem nanosił monochromatyczną barwę, zazwyczaj białą. W bezpośredniej bliskości pracowni znajdował się – jak by to ładnie powiedzieć – zakład dla dysfunkcyjnych mentalnie. Dwóch jego pensjonariuszy było wyraźnie słyszalnych. Jeden pełną piersią śpiewał przez okno pieśni patriotyczne, a drugi darł się cały czas: „ole, ole, ole, nie damy się, nie damy się". Przy tych dźwiękach, pieśniach i pohukiwaniu tato tworzył swoje dzieła.

W Muzeum Narodowym w Krakowie wiszą geometryczne abstrakcje Janusza Orbitowskiego.

↦

↦ A cztery są w moim mieszkaniu. To chyba jedyne rzeczy, które mam od niego przez całe dorosłe życie. A z domu wyprowadziłem się, jak miałem 19 lat, tuż po maturze. Żyłem w kilku różnych miastach i w niezliczonej liczbie mieszkań, a obrazy wszędzie wędrowały ze mną.

Jakim był ojcem?

Przychodzi mi do głowy jedna scena: mam 12 lat, Czechosłowacja, rodzinny wyjazd, basen, zjeżdżalnia, z której wypadam na beton, karetka, szpital. Z racji tego, że wyrżnąłem w łeb, posadzili mnie na wózku. Ojciec płakał, kiedy to zobaczył.

Inne wspomnienie?

Jako pięciolatek miałem straszną fazę na piratów. A mój tato wylatywał do Stanów na stypendium. Rano szedł na samolot, a przez całą noc wyrysował załogę piracką, wyciął i nakleił na tekturki, żebym miał do zabawy.

Wasze kontakty w dorosłości?

Naszą niewielką rodziną targały rozliczne konflikty, które położyły się cieniem na relacji mojej i taty. Natomiast znikały one, kiedy siadaliśmy raz na jakiś czas na piwku. Tato był anegdociarzem, więc słuchałem wielu historii. Ja mu opowiadałem o swoich miłościach i pracach. Tato narzekał na Akademię Sztuk Pięknych, gdzie prowadził zajęcia z rysunku. Zwierzaliśmy się sobie, to było bardzo piękne. Kiedy zaczęliśmy wychodzić na piwo, jeszcze można było palić w knajpach i on dosłownie odpalał fajkę od fajki, żeby się napalić, bo w domu ograniczał. Do pewnego momentu wypijaliśmy po cztery piwa – to jest sporo, co nie?

Tato nigdy nie dopuścił do tego, bym zapłacił za te piwa. A potem zaczął chorować i z wiekiem zmniejszyły mu się możliwości zarówno alkoholowe, jak i nikotynowe. Najpierw były trzy piwa, a mnie nadal kupował cztery. W końcu zszedł do jednego małego piwka, które sączył, a dla syna niezmiennie kupował cztery. I radosnym wzrokiem obserwował, jak te piwka w siebie wlewam, rozumiejąc, że kiedy nie możemy sobie już pozwolić na szczęście własne, to trzeba się nauczyć cieszenia szczęściem cudzym.

Kiedy tato umarł, poszedłem do knajpki, w której bywaliśmy, kupiłem dwa piwka, jedno wypiłem, drugie zostawiłem.

Czytał Twoje książki?

W ogóle nie rozumiał fantastyki, ani Lema, ani Tolkiena, ani tym bardziej tej, którą za młodu uprawiałem. Był doskonale obojętny na ten rodzaj wyobraźni. Co jest ciekawe, bo jako artysta dysponował własną, i to sporą. Sądzę, że mógł uznawać moją twórczość za niepoważną. Zawsze dostawał ode mnie książki z dedykacją, ale nie pytałem, czy przeczytał, nigdy zresztą tego nie robię.

Czego Cię nauczył?

Rzetelności w pracy. By swoją robotę, niezależnie od tego, jaki mamy do niej emocjonalny i intelektualny stosunek, wykonywać najlepiej, jak się da. By dotrzymywać terminów. Te ojcowskie lekcje w jakiś sposób procentują. Nie jestem przecież najzdolniejszym pisarzem w Polsce, ale niewątpliwie jednym z rzetelniejszych.

Jakim był dziadkiem?

Julka bardzo kochał. A miłość dziadków do wnuka należy do szczególnych, ponieważ, w większości przypadków, jest tą ostatnią, która zdarza się nam w życiu. W związku z tym wszystkie ręce na pokład. Dajemy tyle szwungu w silnik, ile się da, żeby ten parowóz zasuwał po szynach, które są krótkie, a stacji przed nami jest niewiele.

Twoje pierwsze odczucia na wieść, że zostaniesz ojcem?

Raczej lęk. Powrócił w momencie, kiedy pierwszy raz trzymałem syna na rękach. Był bardzo kruchy – ta czaszeczka miękka, a ja mam go w swoich wielkich łapach, drżąc, że jeszcze upuszczę, że zgniotę... No i żałuję, że byłem przy porodzie.

Żałujesz?

Moja ówczesna żona męczyła się i cierpiała, a ja nie byłem w stanie jej pomóc. Rozdzierające poczucie bezradności. A ja jestem zadaniowy. W związku z tym pozostała mi obserwacja, jak ktoś się męczy i cierpi, realizując swoje zadanie.

Twoja obecna relacja z synem?

Moja rodzina szybko się rozpadła, Julek miał zaledwie rok. Ale nawet kiedy rozstaliśmy się z żoną – bądźmy szczerzy, ja ją zostawiłem – to regularnie odwiedzałem syna wieczorami. Chodziłem z nim na spacery, bardzo to lubiłem. Wieczorami była żona szła na spotkanie z koleżankami albo na fitness, a ja w tym czasie Julka kąpałem, przygotowywałem kaszki, czytałem książki do snu. Jak Julek skończył 10 lat, zacząłem go wychowywać na serio.

Co to znaczy?

Wtedy Julek zamieszkał ze mną. Dotąd dbałem o kontakt z dzieckiem, ale dzielił nas kawał Polski, była żona po rozwodzie wróciła na Śląsk. Nie brałem więc udziału w wychowaniu. Nie spodziewałem się tego rodzaju obrotu sprawy. Miałem pewność, że będę mieszkał sam do końca życia. I jakoś trzeba było tę codzienność poukładać inaczej.

W pewnym momencie zorientowałem się, że zaczynam używać frazy mojego ojca. Strofować go jak mój ojciec, pouczać jak mój ojciec, dawać wskazówki jak mój ojciec. Jak gdybym był swoim ojcem. I zrozumiałem, że choć mój ojciec umarł, w jakiś sposób jego duch mieszka we mnie. A pewno w tym duchu jest duch jego ojca i kiedy ja umrę, a Julek będzie miał swoje dzieci, to może ten mój cień zamieszka w nim.

Sztafeta pokoleń?

Wkrótce Julek skończy 18 lat... W najbliższy weekend udam się do pubu, lokal najzwyklejszy na świecie, którego walorem jest położenie jakieś 300 metrów od naszego mieszkania. Z racji tego, że jest blisko, znam właściciela i pójdę wykupić Julkowi „osiemnastkę". Chodzi o to, by spędził czas z kumplami i robił, co tam chce zrobić. A ja ureguluję rachunek i liczę, że usiądę z Julkiem na piwie czy kawie – to on decyduje, bo nie zamierzam rozpijać syna. Ważne, byśmy w ten dzień pogadali, by przed swoim wieczorem znalazł dla mnie godzinkę.

Co w tę godzinkę chciałbyś mu istotnego powiedzieć?

Julek jest w tym wieku, że starego pierdziela nie będzie słuchać.

A jakby chciał posłuchać?

Jedyna rzecz, którą mógłbym powiedzieć, to by nigdy nie pozwolił na to, by żyć życiem innych ludzi – żony, partnerki, kumpla, ojca, matki, pracodawcy. By nie pozwolił sobie, aby ktoś mu wymyślił życie. Tak nie można robić, ponieważ własne życie przeżyte w cudzym jest koszmarem. Jeśli nie żyję tak, jak potrzebuję, tak jak chcę, na własnych zasadach, prędzej czy później prowadzi to do nałogu czy innej destrukcji. Dlatego należy mądrze dobierać sobie ludzi wokół siebie, szczególnie jeśli chodzi o związki miłosne.

Nie idealizujesz?

Są możliwe związki, w których ludzie respektują własną autonomię. Sytuacje, gdy dwie wolności spotykają się i stają się wolnością wspólną.

Nie mówię o związkach otwartych, o porzucaniu się i powracaniu, szarpaniu uczuć i nerwów, ale o byciu razem w poszanowaniu własnej odrębności.

W Julku widzisz coś z siebie?

Łatwiej mi mówić o różnicach, ponieważ ja jestem ekstrawertycznym gadułą, a Julek to ewidentnie zamknięty w sobie introwertyk. Ja mam dużą zdolność do otwierania się, a jego trzeba łomem podważać. Choć czasem powie, co mu leży na wątrobie. Ale łączy nas wrażliwość, poczucie humoru. I na pewno obowiązkowość. Na Julka zawsze można liczyć, przyjdzie, ogarnie, zrobi na godzinę, dotrzymuje słowa. Mój ojciec był taki, ja taki jestem, więc i jemu się to udzieliło.

Mam małą wiarę w wychowanie poprzez kładzenie rzeczy do głowy. Uważam, że dziecko uczy się przez przykład, patrząc na rodziców i myśląc: „O, tacy są ludzie. Może też powinienem taki być". A z racji wiązanki genetycznej, często zmierza to we właściwych kierunkach.

Wspólne pasje?

Pokazywałem Julkowi trochę klasyki kina, typu „Terminator", „Obcy", „Łowca androidów". Ostatnio zobaczył „Substancję" z Demi Moore, niezależnie ode mnie. A ja ten film bardzo cenię. I zaczęliśmy dyskusję na jego temat, co nas doprowadziło do oglądania filmów Cronenberga. Była też zajawka na kino Lyncha, Julek zastanawiał się, dlaczego w niektórych historiach nic nie jest wyjaśnione, nie ma rozwiązania. Tłumaczyłem, że właśnie chodzi o to, że filmy są – przynajmniej zdaniem twórcy – jak życie. A życie jest tajemnicą, ono nam się nie rozjaśni, nie rozświetli.

Muzyka?

ŁUKASZ ORBITOWSKI (ur. 1977) jest pisarzem, autorem licznych opowiadań i powieści, m.in. „Exodus", „Tracę ciepło", „Kult", „Chodź ze mną". Ukończył filozofię na UJ. Debiutował na łamach miesięcznika „Science Fiction". Laureat m.in. Paszportu „Polityki" 2015 za książkę „Inna dusza". W Świecie Książki ukazała się w ubiegłym roku jego najnowsza powieść pt. „Wróg".

Julek był skazany na heavy metal z racji tego, że w domu cały czas on wył, wrzeszczał, dudnił, więc się chłopak osłuchał. Bywali u nas przyjaciele metalowcy, zawsze pod ręką były płyty. Teraz jego pokój jest pełen plakatów, flag i szalików. Za sprawą Julka pojechaliśmy na Metal Manię w Wałbrzychu, festiwal, który odbywał się w dawnej kopalni, tam był świetny koncert Destroyer 666 i Obscure Sphinx... Trzy lata temu byliśmy w Gdańsku na powrotnym koncercie Mercyful Fate. A teraz właściwie razem muzyki nie słuchamy. Każdy puszcza swoją we własnym pokoju. Julek jest zakochany w bardziej ekstremalnych dźwiękach, uwielbia czysty hałas w rodzaju Revenge. Ja już chyba jestem stary.

Z racji wieku ucho Julka więcej zniesie?

Metal ma wartość społeczną, wspólnotową. Sam do pewnego momentu byłem samotnym dzieckiem, żyjącym w świecie książek i wyobraźni, a metal dał mi kolegów. I widzę, że Julianowi daje to samo. Specjalnie zostaję w domu, by na koncert poszedł sam, beze mnie, by miał swoją bandę i nie trzymał się ojca. A w niedzielę zaczyna pierwszą próbę zespołu, w którym koledzy wzięli go na bas.

Sport?

Najpierw Julek dostał rower. Kiedyś wchodzę do niego do pokoju, spojrzałem na rower wiszący na ścianie i powiedziałem: „Może ja też sobie kupię rower i będziemy jeździli razem na wycieczki?". A Julek odpowiedział: „Ale ja nie chcę jeździć na rowerze, wolałbym sprzedać". I sprzedał, a ja sobie kupiłem rower, na którym sam robię wycieczki. Choć Julek ostatnio wyraził żal, że może ta sprzedaż roweru była nieco pochopna.

Po drodze przez moment była koszykówka. Potem próbowałem go zaciągnąć na siłownię, bo to sport, który znam i którego benefity bardzo mocno doceniam. Niestety już w połowie pierwszego treningu Julek zapytał, ile jeszcze zostało ćwiczeń – i już wiedziałem, że z tej mąki chleba nie będzie. Ale temat wrócił, kiedy Julek zawstydził się na wuefie własną kondycją. Wtedy wysłałem go do mojego przyjaciela i własnego trenera od boksu. Grzesiek wziął Julka pod kuratelę i zażarło. Śmiało wkroczył w ćwiczenia na maszynach, potem ciężarki, z czasem doszły sporty walki, właśnie boks. Wskutek czego jest u nas o gigantycznym rozmiarze worek z odżywką Mutant Mass.

Ważna myśl z tego się wyłania: rodzice w pewnym momencie powinni dzieciom dać spokój, uwolnić spod własnego oka, pozwolić im być w grupie rówieśniczej albo powierzyć je osobom, z którymi będzie tworzył się inny rodzaj relacji niż ta rodzic–dziecko.

A co daje sam boks?

↦

Pewność siebie. Panowanie nad siłą, ciałem. W moim przypadku to o tyle istotne, że przez całe życie uprawiałem sporty siłowo-ciężarowe. W związku z tym zrobił się ze mnie kloc. Ja tego kloca na boksie usiłuję rozruszać. Obserwując Julka, który waży 20 kg mniej, widzę, że jest o wiele szybszy, zwinniejszy, sprawniejszy. Jest dużo lepszym zawodnikiem niż ja.

Poza tym boks jest jak terapia. Bo trochę się pookładacie po mordach, jest trochę wysiłku. Boks to nie tylko bicie, tarcze, ale i skakanka, drabinka, sporo ćwiczeń ruchowych. Połowa treningu bokserskiego właściwie sprowadza się do rozgrzewki. I do tego dochodzi rozmowa. O pierdołach, znajomych i rzeczach ważnych. Człowiek wychodzi z treningu oczyszczony, lżejszy, z czystą głową. Znam to doświadczenie i mam nadzieję, że Julek je w jakiś sposób podziela.

Żadnych między Wami kłótni?

Rzadko. Zdarzała się ostra wymiana zdań. Nasza relacja opiera się na szacunku. I zaufaniu. Wynika to także z tego, że Julek nie sprawia problemów wychowawczych. Dobrze się uczy, nie pije albo mało pije... Nie rozrabia, nie bierze narkotyków, nie znika z domu, dzwoni, jeżeli ma się spóźnić. W związku z tym nie znajduję pola do tego, byśmy się mieli ścierać.

Mój ojciec mniej więcej wiedział, co mu się może przydarzyć w najbliższej dekadzie. Ja nie mam pojęcia co przyniesie następne pięciolecie. I jednocześnie **mam pewność, że Julek będzie wiódł bogate życie.**

Myślisz o jego przyszłości?

Przyszłość świata jawi mi się tajemniczą. Mój ojciec mniej więcej wiedział, co mu się może przydarzyć w najbliższej dekadzie, a ja nie mam najmniejszego pojęcia, co temu rejonowi świata przyniesie następne pięciolecie. I jednocześnie mam pewność, że Julek będzie wiódł bogate życie.

Czyli jakie?

Wierzę, że uda mu się zrobić to, co mnie się udało: zawodowo być w zgodzie ze sobą. Praca jest i źródłem radości, i dochodu. W bogatym życiu ważne jest i to, by jego serce było spokojne.

Twoje jest?

Kocham swoje życie, mnóstwo dobra w nim zaznałem. Choć zdarzyło się w nim parę katastrof. Były krzywdy, które wyrządziłem i których sam zaznałem. Pełne ryzykownych impresji i niemądrych przedsięwzięć. I jak każdy rodzic, który uśmiecha się do własnej przeszłości, chciałbym dla swojego syna innej przyszłości.

Mam nadzieję, że będzie postępował z większym wyczuciem moralnym niż ojciec. A moją wielką radością jest fakt posiadania syna, który jest ode mnie mądrzejszy i lepszy.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

REKLAMA

SEAL
PLAYING ALL THE HITS AND MORE

KONCERT
7 LIPCA 2025
HALA STULECIA, WROCŁAW
SEALOFFICIAL.COM
Bilety: BILETSERWIS.pl

Prestige MJM · BILET SERWIS · onet · proart · VIXON MEDIA

TOMASZ

Stawiszyński: *Trump, Musk i los*

„Wszystko, czego nie włączymy do świadomości, pojawia się w naszym życiu jako los" – mawiał Carl Gustav Jung. Rzecz jasna, nie należy brać tego stwierdzenia dosłownie. Nie chodzi w nim przecież o to, że jeśli ktoś jest stuprocentowo świadomy (cokolwiek miałoby to znaczyć), to nie zdarzają mu się w życiu niespodzianki. Albo że potrafi w pełni zapanować nad tym, co nieprzewidywalne i nieznane. Są to klasyczne mrzonki, przynęty, którymi mniej lub bardziej skutecznie wabią nas dziś rozmaici „sprzedawcy szczęścia". Słowem, szkoda tym sobie zawracać głowę, wiadomo, że ostatecznie i tak nic nas nie uchroni przed bólem, cierpieniem i stratą. Ale w interpretacji nieco słabszej dostajemy w bon mocie Junga elegancko wyłożoną, tyleż prostą, co nieoczywistą prawdę. Dałoby się ją sparafrazować jakoś tak: człowiek nie dostrzega wielu uwarunkowań, którym podlega zarówno on sam, jak i inni ludzie, a im mniej sobie z nich zdaje sprawę, tym bardziej go one warunkują. Doprawdy, cała historia *Homo sapiens*, a także poszczególne historie indywidualne, nie wyłączając mojej i twojej, stanowią doskonałą ilustrację tej prawidłowości. Jej ilustracją najnowszą, a na dodatek wyjątkowo spektakularną jest zaś bez wątpienia wielka wojna pomiędzy Donaldem Trumpem a Elonem Muskiem.

Że to się musiało tak skończyć – bo wszystko, czego nie włączymy do świadomości, pojawia się w naszym życiu jako los – to było już od dawna do przewidzenia. Pisałem zresztą o tym w jednym ze styczniowych felietonów, poświęconym zainaugurowanej wówczas właśnie prezydenturze Trumpa. Musk, miliarder, do niedawna uważany za ekscentrycznego wprawdzie, ale wizjonerskiego przedsiębiorcę, stał się w stosunkowo krótkim czasie międzynarodowym symbolem szaleństwa władzy i megalomanii. Trump z kolei jaki jest, każdy widzi – nawet ci, którzy dawali mu na początku drugiej kadencji kredyt zaufania i spekulowali, że jego dziwaczny wizerunek to może tylko zmyślna przykrywka dla jakichś racjonalnych strategii i taktyk. Obu łączą absolutne przekonanie o własnej omnipotencji i słuszności, wiara, że skomplikowane i nawarstwiające się problemy da się rozwiązać ręcznie, z pomocą serii banalnych decyzji i dekretów, a także, jak się wydaje, słaba zdolność do modyfikowania poglądów w zetknięciu z rzeczywistością. Obu ich zatem łączy – jest to oczywiście hipoteza, ale felietonowa forma na stawianie takich hipotez zezwala – spory zakres nieświadomości. I właśnie dlatego pojawiła się ona w ich życiu jako los.

Powtórzę: nie ma w tym nic metafizycznego, wyłącznie psychologiczny standard. Dwaj ludzie systematycznie oddalający się od realiów, pogrążający w iluzjach na temat siebie i świata, przekonani o swojej doskonałości i nieomylności – w sposób naturalny znajdują się na kursie kolizyjnym. Zwłaszcza jeśli obaj przyzwyczajeni są do sprawowania niepodzielnej władzy, stawiania na swoim i dysponowania zawsze ostatnim, rozstrzygającym słowem. A na dodatek jeden z nich zażywa duże dawki ketaminy – środka psychodelicznego, który ma wprawdzie pewien potencjał terapeutyczny, ale, jak to bywa z tego typu substancjami, przyjmowany bez kontroli rychło przenosi użytkownika w dalekie rejony nierzeczywistości. Co z kolei intensyfikuje i napędza wszystkie jego istniejące uprzednio dyspozycje, wytwarza się więc tutaj specyficzne sprzężenie zwrotne.

Podobnie, na kursie kolizyjnym w naturalny sposób znajdują się wyznawcy rozmaitych narracji spiskowo-tożsamościowych, wszędzie tam bowiem, gdzie nie ma kryteriów rozstrzygania, co jest prawdziwe, a co nieprawdziwe, co dobre, a co złe – prędzej czy później dochodzi do zderzenia. Los (nomen omen) wielu środowisk nieustannie dzielących się na coraz mniejsze, zwalczające się zapalczywie grupy i podgrupy, które wzajemnie zarzucają sobie ideologiczną nieczystość i sprzeniewierzanie się „autentycznej" doktrynie, precyzyjnie odzwierciedla tę oczywistą konieczność. Oczywistą, a jednak wciąż niedostrzeganą lub nieprzyjmowaną do wiadomości. I właśnie dlatego nieustannie powracającą jako los.

Ale takim właśnie nieświadomym, które powraca jako los, są także, niestety, aktualne i przyszłe konsekwencje wyboru Trumpa na stanowisko prezydenta oraz ekipy, którą sobie zmontował. Zasada, o której tu mówię, działa również na poziomie zbiorowym. Okoliczność, że o najważniejszych, globalnych sprawach decyduje dziś psychodynamika jednego człowieka, mówi coś także o kondycji naszej współczesności. O tym wszystkim, czego nie dostrzegamy, co pomijamy albo czego nie chcemy widzieć, co więc ochoczo racjonalizujemy, zakłamujemy i przekręcamy, zamiast starać się patrzeć na rzeczy takimi, jakimi są. A w każdym razie takimi, jakimi z największą możliwą adekwatnością jesteśmy je w stanie zobaczyć, jeśli tylko postaramy się przekroczyć własne zakrzywienia poznawcze.

Cóż, zdecydowanie lepiej by było, gdybyśmy nie oszukiwali samych siebie, gdybyśmy włączali, co się da, do świadomości. Ten powrót nieświadomego pod postacią losu często odbywa się bowiem w formie cokolwiek turbulentnej. O czym Musk z Trumpem właśnie się przekonują. Skądinąd, psychologiczna logika uczy, że po przejściu z miłości w nienawiść następuje niekiedy ponowna faza miłości, niekiedy nawet bardziej intensywnej niż wyjściowo. Ale czy tak właśnie zdecyduje los w tym przypadku – to się dopiero okaże. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

TYGODNIK POWSZECHNY

TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM, GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI, DO PACZKOMATU, DO CIEBIE.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 210 zł
- Prenumerata półroczna: 399 zł
- Prenumerata roczna: 749 zł
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 849 zł

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.
W prezencie **UNIKALNA TORBA „TYGODNIKA”** – tylko do 15 lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/sklep | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR W PACZKOMACIE

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu,
ZAWSZE W ŚRODĘ – w dzień premiery. Dodatkowo **ROCZNY DOSTĘP ONLINE** do całego „Tygodnika” za **1 ZŁ**. W prezencie książka z autografem **STANISŁAWA MANCEWICZA „KRONIKI DOBREJ ZMIANY”** – tylko do 15 lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

Ten sam Tygodnik – różne możliwości.
Wybierz, jak Ci wygodniej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: MAREK BEDNARZ

TYGODNIK POWSZECHNY
+
MAGAZYN
CONRAD 01
„TP" 25/2025

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 – 26.X.2025
KRAKÓW

Festiwal Conrada, 20–26 października

MICHAŁ SOWIŃSKI

NADZIEJA RADYKALNA TO POJĘCIE stworzone przez amerykańskiego filozofa i psychoanalityka Jonathana Leara. Opisał w ten sposób sytuację człowieka, który traci wszystko, co zna i rozumie – ale mimo to nie rezygnuje. Kim był ten człowiek i co dokładnie przeżył, można przeczytać w eseju Olgi Drendy otwierającym ten dodatek.

Radykalna nadzieja to ta, która zostaje, gdy wszystkie inne zawiodły. Nie daje pocieszenia – pozwala jedynie podjąć decyzję, by na przekór wszystkiemu działać dalej.

Nadzieja jest dziś potrzebna jak nigdy, a literatura pozwala jej szukać w szczególny sposób. Dzięki niej możemy wyobrazić sobie rzeczy pozornie niemożliwe – nowe światy, nielogiczne wspólnoty, niekonwencjonalne przebaczenia. Uczy myśleć w poprzek i najlepiej chroni to, co jednostkowe – odrębne perspektywy i głosy.

W pierwszym w tym roku „Magazynie Conrad" prezentujemy cztery teksty. Olga Drenda przybliża ideę przewodnią tegorocznego festiwalu. Dalej przedstawiamy pierwszych gości.

Dorota Malina pisze o Kamelu Daoudzie – algierskim pisarzu, który oddaje głos kobietom wykluczonym przez historię. Jego najnowsza książka „Hurysa" to opowieść o wojnie domowej i o tych, które ją przetrwały. To tekst o nadziei, która przywraca sprawczość.

Krzysztof Katkowski rozmawia z Vincenzo Latronico o „Do perfekcji" – powieści o parze, która próbuje wieść idealne życie w Berlinie. Wszystko się zgadza, a jednak czegoś brakuje. Jedyna nadzieja w radykalnym przebudowaniu międzyludzkich relacji.

A ja piszę o Emily St. John Mandel, bo w jej książkach koniec jednego świata jest zawsze początkiem nowego.

Wszyscy troje mówią niemal jednym głosem: nadzieja leży we wspólnocie. Trzeba ją wymyślić od nowa – ale najpierw uwierzyć, że wciąż jest możliwa.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI,
REDAKTOR LITERACKI FESTIWALU

W NUMERZE

79

OLGA DRENDA
O nadziei radykalnej, czyli o tegorocznej idei przewodniej Festiwalu

82

MICHAŁ SOWIŃSKI
O Emily St. John Mandel, u której końce świata są zawsze nadzieją na nowy początek

84

DOROTA MALINA
O Kamelu Daoudzie i literaturze mówiącej w imieniu tych, co muszą milczeć

88

ROZMOWA
Z VINCENZO LATRONICO
kronikarzem współczesnej samotności

REDAKCJA
Michał Sowiński
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
TP TYPOGRAFIA
Andrzej Leśniak
GRAFIKA NA OKŁADKACH
Marcin Wolny
/ Conrad Festival

CONRAD FESTIVAL

Organizatorzy:
Kraków
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA
kbf:
KRAKÓW MIASTO LITERATURY UNESCO
t/ Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partnerzy strategiczni:
TYGODNIK POWSZECHNY
allegro

Dofinansowanie:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Pełny program Festiwalu na www.conradfestival.pl

Nadzieja radykalna, czyli przetrwanie to za mało

OLGA DRENDA, DYREKTORKA FESTIWALU CONRADA

Koniec – i co dalej? Coś się skończyło, lecz istnienie nadal trwa. Odnajdujemy się w rzeczywistości, która przestaje być znajoma; wygrzebujemy się na powierzchnię, lecz nie wiemy jeszcze, dokąd iść. Skąd wziąć kompas?

Koniec świata nie musi być spektakularnym krachem, końcem wszystkiego. Może być, i często bywa, rozpadem znanej rzeczywistości oraz przejściem do stanu, w którym trzeba przecież nadal istnieć. Apokalipsy, mniejsze i większe, wydarzają się cały czas. Kultury, cywilizacje i epoki napotykają swój kres, a pojedynczy ludzie przeżywają prywatne końce i mierzą się z własną skończonością.

Rzeczywistość postapokaliptyczna nie jest czymś, co może nadejść dopiero kiedyś: wielu ludzi jest jej mieszkańcami już dziś. Nie dotyczy to jedynie społeczności, które przetrwały wojny czy klęski żywiołowe. Końce osobistych światów dotykają przecież nas codziennie: gdy słyszymy złowrogą diagnozę, tracimy pracę, gdy dorosłe dziecko wyprowadza się od rodziców, gdy patrzymy w lustro i dociera do nas, że wchodzimy w smugę cienia. Po pierwszym wstrząsie następuje ciąg dalszy; drżące, ciche trwanie – lub powrót do życia po wyłonieniu się z tunelu w innym miejscu. Trzeba się odnaleźć, szukając indywidualnych strategii i rysując nowe mapy.

„Przetrwanie to za mało", głosi znany cytat z serialu „Star Trek". Wypowiada to zdanie Siedem z Dziewięciu, były dron Borg (istota bez indywidualnego umysłu, stanowiąca część kolektywu), kiedy decyduje, że woli przeżyć jeszcze jedynie miesiąc, ale jako świadoma jednostka. Życie to coś więcej niż jedynie przeżycie – by jednak takim się stało, potrzebna jest siła chroniąca przed popadnięciem w nicość.

Gdy odeszły bizony

„Odkąd odeszły bizony, serca moich ludzi upadły na ziemię i już nikt ich nie podniósł. Potem już nic się nie wydarzyło" – powiedział Wiele Przewag (1848-1932), wódz plemienia Wron, swojemu „białemu bratu", Frankowi B. Lindermanowi, traperowi z Montany. W zaufaniu powierzył mu dzieje swojego życia i historię swojego ludu; historię, w której następuje zasadniczy zwrot. Zwrot w postaci końca świata, który nie oznacza jednocześnie końca istnienia.

Plemię Wron prowadziło wędrowny, łowiecki tryb życia, którego sednem było polowanie na bizony i nieustanna wojna prowadzona z sąsiednimi ludami Siuksów i Czejenów. Za wzór do naśladowania uznawano wojownika, który zdobył sławę i jak najwięcej przewag – czyli symbolicznych znaków obecności Wron, zostawianych przez dotknięcie rytualną laską ziemi lub ciała wroga.

Treść życia stanowiły konie, polowania na bizony, bitwy i pieśni o bohaterach, najwyższą wartość zaś – odwaga. Wskutek ekspansji białych osadników i konfliktu na nowym froncie populacja plemienia nieustannie się zmniejszała, podobnie jak terytorium Wron. Decydujące dla ich losu było wyginięcie bizonów, które uniemożliwiło dalsze życie w dotychczasowej formie. Wobec tego podjęli decyzję o sojuszu z białymi przeciwko Siuksom, a ostatecznie – o przejściu na osiadły tryb życia.

Nie była to zwyczajna zmiana, lecz prawdziwy koniec świata Wron – stracili wszystko, co definiowało ich tożsamość. Zmuszeni do zejścia z mustangów, pozbawieni bizonów i możliwości walk plemiennych, których zakazał rząd, doświadczyli rozpadu całego znanego im porządku. Inny wódz, którego relację spisał Linderman, ujął to jeszcze mocniej: „Nic się już nie działo. Po prostu żyliśmy". W rezerwacie możliwe było dalsze życie, lecz już nie życie prawdziwych Wron.

Zostań sikorą

Nadzieja jest tym upierzonym
Stworzeniem na gałązce
Duszy – co śpiewa melodie
Bez słów i nie milknące
(tłum. Stanisław Barańczak)

Emily Dickinson zapisała ten wiersz w jednym ze swoich zeszytów ok. 1861 r. W tym samym czasie, zbiegiem okoliczności, upierzone stworzenie nawiedziło również wodza Wiele Przewag – wtedy jeszcze chłopca u progu dorosłości. W tradycji Wron wizje towarzyszące rytuałowi przejścia miały szczególne znaczenie – młodzi chłopcy doświadczali wówczas swoich „snów założycielskich", które później interpretowała plemienna starszyzna.

Wiele Przewag otrzymał wówczas proroczą wizję odejścia bizonów, ale otrzymał jednocześnie wskazówkę, ↦

↦ która po latach wskazała mu drogę ratunku. Zupełnie jak w wierszu poetki, której nie mógł przecież znać, przybył pierzasty posłaniec nadziei. „Zostań sikorą! Jest najsłabsza spośród ptaków, ale ma najpotężniejszy umysł. Pragnie pracować, aby zdobyć mądrość. Persona-Sikora jest bardzo dobrym słuchaczem. Nic nie umyka jej uszom wyostrzonym przez częste używanie. Gdy inni rozmawiają o swoich sukcesach i porażkach, Persona-Sikora ich słucha", usłyszał Wiele Przewag.

Plemię Wron ostatecznie przetrwało, nie tylko „po prostu żyjąc", ale rozpoczynając nowy rozdział swojego istnienia. Pójście na kompromis z rządem pozwoliło ludowi zachować swoje ziemie. Wiele Przewag z powodzeniem zajął się rolnictwem, inspirując do tego swoich krajan. Tę ewolucję historycy z plemienia zinterpretowali nie jako zerwanie ciągłości, a powrót do tego, co praktykowali przed etapem nomadyzmu. W ten sposób udało się im zachować ciągłość tradycji i przetrwać najgorsze.

Opowieść wodza zainspirowała amerykańskiego filozofa Jonathana Leara do stworzenia koncepcji „nadziei radykalnej", postawy, która przeprowadziła lud przez kolejne etapy straty. „Jest ona radykalna, kieruje się bowiem na przyszłe dobro, które przekracza aktualne możliwości zrozumienia, czym mogłoby ono być. Radykalna nadzieja oczekuje pewnego dobra, lecz żywiącym tę nadzieję brakuje na razie pojęć, za pomocą których mogliby je ująć". Taka nadzieja jest podjęciem ryzyka, skokiem w nieznane, siostrą odwagi.

W tym roku to właśnie koncepcja Leara skłoniła nas do zastanowienia się, co zrobić, żeby życie nie było jedynie przetrwaniem – i jakich wskazówek w tej sprawie może udzielić literatura.

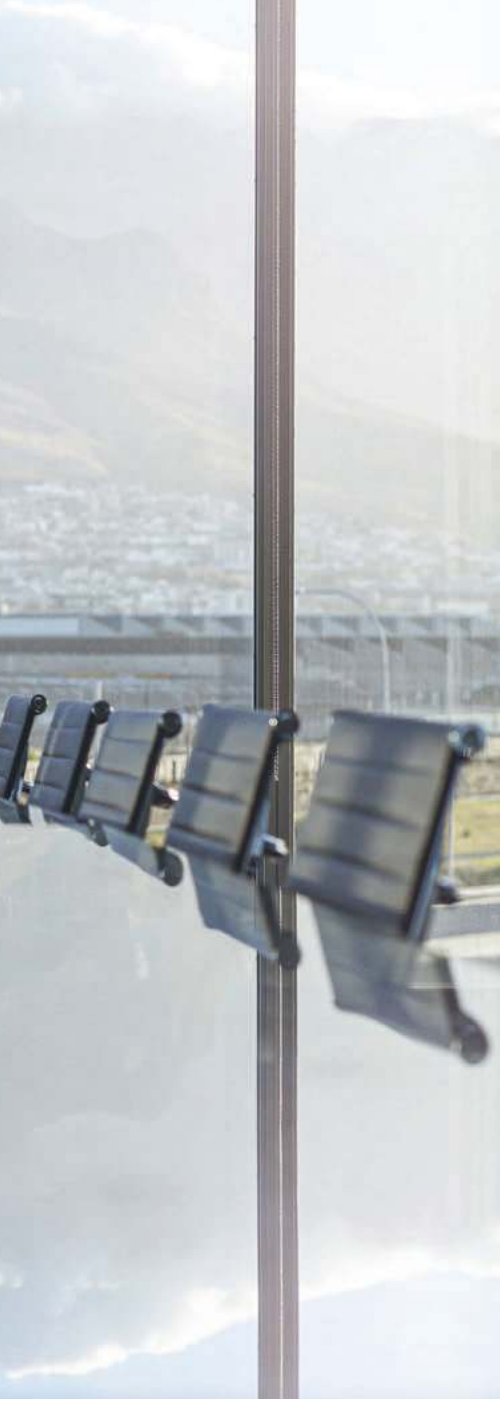

KLAUS VEDFELT / GETTY IMAGES

> Radykalna nadzieja oczekuje pewnego dobra, lecz żywiącym tę nadzieję brakuje jeszcze pojęć, za pomocą których mogliby je ująć. To podjęcie ryzyka, skok w nieznane, siostra odwagi.

Mimo wszystko warto

„Nadzieja, być może, stanowi ten sam materiał, z którego uczyniona jest nasza dusza", pisał francuski filozof-egzystencjalista chrześcijański Gabriel Marcel. W tradycji, którą reprezentuje, nadzieja uważana jest za cnotę, stanowi bowiem paliwo dla zaufania i oparcie w radzeniu sobie z wątpliwościami. To ten dyskretny czynnik decydujący o przekonaniu, że „mimo wszystko warto" (w tym przypadku – dążyć do zbawienia). W perspektywie Marcela, człowieka trudnego wieku XX, nadzieja budowała przede wszystkim barierę ochronną przed towarzyszącą współczesnemu człowiekowi pokusą nihilizmu, popadnięciem w głębokie rozczarowanie samym faktem istnienia.

Polskie porzekadło głosi cynicznie, że nadzieja jest matką głupich. Na szczęście – jak przypominał prof. Roch Sulima – na każde przysłowie znajdzie się inne, które mówi coś przeciwnego. Tu pomaga mądrość ludowej baśni, która „głupią nadzieję" rehabilituje. Bohaterem-zwycięzcą staje się tam przecież często archetypowy „głupi Jasio" – to on ostatecznie zdobywa skarb czy zostaje królem. Jego pozorny nierozsądek pozwala mu patrzeć inaczej, znajdować inne sposoby niż te logicznie oczywiste. Idea nadziei radykalnej ukazuje potencjał mądrości kryjący się w połączeniu zdolności do ryzyka z zaufaniem, które pozwalają przeciwdziałać lękowi i apatii.

Pytanie, czy literatura – a szerzej: twórczość – może stać się źródłem radykalnej nadziei? Czy szukanie jej nie niesie przypadkiem ryzyka naiwności – popadnięcia w „błąd Pollyanny", czyli przeceniania optymistycznych wizji i lekceważenia zagrożeń?

Przykłady z życia budzą zarazem podziw i pokorę. W licznych relacjach mówionych i pamiętnikach z czasów II wojny światowej zaskakująco często powraca motyw jednej książki – „Colasa Breugnon" Romaina Rollanda, pogodnej powieści o stolarzu, który „śmieje się życiu w twarz, uważa je bowiem za dobre" – wbrew otaczającej grozie.

Historyk Norbert Elias pracował nad swoim monumentalnym dziełem w równie niesprzyjających okolicznościach: u progu wojny światowej, na emigracji z Niemiec, gdzie jego żydowskie pochodzenie oznaczałoby wyrok śmierci.

Aleksander Kulisiewicz, obdarzony niezwykłą pamięcią, w obozie koncentracyjnym zapamiętywał wiersze i pieśni tworzone przez współwięźniów – nie wiedząc, czy przeżyje, ale wierząc, że należy je ocalić dla innych.

Przykłady można mnożyć.

Wystarczy poszukać

Nadzieja radykalna może skrywać się w małym jak sikorka aspekcie życia, który ratuje przed całkowitą utratą sensu. Pomaga budować, jak powiedziałaby filozofka Ewa Domańska, „energię autoregeneracji, która umożliwia stawanie się i odtwarzanie oraz zaczynanie od nowa". Domańska wierzy, że nawet najstraszliwsza trauma nie musi być nieodwracalnym wyrokiem i że potencjał samoleczenia jest właściwy i dla pojedynczych ludzi, i dla całych zbiorowości.

Taki motyw pobrzmiewa w tle wstrząsających zapisków antropologa Tomasza Rakowskiego, który mieszkał wśród współczesnych polskich odpowiedników ludu Wron – ludzi, których świat i sens życia zostały zniszczone przez procesy prywatyzacji i likwidacji po 1989 r. Rakowski dzielił życie i pracę z górnikami z Wałbrzycha, pozbawionymi zatrudnienia decyzją ówczesnych władz. W mieście zależnym od przemysłu oznaczało to cofnięcie się do niemal XIX-wiecznych warunków – z niebezpieczną, nielegalną pracą w biedaszybach i zbieraniem złomu jako głównym źródłem utrzymania.

Mimo warunków „życia zdegradowanego", w których codzienności towarzyszy dotkliwy brak, Rakowski dostrzega u swoich rozmówców niespodziewany impet i zaangażowanie. Odkrycie wcześniej „zakazanych" przedmiotów poniemieckich wyzwala w nich impuls sprzeczny z brutalną rzeczywistością – ciekawość miejsca, w którym żyją, przekonanie, że „tu jest wszystko, wystarczy poszukać", a nawet kolekcjonerską pasję. Przed kolcami rzeczywistości broni ich opowieść umożliwiająca wyobrażenie sobie świata na inny sposób – i być może dzięki tej cienkiej nitce nie pozwalają się złamać biedzie.

Zacznijmy więc od założenia, że ciąg dalszy z pewnością nastąpi.

© OLGA DRENDA

ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES

EMILY ST. JOHN MANDEL (ur. 1979) jest kanadyjską pisarką, autorką sześciu powieści: „Last Night in Montreal" (2009), „The Singer's Gun" (2009), „The Lola Quartet" (2012), „Station Eleven" (2014; pol. „Stacja jedenaście", tłum. Magdalena Lewańczyk, Wydawnictwo Papierowy Księżyc, 2015), „The Glass Hotel" (2020; pol. „Szklany hotel", tłum. Paulina Braiter, Wydawnictwo Poradnia K, 2022) oraz „Sea of Tranquility" (2022; pol. „Morze spokoju", tłum. Ewa Horodyska, Wydawnictwo Poradnia K, 2023). Międzynarodową renomę przyniosła jej „Stacja jedenaście", wielokrotnie nagradzana. Mandel tworzy spójne, choć nielinearne uniwersum, w którym postacie i wątki powracają, migrują między książkami, zmieniają formę i znaczenie. W 2021 r. „Stacja jedenaście" została zekranizowana jako serial HBO – twórcą, showrunnerem i głównym scenarzystą był Patrick Somerville, a Mandel pełniła rolę konsultantki.

Apokaliptyczny spektakl

MICHAŁ SOWIŃSKI

U Mandel wszystko się rozpada: czas, pamięć, tożsamość. A jednak właśnie w tym rozpadzie bohaterowie uczą się żyć – nie pomimo katastrofy, ale dzięki niej.

Świat się skończył – bez huku, bez fajerwerków. Prawie cała ludzkość została zgładzona przez wyjątkowo morderczą mutację wirusa grypy. Zgasły światła, miasta opustoszały, technologia zamilkła. Zostały tylko resztki dawnej cywilizacji: martwe urządzenia, porzucone budynki, strzępy historii, która coraz bardziej zaciera się w pamięci tych, którzy ocaleli. Przez tę nową, cichą rzeczywistość wędruje grupa aktorów i muzyków, wystawiająca Szekspira.

Po co? To chyba najważniejsze pytanie „Stacji jedenastej", świetnie przyjętej powieści wydanej w 2014 r., która zyskała nowe życie, gdy nasz świat wywróciła pandemia. Odpowiedź na nie powtarza się niczym refren – i to nie tylko w tej powieści – bo przetrwać to za mało.

Powieści o gatunkach

Jej autorka, Emily St. John Mandel, urodziła się w 1979 r. w Kolumbii Brytyjskiej. Dorastała na odludziu wyspy Vancouver, potem przez wiele lat mieszkała w Nowym Jorku. Zanim została pisarką, studiowała taniec współczesny. I może właśnie stąd ten rytm, wyczucie struktury, precyzyjne kompozycje fabularne, które mają w sobie coś z choreografii.

Debiutowała w 2009 r. powieścią *noir* „Last Night in Montreal", potem były kolejne książki – równie sprawne, ale niemal niezauważone przez krytykę (i czytelników). Przełom nastąpił dopiero wraz ze „Stacją jedenastą" właśnie, która sprzedała się w przeszło milionowym nakładzie, zdobyła najważniejsze nagrody gatunkowe (m.in. Arthur C. Clarke Award), była także nominowana do National Book Award. To z pewnością dało Mandel pewność siebie, niezbędną do dalszych literackich eksperymentów.

Powieści Mandel tworzą literackie uniwersum – gęste, misternie splecione, złożone z przenikających się światów, lustrzanych odbić, powracających motywów. „Stacja jedenasta" i kolejne jej książki, „Szklany hotel" (2020) i „Morze spokoju" (2022), są połączone. Co w jednej powieści jest wspomnieniem, w drugiej stanie się osią fabuły. Mandel nie szuka prostych sensów ani jednoznacznych rozwiązań. Raczej otwiera przed czytelnikiem labirynt – pełen znaków, tropów, ale też ślepych zaułków, po którym można błądzić bez końca.

Pisze odważnie i po swojemu. Swobodnie żongluje konwencjami: *science fiction*, wielka realistyczna panorama społeczna, powieść psychologiczna, thriller. Tworzy nie tyle powieści gatunkowe, co powieści o gatunkach – eksploruje możliwości, jakie dają. Zaciera granice, które dla wielu krytyków wciąż wydają się ważne, bo oddzielają prawdziwą literaturę od tej niepoważnej, rozrywkowej. Choć w ciągu ostatnich 15 lat wiele się zmieniło, te rozróżnienia, niestety, wciąż tu i ówdzie obowiązują.

Muzeum i performance

Wędrowna Symfonia ze „Stacji jedenastej" to grupa artystów, która po załamaniu się cywilizacji, jaką znamy, przemierza ocalałe skrawki Ameryki. Grają Szekspira w ruinach szkół, na prowizorycznych scenach, w maleńkich miasteczkach.

Można się zastanawiać, co „Hamlet" albo „Burza" znaczą dla ludzi, którzy byli dziećmi, gdy świat się skończył. Albo dla tych, którzy urodzili się już po wszystkim. Pytanie można zadać jednak inaczej – przecież my też żyjemy 500 lat po Szekspirze, a po drodze wydarzyła się niejedna apokalipsa. Co zatem z niego zrozumiemy?

Światy w powieściach **EMILY ST. JOHN MANDEL** często się rozpadają – nagle, bez ostrzeżenia, bez wyjaśnienia. Ale potem, wbrew logice i oczekiwaniom, coś jednak trwa dalej: wspomnienie, sztuka, miłość, złudzenie. Jej bohaterowie poruszają się wśród ruin – cywilizacji, związków, rzeczywistości – próbując odnaleźć sens tam, gdzie wszystko wydaje się niepewne. Mandel nie szuka pocieszenia, ale też nie pogrąża się w rozpaczy. Podczas spotkania z autorką będziemy rozmawiać o tym, gdzie szukać nadziei, gdy wszystko się kończy – i dlaczego tak bardzo potrzebujemy do tego wszystkich możliwych języków sztuki.

Mandel słusznie zauważa, że sens nie jest przechowywany w samym tekście – rodzi się każdorazowo, gdy jest czytany czy odgrywany. Bo nie same artefakty kultury są nam potrzebne, nie to – potrzebne jest ich ciągłe przeżywanie i interpretowanie. To dlatego Symfonia podróżuje.

Jednym z ważnych miejsc na postapokaliptycznej mapie tego kawałka świata jest Muzeum Cywilizacji, dawne prowincjonalne lotnisko. To przestrzeń porządku i konserwacji, gdzie archiwizuje się przedmioty sprzed katastrofy: telefony, laptopy, karty z restauracyjnym menu. Tam wszystko jest eksponatem, czyli odwrotnie niż u Wędrownej Symfonii, gdzie kluczowy jest ruch i działanie. W pewnym sensie to dwa bieguny tego samego zjawiska. Napięcie między nimi wydaje się kluczowe: pomiędzy pamięcią jako kolekcją a pamięcią jako praktyką.

Serialowa adaptacja „Stacji jedenastej" rozwija ten wątek (a autorka powieści przyjmowała te zmiany z dużym entuzjazmem). To, co u Mandel było tylko zarysowane, filmowcy pokazują wyraźnie: muzeum i teatr, archiwum i performance nie wykluczają się, lecz potrzebują siebie nawzajem. Tylko tak może narodzić się prawdziwa wspólnota.

Sztuka u Mandel to nie luksus ani dekoracja. To sposób trwania. Próba nadania sensu sytuacjom, które sensu nie mają – jak nagła śmierć czy pandemia, koniec znanego świata. To też bodaj najbardziej poruszająca cecha jej pisarstwa: czułość dla powtarzalności. Dla rytuału i gestu, które powracają nie dlatego, że mamy nadzieję na zmianę, ale dlatego, że nie mamy nic innego.

To dlatego u Mandel scena teatralna może zaistnieć wszędzie – nie tylko na prowizorycznej estradzie, ale także w ruinach podmiejskiego magazynu, na stacji benzynowej, w kuchni zdewastowanego mieszkania. W tej przestrzeni codzienne słowa da się zastąpić cytatami z odległej przeszłości. Dzięki temu nie tyle przywraca się do życia rzeczy minione, co raczej zyskuje się tak zbawienną ramę dla nowej rzeczywistości. To w istocie mechanizm uniwersalny, który apokalipsa jedynie podkreśla.

Czy to symulacja?

Inne pytanie, które powraca u Mandel – czy to wydarzyło się naprawdę? Pojawia się w snach, we wspomnieniach, w niejasnych domysłach, a czasem wprost, jako problem, z którym mierzą się bohaterowie. W „Morzu spokoju" staje się główną osią fabuły: świat, w którym żyją postacie, może być tylko symulacją – starannie zaprojektowanym eksperymentem, sterowanym z zewnątrz. Przez większość książki ta możliwość wisi w powietrzu. Bohaterowie z tego powodu najpierw odczuwają niepokój, potem popadają w obsesję, ale ostatecznie... wzruszają ramionami. „A jeśli to prawda? – pytają – czy to coś zmienia?".

To pytanie nie dotyczy tylko światów fantastycznych. W „Szklanym hotelu" Mandel buduje pozornie realistyczną opowieść psychologiczną, ale pod powierzchnią coś się nie zgadza. Granice między tym, co realne, a tym, co wyobrażone, zaczynają się zacierać. Postacie znikają, by wracać w innych wersjach, a czas nie biegnie liniowo.

Osią fabularną jest upadek wielkiej piramidy finansowej w czasie kryzysu gospodarczego w 2008 r. Jednak nie chodzi wyłącznie o pieniądze – tu wszystko budowane jest, warstwa po warstwie, na fantazjach, złudzeniach i kłamstwach. Nie wiadomo, co było prawdą, a co tylko maskującą ułudę opowieścią.

Mandel tworzy świat, w którym nie da się już oddzielić rzeczywistości od fikcji. A może po prostu – nie ma to już znaczenia. Liczy się raczej to, że opowieść ↦

↦ pomaga bohaterom trwać i zrozumieć własne doświadczenia. Powracają więc problemy Szekspirowskie: czy życie naśladuje sztukę, czy raczej sztuka życie? Mandel zdaje się znów sugerować, że jedno bez drugiego nie istnieje. Albo, radykalniej, że to fundamentalne pytanie metafizyczne o pierwszeństwo kury nad jajkiem (albo odwrotnie) nie ma większego sensu.

Urodzeni po końcu

Mandel często mówi w wywiadach, że postrzega siebie jako pisarkę pokolenia milenialsów. I rzeczywiście – w jej książkach wyraźnie czuć, że pokolenie to nie tylko kategoria społeczna czy historyczna, ale też sposób myślenia i przeżywania świata. Pokoleniowość to zawsze jakiś rodzaj zerwania – z tym, co było wcześniej, z tym, co przekazywane wewnątrz rodziny, ale też poprzez kulturę.

Żeby się porozumieć międzypokoleniowo, trzeba te więzi nieustannie odbudowywać. To zjawisko znane od wieków, ale milenialsi przeżywają je wyjątkowo intensywnie. Lubimy mówić o pokoleniach i autor tego tekstu nie jest wyjątkiem. Ale poważnie – ma to bardzo konkretne uzasadnienie. Milenialsi właśnie wchodzą w pełną dorosłość. Sami są już rodzicami albo obserwują, jak zostają nimi ich znajomi. Dlatego pojawia się pytanie: jak wychować dzieci w świecie, który za chwilę może spłonąć? Jak przygotować kolejne pokolenie na coś, czego nawet nie umiemy sobie jeszcze wyobrazić?

U Mandel to napięcie pokoleniowe widać wyraźnie. Oczywiście najbardziej w „Stacji jedenastej", gdzie populacje dzieli ostre cięcie: na tych, którzy pamiętają czasy sprzed pandemii, i tych, którzy urodzili się już w nowym świecie. To podział nie do zasypania. Dla starszych smartfon, samolot czy Szekspir na teatralnej scenie to konkretne wspomnienia. Dla młodszych – przestrzeń mitu. Powieściowi milenialsi znajdują się dokładnie w pół drogi. I chociaż wszyscy zamieszkują tę samą rzeczywistość, żyją w zupełnie różnych światach.

A jednak coś ich łączy. U Mandel to właśnie sztuka staje się przestrzenią spotkania. Wędrowna Symfonia gra „Hamleta" zarówno dla tych, którzy znają tekst na pamięć, jak i dla tych, którzy słyszą go po raz pierwszy. Każdy odbiera go inaczej – ale przecież zawsze tak było. Sens nigdy nie był jeden, a teatr nigdy nie służył tylko do opowiadania przeszłości.

U Mandel scena staje się miejscem porozumienia mimo różnic – chwilowym mostem między pamięcią a niewiedzą, między tymi, którzy coś utracili, a tymi, którzy nigdy tego nie mieli. To dlatego kultura ma u niej taką siłę – nie służy temu, by coś zachować, lecz by coś poruszyć. To wspólne doświadczenie, które pozwala nie tylko przetrwać, ale by zacząć od nowa.

Mimo wszystko

Świat u Mandel nigdy nie kończy się raz na zawsze. Raczej nieustannie się rozpada – kawałek po kawałku, w różnych miejscach, w różnych czasach. To rzeczywistość, w której nie działa już prosty ciąg przyczyn i skutków – ani w czasie, ani w pamięci, ani w tożsamości. Wszystko jest rozgałęzione, alternatywne, popękane. Bohaterowie kanadyjskiej pisarki nie tyle próbują przetrwać, co nauczyć się żyć od nowa – nie pomimo katastrofy, lecz dzięki niej i razem z nią. Nie ma już powrotu do dawnego porządku, ale wciąż można coś zbudować.

Jej powieści nie są fantazją o przemocy i rozpadzie – jak to zwykle bywa w tego typu fabułach. Przeciwnie, to raczej propozycja nowej formy wspólnoty. Przeszłość przestaje być zasobem, a staje się materiałem do przepracowania. A przyszłość nie jest całkowicie (pesymistycznie) zdeterminowana. Właśnie w tym zawieszeniu, w tej niepewności, kryje się nadzieja radykalna – nie ta, która wierzy, że wszystko się ułoży, ale ta, która skłania do działania mimo wszystko.

Mandel mówi: jeśli mamy zacząć od nowa, nie zaczynajmy tak samo. I choć nie daje instrukcji, zostawia coś więcej – mapę możliwych dróg. Niekiedy urwanych, niekiedy mylących, ale jednak dokądś prowadzących.

©℗ MICHAŁ SOWIŃSKI

Zabieranie głosu

DOROTA MALINA

Kamel Daoud znalazł dom w języku francuskim. Z powodu prześladowań przeniósł się do Paryża, choć czuje się Algierczykiem i krytykuje kolonializm. Docenia jednak, że Francja dała mu wolność – w ojczyźnie jego powieść „Hurysa" nie mogłaby się ukazać.

W tym roku Złotą Palmę w Cannes otrzymał irański dysydent Jafar Panahi, który za wolność twórczą nieraz płacił własną wolnością. Tego typu werdykty zawsze są trochę podejrzane – czy film „Un simple accident" faktycznie jest tak dobry? Czy to raczej polityczny gest, bo w dobie wojen i prześladowań nie wypada nagradzać filmów o kryzysie egzystencjalnym sytych, białych Europejczyków?

Nagroda

Podobne głosy pojawiły się przy okazji ostatnich Goncourtów. W 2024 r. Akademia uhonorowała Kamela Daouda, obłożonego fatwą zaciekłego krytyka algierskiego islamizmu. W recenzjach nagrodzonej „Hurysy" (w polskim przekładzie autorstwa Oskara Hedemanna ukaże się jesienią nakładem wydawnictwa Art-Rage) przewijają się dwa przymiotniki – „odważna" i „pompatyczna". Autor narażający się na gniew reżimu zasługuje na najwyższą pochwałę – o tym, że z rządem w Algierze nie ma żartów, przekonaliśmy się już kilkanaście dni po sukcesie Daouda.

16 listopada 2024 r. do więzienia trafił jego kolega po piórze Boualem Sansal. I do dziś z niego nie wyszedł. W marcu 2025 r. skazano go na pięć lat za to, że „naruszył integralność terytorialną

ERIC FOUGERE / GETTY IMAGES

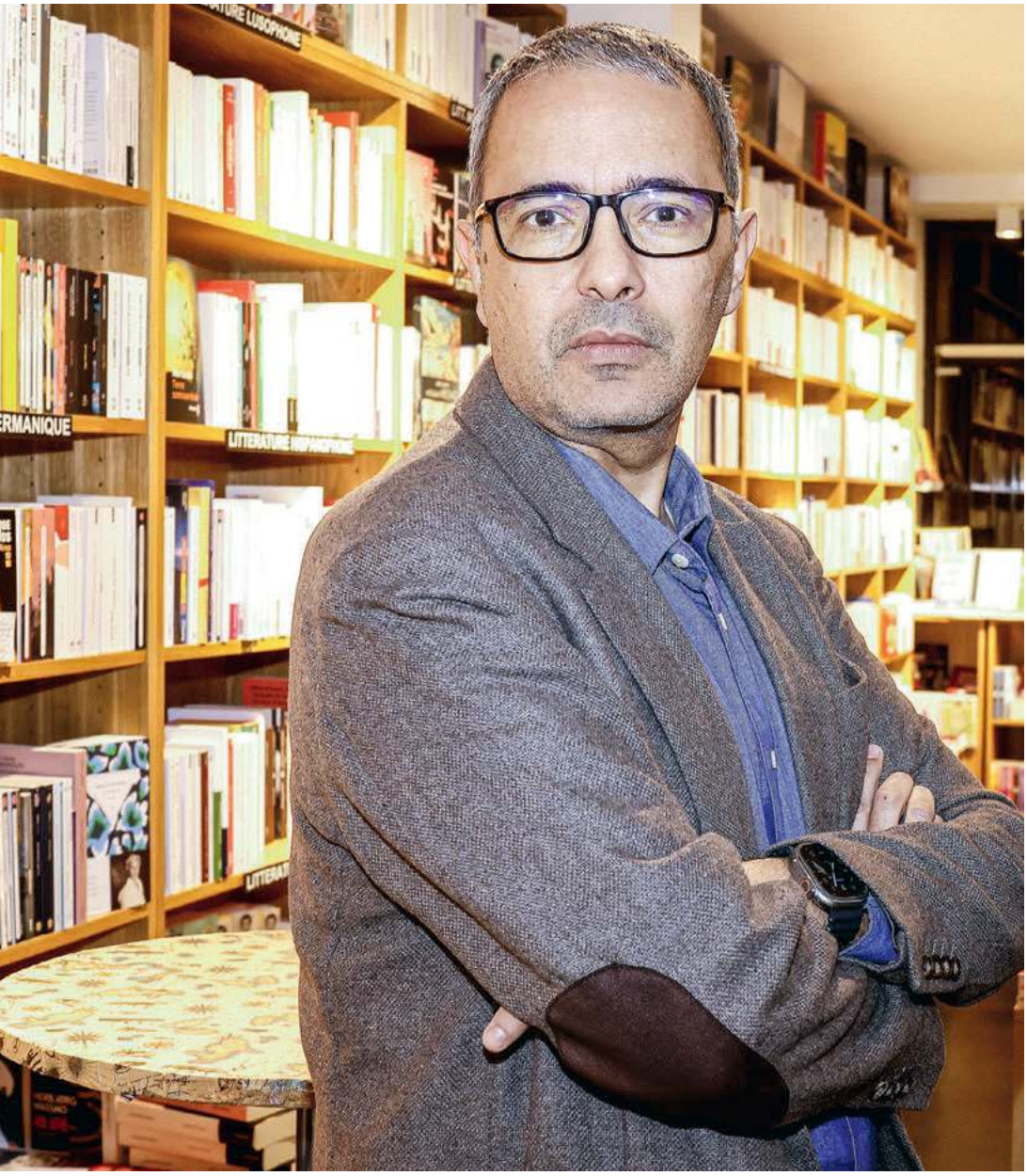

KAMEL DAOUD (ur. 1970) – algierski pisarz i publicysta francuskojęzyczny. W początkach kariery publikował zbiory opowiadań i krótkie formy, m.in. „La Fable du nain" (2003), „Ô Pharaon" (2004) oraz „La Préface du nègre" (2008). Jego przełomową powieścią była „Meursault, contre-enquête" (2013; pol. „Sprawa Meursaulta", tłum. Krzysztof Jarosz, wydawnictwo Karakter) – pomyślana jako polemiczna odpowiedź na „Obcego" Camusa. Za debiut ten otrzymał Nagrodę Goncourtów (w kategorii debiuty), a także nagrody François Mauriaca i Pięciu Kontynentów. Książka wywołała kontrowersje – Daoud został oskarżony o bluźnierstwo przez kręgi islamistyczne. Kolejne jego powieści to „Zabor ou Les psaumes" (2017) i „Houris" (2024); ta ostatnia podejmuje temat tzw. „czarnej dekady" algierskiej wojny domowej (1992–2002) i przyniosła autorowi Nagrodę Goncourtów (2024), czyniąc go pierwszym Algierczykiem uhonorowanym tym najwyższym francuskim laurem. „Hurysa" ukaże się jesienią w polskim przekładzie autorstwa Oskara Hedemanna nakładem wydawnictwa ArtRage. Na zdjęciu w jednej z paryskich księgarń. Francja, 2 maja 2025 r.

kraju". A wszystko dlatego, że w wywiadzie dla prawicowego francuskiego pisma „Frontières" opowiedział się po stronie Maroka, twierdząc, że władze kolonialnej Francji niesłusznie „odcięły" kawałek jego terytorium i przyłączyły go do Algierii. Sansal stał się symbolem walki o wolność słowa. A jego losy przestrogą dla tych, którzy chcą zadzierać z reżimem.

Daoudowi należy się więc medal za odwagę, ale „Hurysa", no cóż – recenzenci wyrokują, że jest przyciężkawa... Za dużo metafor, nadmierny akademizm, pompatyczny styl. Powieść, ich zdaniem, jest dużo słabsza od chwalonej i nagradzanej „Sprawy Mersaulta". Poza tym święte (a raczej świeckie) oburzenie autora i tak nie trafi do tych, do których jest kierowane. Jak stwierdził krytyk i pisarz Laurent Chalumeau: „Nie sądzę, żeby jego książka spędzała dyktatorom sen z powiek. Wręcz przeciwnie, jeśli w ogóle ją przeczytają, najprawdopodobniej ich uśpi".

Krytyka laureata Goncourtów to już we Francji uświęcona tradycja: Annie Ernaux rzekomo pisze nudno i płasko, Brigitte Giraud „nie ma stylu", a Jean Baptiste-Andrea szafuje kliszą i ślizga się po powierzchni. A Daoud? Przesadza z tym gniewem, za bardzo komplikuje narrację, a przyznana mu nagroda jest warunkowana czysto politycznie.

Nie rozstrzygając – bo o gustach się nie dyskutuje, a, jak pisała poetka, „wszystkie twoje, nasze, wasze / dzienne sprawy, nocne sprawy / to są sprawy polityczne" – jednego Daoudowi nie można odmówić. Wiary w moc literatury. W czasach, kiedy książki są staroświeckie jak przecinki, literatura podporządkowana jest logice rynku, a ważkie tematy omawia się w rolkach na Instagramie, on wierzy, że książki mogą zmieniać świat. I już za to zasługuje na największe laury.

Dzieciństwo

Książki na pewno zmieniły jego życie. Urodził się w 1970 r. w prowincji Mustaghanim, w północno-zachodniej Algierii. ↦

↦ Jego rodzina była liczna i niezbyt zamożna. Ojciec służył w żandarmerii, często zmieniał posterunki, więc rodzice oddali Kamela i jego młodszą siostrę na wychowanie dziadkom, żeby oszczędzić im ciągłych zmian szkół.

W prestiżowej audycji „À voix nue", w której „ważnym osobistościom naszych czasów" stacja France Culture pozwala przez dwie i pół godziny (pięć półgodzinnych odcinków) snuć refleksje o życiu, pisarz opowiadał o swoich początkach. Mosra, gdzie dorastał, była tradycyjną osadą, w której nadal zachowała się kultura plemienna. Dziadkowie byli łagodni i serdeczni, ale mały Kamel bardzo się nudził.

Co na prowincji ma robić chłopak, który nie lubi grać w piłkę? Czytać, rzecz jasna. To w rodzinnej wiosce Daoud złapał bakcyla literatury. O książki nie było łatwo (w domu czytać potrafił tylko ojciec, poziom analfabetyzmu w Algierii nadal był wysoki), ale dla chcącego nic trudnego – Kamel chodził po sąsiadach, zapisał się do wiejskiej biblioteki, jeździł po lektury do najbliższego dużego miasta.

Czytał po arabsku, którego nauczył się w szkole, i po francusku, który opanował sam, dzięki determinacji i słownikowi, kupionemu przez ojca za ciężkie pieniądze. Chłonął wszystko, co wpadło mu w ręce: Steinbeck po arabsku, arabska klasyka we francuskich przekładach. Na tym etapie, jak mówi, język był mu jeszcze obojętny. Ważne było, żeby czytać, dużo czytać.

Korzystał z tego, że nikt nie kontrolował jego lektur (no bo kto miałby to robić? niepiśmienni dziadkowie?). W wywiadach wspomina o wczesnych fascynacjach literaturą przygodową, zwłaszcza Juliuszem Verne'em, Danielem Defoe, Michelem Tournierem. Czytał też książki „niegrzeczne": Henry'ego Millera, markiza de Sade'a. W ten sposób przezwyciężał socjalistyczny purytanizm epoki i rodzinno-wioskowy konserwatyzm. W wieku 18 lat ostatecznie porzucił religię.

Dziennikarstwo i debiut

Literatura, jak w przypadku Annie Ernaux, zapewniła mu awans społeczny – pierwszy z rodziny poszedł na studia. I choć maturę zdawał z nauk ścisłych, potem wybrał literaturę francuską na uniwersytecie w Oranie.

> Francuskie centrum jest blade, syte i zmęczone jak bohaterowie Houellebecqa. A ożywcze soki płyną z peryferii: z prowincji, z niższych warstw społecznych, no i z byłych kolonii.

Jako młody absolwent zaczyna pracę we francuskojęzycznym „Le Quotidien d'Oran", gdzie wspina się po szczeblach kariery – najpierw dostaje swoją rubrykę, potem nominację na redaktora naczelnego. Współpracuje też z innymi mediami, również we Francji. Otwarcie krytykuje korupcję, zaniedbania i hipokryzję reżimu, co sprowadza na niego pogróżki, a w 2014 r. fatwę.

Po niemal dekadzie dziennikarstwa zaczyna przygodę z literaturą. Wydaje powieść fantastyczną „La Fable du nain" (2002) oraz zbiór opowiadań „Minotaure 504" (2011). Ponieważ jednak powieść ukazała się tylko w Algierii, a opowiadania nie kwalifikują się do Goncourtów, Francuzi za „prawdziwy debiut" uznali „Sprawę Mersaulta". I nagrodzili ją Goncourtem dla debiutów.

„Sprawa Mersaulta" to rozprawa z „Obcym" Camusa. Monolog Haruna, brata zamordowanego przez tytułowego bohatera Musy, stanowi postkolonialną reinterpretację historii – przepisanie jej z algierskiego punktu widzenia. Daoud zwraca uwagę, że od dekad niemal bezkrytycznie zachwycamy się dziełem, w którym zamordowanie bezimiennego Araba jest mniejszą zbrodnią niż obojętność na śmierć własnej matki: „Zanim opowiem ci tę historię, krótkie streszczenie: mężczyzna, który umie pisać, zabija Araba, który tego dnia nie ma nawet imienia – jakby zawiesił je na gwoździu przed wejściem na scenę – po czym zaczyna tłumaczyć, że to przez Boga, który nie istnieje, przez to, co właśnie zrozumiał w słońcu, oraz dlatego, że sól morska szczypała go w oczy [...] To proste: ta historia powinna zostać przepisana, w tym samym języku, ale od prawej strony do lewej. Czyli zaczynając od ciała, jeszcze żywego, przez uliczki, które zawiodły go na sam kres, poprzez imię Araba, aż do jego spotkania z kulą".

Jak pisała już w „Tygodniku" Olga Stanisławska w przenikliwym szkicu „Bolesny splot": [dodatek „Conrad", TP nr 42/2015 – red.] „Oto Meursault głębiej naruszył reguły społecznej gry idąc do kina dzień po pogrzebie matki, niźli ładując pięć kul w nieznajomego Araba".

Nie oznacza to jednak, że Daoud neguje literackie walory dzieł Camusa. Polemika jest swoistym hołdem dla wybitnego pisarza, którego styl i talent Algierczyk podziwia. Autor „Obcego" i „Upadku" jest dla niego wzorem maestrii języka francuskiego, który ostatecznie również obrał jako swój.

Język

Na tym właśnie polega bolesny splot, który analizuje Stanisławska. Daoud krytykuje kolonialną Francję w języku kolonizatora. Miał do wyboru jeszcze literacki arabski i dialektalny algierski. Ten ostatni wykluczył: „Na to nie ma rynku. Klasyczny język arabski spycha algierski do roli języka-bękarta, języka drugorzędnego. Algierski to przede wszystkim język mówiony" – powiedział w wywiadzie Krzysztofowi Umińskiemu.

Klasyczny arabski, piękny i dźwięczny, został zaprzęgnięty przez reżimową propagandę i stał się wektorem historii, którą Daoud odrzuca. To francuski, paradoksalnie, okazał się dla niego językiem wyzwolenia: „stał się ucieleśnieniem przyjemności, pożądania i ukochanych opowieści".

Znalazł więc dom w języku francuskim, we Francji, gdzie od 2023 r. mieszka. W obliczu rosnącego zagrożenia ze strony władz algierskich przeniósł się z rodziną do Paryża. Oficjalnie nie ma statusu uchodźcy, bo w 2020 r., w uznaniu dla literackich osiągnięć, dostał od prezydenta Macrona obywatelstwo. Nie ubiegał się o nie, ale je przyjął, jak Apollinaire, „z konieczności". Nadal czuje się Algierczykiem i pozostaje krytyczny wobec kolonializmu, ale docenia, że Francja dała mu ochronę, pracę (wykłada w nowo utworzonej katedrze pisania na Sciences Po) oraz twórczą swobodę.

Skwapliwie z niej skorzystał, bo książka taka jak „Hurysa" nie mogłaby ukazać się w Algierii. Jej główna bohaterka, Aube, jest bowiem ofiarą krwawej wojny domowej, w której straciła całą

rodzinę, struny głosowe i wiarę w przyszłość. W gorzkim monologu wewnętrznym (skierowanym do nienarodzonej, noszonej w brzuchu córki) opisuje okrucieństwa konfliktu, który w latach 1992-2002 toczył się w Algierii. I o którym, pod karą więzienia, nie można wspominać.

W ramach „narodowego pojednania" zakazano mówienia o wojnie (cytat z kneblującego wolność słowa artykułu 46 Karty Pokoju i Narodowego Pojednania Daoud zamieszcza jako motto książki), stąd okres ten nazywa się czarną dekadą. Daoud, głosami Aube i drugiej narratorki, Aissy, wyciąga zbrodnie na światło dzienne i pozwala mówić tym, których reżim ucisza.

Książka o wojnie i o miejscu kobiet w islamie, która we Francji święci najwyższe triumfy (nad Goncourtami jest już tylko Nobel), w Algierii dostępna jest wyłącznie na czarnym rynku. Francuski wydawca Daouda, Gallimard, został nawet za karę wykluczony z udziału w międzynarodowych targach książki w Algierze.

Kontrowersje

Pisarz, który – jak Salman Rushdie – ryzykuje życie dla swojej twórczości. Odważny krytyk bigoterii i fundamentalizmu. Obrońca praw kobiet i gniewny Antygon, który nie godzi się na niesprawiedliwe prawo. Owszem.

Na pancerzu moralnej doskonałości jest jednak kilka rys, a Daoud nie raz musiał stawiać się w sądach. Oczywiście należy zaznaczyć, że rzetelność algierskich trybunałów wobec zażartego krytyka reżimu jest mocno problematyczna. A sprawy, przynajmniej ta najbardziej skandaliczna, nadal się toczą. Ponadto zdaniem niektórych moralna reputacja twórcy nie powinna wpływać na ocenę dzieła – Roland Barthes uśmiercił pisarza jako instancję sensotwórczą, postulując odczytanie tekstów abstrahujące od biografii autora.

W przypadku Daouda, który żyje i walczy literaturą, trudno jednak to zrobić, więc z kronikarskiego obowiązku trzeba wspomnieć, że w 2019 r. został skazany w Algierii na grzywnę i trzy miesiące więzienia w zawieszeniu za przemoc wobec swojej pierwszej żony, Nadjet. Pisarz twierdzi, że jest niewinny.

Kolejny skandal wiąże się z jego drugą żoną, psychiatrką i terapeutką Aïchą Dahdouh oraz jej pacjentką Saâdą Arbane, ofiarą wojny domowej. Trzydziestodwuletnia dziś Algierka w dzieciństwie straciła niemal całą rodzinę i głos, bo islamski terrorysta próbował podciąć jej gardło. Kobieta oddycha przez rurkę tracheostomijną i mówi przez wkład fonacyjny. O swoich traumach opowiedziała lekarce, z którą przez lata bardzo się zaprzyjaźniła. A Dahdouh, naruszając tajemnicę lekarską i zaufanie przyjaciółki, rzekomo miała przekazać historię mężowi, który opisał ją w książce. Saâda Arbane wymienia liczne podobieństwa między historią Aube a swoją: są to nie tylko charakterystyczna blizna i okaleczenie, lecz także niechciana ciąża czy odszkodowanie od państwa.

Pisarz, który chce dawać głos tym, którzy go nie mają, miał przywłaszczyć sobie jej historię. Arbane pozwała go do sądu. Ze względu na różnice w systemach prawnych oraz podwójne obywatelstwo oskarżonego procesy toczą się równocześnie w Algierii i we Francji. W Algierii powódka zarzuca autorowi i jego żonie złamanie tajemnicy lekarskiej oraz ustawy o pojednaniu narodowym, we Francji domaga się dwustu tysięcy euro odszkodowania od Daouda i wydawnictwa Gallimard za naruszenie prywatności i dóbr osobistych. Autor wypiera się zarzutów, twierdząc, że historię wymyślił sam, a Arbane nasłał na niego reżim.

Peryferia

No dobrze, zapyta ktoś, ale co nas to wszystko obchodzi? Co nam do wojny domowej w Algierii czy postkolonialnych rozliczeń? My, w Polsce, mamy swoje problemy. A jak już sięgamy po literaturę francuską, to chcemy raczej paryskiej finezji czy kartezjańskiej refleksji o naturze istnienia. Taka literatura ma nawet swoją przydawkę: *germanopratine*, czyli „pochodząca z dzielnicy Saint-Germain-des-Prés". To tam, w centrum Paryża, zawsze biło serce wielkiej literatury: kawiarnie literackie, salony, siedziby wydawnictw.

Dziś jednak zaczynamy zdawać sobie sprawę, że centrum jest blade, syte i zmęczone jak bohaterowie Houellebecqa. A ożywcze soki płyną z peryferii: z prowincji (we Francji wszystko oprócz Paryża to *province*), z niższych warstw społecznych, no i z byłych kolonii, które wprowadzają nowy idiom. To one ożywiają skostniałą francuszczyznę. To frankofonii zawdzięczamy wspaniałe głosy z Konga, Maroka czy Algierii. A relacje centrum–peryferia, kolonizator–kolonizowany, służący–pan są dla nas, Polaków, potencjalnie ciekawsze niż rozterki burżujek na szezlongach (nic nie ujmując pani Bovary).

„Zastanawiam się nad tym, jakich autorów czy głosów brakuje – Małgorzata Szczurek, która przetłumaczyła i wydała „Sprawę Mersaulta", opowiada o tym, czym kieruje się, wybierając pozycje do katalogu współprowadzonego przez siebie Karakteru. – Najważniejsze jest dla mnie kryterium istotności: czy ta książka jest potrzebna, zmienia coś w naszym rozumieniu, odpowiada na jakieś ważne pytania, otwiera na coś nowego? Zależy mi na tym, by książki komentowały rzeczywistość, by odnosiły się w jakiś sposób do tego, co dzieje się wokół nas, by poszerzały horyzont".

A głosu kogoś, kto – dzięki książkom – z domu niepiśmiennych dziadków w małej arabskiej wiosce dotarł na literacki parnas, na pewno warto słuchać. Przecież ryzykuje życie. Nawet jeśli jego powieści czasem wydają się zbyt mroczne, trudne, za bardzo polityczne, warto go czytać. I razem z nim wierzyć, że literatura daje nadzieję na lepszy świat. © DOROTA MALINA

W „Sprawie Meursaulta" **KAMEL DAOUD** przywrócił głos człowiekowi, którego Camus w „Obcym" pozostawił bez imienia. Opowiedział znaną historię z drugiej strony – z perspektywy Algierczyków, których milczenie przez lata było częścią kolonialnej narracji. Jego powieść stała się literackim manifestem: o potrzebie pamięci, sprawiedliwości i godności.
W najnowszej książce Daoud oddaje głos kobiecie, która przetrwała wojnę domową. Aube, która w wyniku okaleczenia straciła głos, prowadzi wewnętrzny monolog, który staje się zapisem walki o wolność i pamięć. To historia o milczeniu, które nie oznacza zgody.
Jesienią na Festiwalu porozmawiamy z autorem o tym, jak literatura potrafi nazywać to, co wyparte. O oporze i nadziei. O tym, co się dzieje, gdy ci, którzy byli niewidzialni, zaczynają mówić.

Nie jesteśmy szczęśliwi

VINCENZO LATRONICO, PISARZ:

Do prawdziwej wspólnoty trudno wejść, ale też trudno ją opuścić. To cecha nieco konserwatywna – podobnie jest w przypadku religii czy partii. Dlatego kiedy już do niej należysz, chcesz ją zmieniać.

KRZYSZTOF KATKOWSKI: Twoja książka „Do perfekcji" nazywana bywa hipsterskim manifestem. Co Ty na to?

VINCENZO LATRONICO: Przesada. Nie ta forma – to przede wszystkim powieść, a nie manifest.

Jednak opisujesz bardzo szczegółowo tę formę życia.

Zróbmy więc krok wstecz: termin „hipster", w każdym jego użyciu, klasyfikuje ludzi na podstawie ich nawyków konsumpcyjnych – tego, co kupują, jak się prezentują. W książce próbuję przyjrzeć się przyczynom i skutkom tych nawyków – temu, jak kształtują życie wewnętrzne człowieka i jego miejsce w świecie. Ale nie nazwałbym tego manifestem, bo bohaterowie są wyraźnie nieszczęśliwi – chyba nikt nie chciałby być na ich miejscu.

Twoja książka przypomina „Rzeczy" Pereca – ten sam dystans do życia w relacjach międzyludzkich, ale też ten sam zwrot ku przedmiotom. Prowokacja, pozwalająca lepiej opisać świat konsumpcjonizmu.

Moja książka wiernie podąża za tamtą strukturą. Otwiera ją szczegółowy opis mieszkania, zawiera też rozdział o zaangażowaniu politycznym pary – w przypadku Pereca to była wojna w Algierii, u mnie to kryzys migracyjny. Więc tak, to bardzo bliska przeróbka.

Dlaczego akurat „Rzeczy"?

Są dwa powody. Po pierwsze, przez lata próbowałem – i nie udawało mi się – napisać książkę o tym, jak internet zmienia nasze życie wewnętrzne: jak kształtuje naszą samoświadomość, nasze poczucie tożsamości. To bardzo trudne, bo w powieściach takie rzeczy zazwyczaj dzieją się w tle. Główna fabuła dotyczy tego, co robią bohaterowie, a nie tego, jak formuje się ich świadomość. Więc moje próby kończyły się na historiach skoncentrowanych na technologii – z hakerami i programistami – czego nie chciałem. Albo na czymś zupełnie niepowiązanym, gdzie nie potrafiłem wyrazić tego, co naprawdę mnie obchodziło. Uświadomiłem sobie, że typowa struktura powieści – sceny, dialogi, działania – po prostu się nie nadaje. Chciałem opowieści złożonej wyłącznie z tła. Gdy przeczytałem „Rzeczy", pomyślałem: to właśnie tak trzeba zrobić. Ta książka wskazała mi drogę...

A drugi powód?

Bardziej praktyczny. Przechodziłem trudny okres – lockdown, frustracja, blokada twórcza. Przez lata nie byłem w stanie niczego ukończyć. Powiedziałem więc sobie: to będzie tylko taka mała zabawa, żeby mieć czym się zająć – *remake* książki Pereca, żeby pozostać twórczym. To pomogło mi przezwyciężyć niepewność i ostatecznie dokończyć książkę.

Twoja wcześniejsza powieść, „Ginnastica e rivoluzione" z 2008 r., opowiadała o szczycie G8 w Genui – wydarzenia, które w naszej grupie społecznej miało duże znaczenie. Wielu moich znajomych wtedy protestowało, niektórzy zostali aresztowani. Formacyjne doświadczenie.

Zdecydowanie, choć sam nie mogłem wtedy pojechać do Genui – miałem 17 lat i rodzice mi nie pozwolili. Ale wielu moich znajomych tam było, niektórzy zostali pobici przez policję.

Tak, wszystkie moje książki miały silny impuls polityczny. To dlatego moja druga powieść, „La cospirazione delle colombe", dotyczyła gentryfikacji jednej z dzielnic Mediolanu – dzielnicy, w której teraz mieszkam, choć się tam nie wychowałem. „Do perfekcji" też jest polityczna – ale raczej w sposób negatywny. Opowiada o tym, co się dzieje, gdy życie traci wymiar polityczny i wspólnotowy.

Serio? „Do perfekcji" jest dla mnie książką całkowicie apolityczną. To w niej najbardziej przerażające, ale i cenne.

Tak, to raczej zbiór rzeczy, obrazów, a nie relacji. Przede wszystkim mam poczucie, że zaangażowanie polityczne jest w moim pokoleniu o wiele rzadsze niż 20 lat temu. Jest wiele powodów – jednym z nich jest zagubienie się w internecie, innym porażka ruchów, które osiągnęły apogeum właśnie podczas szczytu G8 w Genui. To wydarzenie pokazało, że pewien sposób uprawiania polityki się nie sprawdził. Mam wrażenie, że w międzyczasie nasze pokolenie wycofało się do sfery prywatnej. Ale czuję równocześnie, że młodsi ludzie – ci dzisiejsi dwudziesto- i nastolatkowie – są na swój sposób nawet bardziej zaangażowani politycznie, np. w ruchy klimatyczne. Tego nie widzieliśmy 10 lat temu – więc to dobry znak.

Ja to wycofanie określiłbym raczej jako ucieczkę, a może nawet dekadencję, typową dla epoki schyłkowej.

Nie nazwałbym tego dekadencją, ale wiem, co masz na myśli. Anna i Tom, główni bohaterowie mojej książki, nie są szczególnie bogaci ani ekstrawaganccy. To ja byłem bardziej „dekadencki" – mieszkałem w Berlinie, brałem narkotyki, chodziłem na rave'y... Uszkodziłem sobie słuch. Oni mają schludne mieszkanie i są drobnomieszczańscy. Problemem jest raczej indywidualizm. Ale ten indywidualizm jest, paradoksalnie, problemem zbiorowym. Nie jesteś indywidualistą, bo jesteś egoistą. Zostaliśmy oszukani

MARIA RODENAS SÁIZ DE BARANDA / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA CZARNE

VINCENZO LATRONICO (ur. 1984) – włoski pisarz i tłumacz. Jego debiut „Ginnastica e rivoluzione" (2008), nawiązujący do protestów podczas szczytu G8 w Genui, przyniósł mu Nagrodę Giuseppe Berto za najlepszą debiutancką powieść. Kolejna powieść, „La cospirazione delle colombe" (2011), została uhonorowana Premio Bergamo i Premio Napoli. Opublikował także „La mentalità dell'alveare" (2013) i „Le perfezioni" (2022) – opowieść o pokoleniu milenialsów na emigracji w Berlinie. Otrzymał za nią Premio Mondello 2022, a angielski przekład znalazł się w finale International Booker Prize 2025. W Polsce książka ukazała się w tym roku pod tytułem „Do perfekcji" w przekładzie Katarzyny Skórskiej nakładem Wydawnictwa Czarne. Latronico to także ceniony tłumacz (przekładał m.in. F. Scotta Fitzgeralda i George'a Orwella) oraz publicysta kulturalny. W 2023 r. wydał esej „La chiave di Berlino", będący literackim zapisem jego doświadczeń z pobytu w Berlinie.

– wmówiono nam, że drogą do szczęścia jest wygodna kanapa, a nie wspólnota. Ci bohaterowie – oni są ofiarami, nie sprawcami. I nie są szczęśliwi.

A mogliby być szczęśliwi?

Nie wiem. Szczerze mówiąc... Nie, nie wiem.

Dlaczego przeprowadziłeś się z Berlina do Mediolanu? Szukałeś szczęścia? „Do perfekcji" to w pewnym sensie opowieść o doskonałym szczęściu – bo o całkowitym braku sensu.

Czyli braku szczęścia! Wiesz, spędziłem w Berlinie 15 lat. Zwykle świętowałem urodziny podwójnie – tam, ale i w Mediolanie. Były więc zawsze dwie opcje: jedna dla przyjaciół, druga dla rodziny. Gdy planowałem czterdzieste urodziny, pomyślałem: jedna wielka impreza. Ale gdzie? W Mediolanie. A potem zapytałem sam siebie: gdzie chciałbyś świętować pięćdziesiątkę? Sześćdziesiątkę? I wiedziałem – na pewno nie w Berlinie. Nie potrafiłem wyobrazić sobie siebie starzejącego się w tamtym mieście.

Po przeprowadzce zrozumiałem coś, czego Anna i Tom nie widzą – że przynależność do wspólnoty naprawdę poprawia jakość życia. Zacząłem znów działać jako wolontariusz. Oczywiście, inni mogą znaleźć to samo w Berlinie. Ja nie potrafiłem. Przeżyłem tam 20 lat. Miałem szczęście. Teraz jestem dorosły, szczęśliwy w Mediolanie.

Zmieniłeś się?

Jestem szczęśliwszy. I znacznie mniej samotny.

I kawa jest tańsza.

Ha, tak. I życie – bardziej wspólnotowe. Należę do organizacji, która oferuje anonimowe testy na HIV i choroby przenoszone drogą płciową. Prowadzimy też działania edukacyjne wśród pracownic seksualnych i osób w kryzysie bezdomności – na temat zdrowia seksualnego. To bardzo *offline*. Spędzam jedno popołudnie w tygodniu w piwnicy, robiąc ludziom testy. Naprawdę tam jestem. Przy czym, wiesz, to oczywiście nie znaczy, że to jakiś idealny świat. Włochy to również kraj skrajnie prawicowej polityki, w wielu aspektach głęboko patriarchalny. Ale nie chodzi przecież o to, by szukać absolutnej doskonałości – o tym też jest ta książka.

Ważnym jej elementem jest też seks. No właśnie – seksualność to przestrzeń emancypacji czy raczej ucieczki?

W książce – szczególnie w rozdziałach o seksie i polityce – bohaterowie próbują przetwarzać swoje doświadczenia przez dwa filtry. Jeden to spontaniczność, namiętność, wyzwolenie. Drugi to spektakl, performens. Seks staje się czymś do odhaczenia – do spełnienia jakiegoś wyobrażonego ideału. To samo dotyczy polityki – czy robią to, bo naprawdę w to wierzą, czy dlatego, że chcą uchodzić za zaangażowanych? To napięcie – między autentycznością a grą pozorów – napędza całą książkę. ↦

↦ **A jednak Anna i Tom przypominają maszyny – ludzi, którzy żyją dokładnie tak, jak zostali zaprogramowani. Jakby żywcem wyjęci z języka filozofów Maja '68. Boleśnie jednowymiarowi.**

Za bardzo upraszczasz. Jedyną rzeczą, z którą mogę się tu zgodzić, jest to, że patrzą na świat przez dwa filtry. Jeden to radość i uczucie, drugi – presja, by być nowoczesnym i „na czasie". Oni nie są maszynami, ale ich perspektywa wciąż się zmienia.

Moralna dżungla – to jedno z określeń, jakie pojawia się w Twojej książce.

Książka opowiada o ludziach, którzy coś robią, ponieważ... Np. w rozdziale o seksie pojawia się idea potrzeby intymności w tym, co się robi albo mówi. I bohaterowie tego właśnie szukają – na różne sposoby, ale z tym samym impulsem.

Czyli wciąż jest jakiś wspólny impuls, choćby religijny?

Możliwe. Powiedziałbym, że ich zachowanie jest raczej kalwińskie niż katolickie.

Dlaczego?

W katolicyzmie możesz zostać rozgrzeszony. Zawsze istnieje możliwość odkupienia. Ale ci bohaterowie nie pozwalają sobie na błędy. Oni dążą do perfekcji. To właśnie kalwinizm – wybrani muszą udowodnić swoją wartość. Więc tak, choć pochodzą z Europy Południowej, moralnie zachowują się jak kalwiniści.

Zachowywaliby się tak samo, gdyby mieszkali we Włoszech?

Prawdopodobnie tak. To nie tylko ich problem – to zjawisko widoczne w całym pokoleniu. A jednocześnie zawsze kwestia jednostkowa. Możesz lubić buty – bo są wygodne, bo naprawdę ci się podobają albo dlatego, że są modne. A może wszystko na raz. Tylko ty sam możesz to wiedzieć. Bo lubienie czegoś pod wpływem presji nie jest z definicji złe. W latach 60. wszyscy kochali kino eksperymentalne, bo było modne i jakoś im tam służyło. Kiedy ja miałem dwadzieścia kilka lat, modne stały się rowery. Nagle rower przestał być symbolem przegrywa. I to było świetne – dobre dla ludzi, dobre dla planety.

Można znaleźć coś autentycznego w podążaniu za trendami?

Zdecydowanie.

A to wspaniałe, wspólnotowe życie jest lepsze?

Ha, tak. Ale nie należy tego odczytywać geograficznie, o czym już wspominałem. To nie kwestia Południe kontra Północ. Chodzi o to, jak używa się słowa „wspólnota". Dziś to pojęcie zostało zawłaszczone przez marketing – „społeczność swifties", „społeczność Apple'a" itd. Ale to są kluby fanowskie. Dołączasz, kupując coś, i odchodzisz, tracąc zainteresowanie. Do prawdziwej wspólnoty trudno wejść, ale też trudno ją opuścić. To cecha nieco konserwatywna – jak w przypadku religii albo partii. Ale kiedy już do niej należysz, chcesz ją zmieniać, bo wyjście z niej nie przychodzi łatwo. W przypadku fandomu po prostu przesuwasz się od Taylor Swift do Lorde. To nie to samo. To dlatego w książce piszę o „wymyślonych wspólnotach", np. o „społeczności ekspatów" w Berlinie. Ale to też nie jest prawdziwa wspólnota. Można przecież wsiąść w samolot i odlecieć.

Czyli opowiadasz się za wielkim powrotem do modelu tradycyjnej rodziny?

To skomplikowane. Czasem czuję się jak konserwatysta, gdy to mówię. Może to kwestia przekroczenia czterdziestki... Ale tak serio – nigdy nie wykonałem odpowiednio wymagającej pracy, by naprawdę wejść do jakiejś wspólnoty w Berlinie. Tu potrzeba wysiłku. Przez 15 lat się na niego nie zdobyłem. Poza tym – tak naprawdę tego nie chciałem. Berlin to takie miejsce, gdzie w chwili, gdy tylko się pojawiasz, automatycznie stajesz się częścią tej sztucznej wspólnoty ekspatów, cyfrowych nomadów itd. A po moim włoskim etapie byłem już wypalony.

We Włoszech byłem politycznie aktywny: zajmowaliśmy budynki, potem nas z nich wyrzucali. Pojawiała się policja, było brutalnie. I tak... skomplikowanie. Wszyscy się stamtąd wynieśliśmy. Niektórzy z nas teraz wrócili. Ale wtedy chcieliśmy po prostu uciec. Przenieśliśmy się do Niemiec i przestaliśmy głosować – coś w rodzaju: „Niech oni się tym zajmą". Może leniwe i egoistyczne – ale sądzę, że też zrozumiałe.

W social mediach też masz wspólnotowość, możliwość wymiany zdań...

Czy papier też byłby dla ciebie przestrzenią wspólnoty? Kiedyś my, ludzie, pisaliśmy listy. Tworzymy wspólnoty wszędzie tam, gdzie się da – to głęboki instynkt. Media społecznościowe mogą być narzędziem. Poznałem kilku bliskich przyjaciół na Twitterze. Ale Twitter to świetny przykład tego, co nazwałbym „popsutym społecznie". To nie przestrzeń publiczna – to przestrzeń prywatna, kontrolowana przez tego, kto ją posiada. Więc tak, wspólnota może tam zaistnieć – ale to trochę jak spotkanie u kogoś w domu. Powiedzmy, że ty i ja poznajemy się na imprezie u jakiegoś faszysty. Swobodnie rozmawiać możemy co najwyżej w łazience.

Widzę, że od kilku minut skręcasz papierosa, kończymy?

A, tak, ale to na później! Teraz idę na spacer. Wieczorem mam plany – spotykam się z przyjaciółmi, będziemy razem gotować...

Co?

Planujemy zrobić klopsiki. A potem – zobaczymy.

© Rozmawiał KRZYSZTOF KATKOWSKI

Co, jeśli życie idealnie zoptymalizowane – zgodne z normami społecznymi, estetycznymi i ekologicznymi – mimo wszystko okazuje się puste? W „Do perfekcji" **VINCENZO LATRONICO** opowiada o parze, która żyje dokładnie tak, jak wypada: świadomie, stylowo, odpowiedzialnie. Ale za tym wizerunkiem kryją się smutek i samotność.
To powieść o pustce, która zostaje, gdy forma zastępuje wspólnotę, a styl – znaczenie. W świecie dopiętym na ostatni guzik nadzieja nie znika, ale coraz trudniej ją dostrzec.
Podczas spotkania z autorem porozmawiamy o samotności w epoce optymalizacji, o potrzebie wspólnoty i o tym, jak literatura potrafi obnażać pęknięcia pod idealną powierzchnią.

allegro

Jak książki z najlepszej strony, **to Allegro**

Nowości i bestsellery w niskich cenach

REKLAMA

17. NADZIEJA RADYKALNA.

CONRAD FESTIVAL
20 — 26.X.2025
KRAKÓW

MARCIN WOLNY / CONRAD FESTIVAL